

Wojny prawicowych telewizji ■ Z menopauzą do położnej ■ Gdzie szukać śniegu
Katolicka randka ■ Wcielenia Tildy Swinton ■ Nauka: ile mamy płci ■ Wino na Walentynki

Kraków 12 – 18 lutego 2025 nr 7 (3945)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Nowi nacjonaliści zmieniają nam świat

WSZYSTKO, CO ŁĄCZY
TRUMPA, MODIEGO i XI JINPINGA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425



SAGA RODZINNA, POWIEŚĆ KRYMINALNA I HISTORYCZNA
w jednym, napisana z epickim rozmachem,
ale bez patosu, z lekkim przymrużeniem oka.

Barwny obraz życia we Francji w połowie XX wieku,
w okresie zwanym **Latami Chwały**.

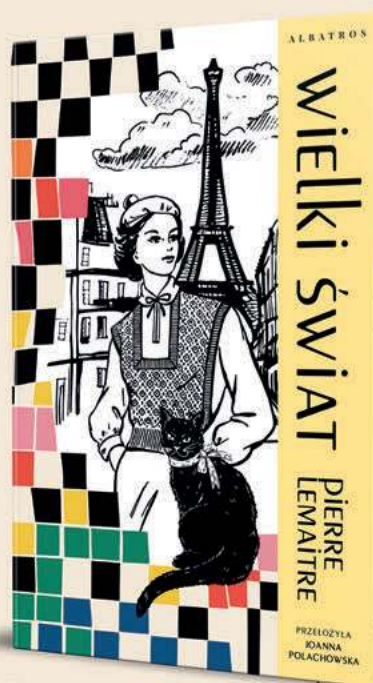
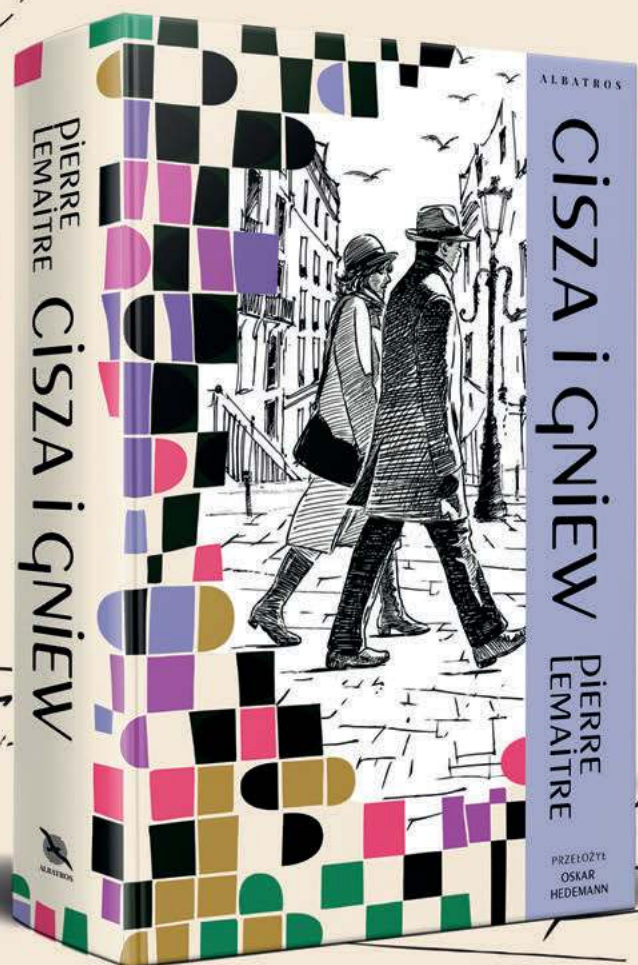
I choć nie wszyscy Francuzi mogą uznać te czasy za szczęśliwe...
To członkowie rodziny Pelletierów radzą sobie nie najgorzej.

Ekstrawagancka „komedia ludzka” – zuchwała, pełna ironii, miejscami wręcz zjadliwa.
Książka na miarę francuskich mistrzów Balzaca i Stendhala.

DRUGI TOM BESTSELLEROWEGO
cyklu **PIERRE'À
LEMAITRE'À**

*Lokomotywa na pełnych obrotach: wchodzisz
z hukiem, wychodzisz nieco rozbity, całkiem jak
XX wiek, którego historię pisze Lemaître.*

„Le Temps”



WYDAWNICTWO
ALBATROS

KS. ADAM

Boniecki: Św. Walenty, odpocznij

MNIE TEŻ ŚW. WALENTY DŁUGO NIE KOJARZYŁ SIĘ Z ZAKOCHANYM. Miał inną rolę, aż go żałowałem: biedny, biedny św. Walenty. Był rzymskim kapłanem, lekarzem, męczennikiem za wiarę. Ścięty 14 lutego 269 r. Biedny, bo odpowiedzialny za cudowne uzdrowienia. W Polsce czczono św. Walentego jako patrona ludzi chorych na dżumę, podagrę, choroby nerwowe i psychiczne, a przede wszystkim chorych na epilepsję, nazywaną także chorobą św. Walentego. Podobno jeszcze na przełomie XIX i XX wieku na wsiach odbywały się procesje, podczas których składano woskowe wota, m.in. wyobrażenia różnych organów i części ciała – serca, nóg, rąk, szczęk. Podobno też w czasie procesji zgarniano i przykładano do chorych miejsc kurz z ławek i innych sprzętów kościelnych. Odlewano także wielkie świece wotywnie – wysokości chorego człowieka – i w dniu świętego zanoszono je do kościoła.

Z tych praktyk nie pozostało dziś wiele. Nie sądzę, by gdziekolwiek na świecie zbierano kurz i wcierano go w chore miejsca, choć wszystko jest możliwe. Wiara we wszechmoc Boga jest bardzo bliska magii, zapomina się o tym, kim jest Bóg. Pan Jezus często mówił ludziom, których uzdrowiał, że uzdrowiła ich wiara, nie On: „Wiara twoja cię uzdrowiła”. Cuda się zdarzają, ale czy woda z Lourdes lub innego sanktuarium leczy? Czy na pewno woda? Czy nie wiara tego, który został uzdrowiony, może wiara otoczenia? Nie wiem. Nie ma jednak takiej wody, takiej figury, takiego cudownego miejsca, które by działało jako cudowny lek zawsze i na wszystko.

Zwykliśmy patrzeć na wiarę magicznie. Zalecenia Kościoła czasem też nabierają dla nas mocy magicznej. Pozostanie przy chorym, niekoniecznie przecież umierającym, w niedzielę, z pewnością jest ważniejsze niż pójście na niedzielną mszę św. To mniej więcej wiemy, ale że jest mnóstwo innych racji, które nas z tego obowiązku zwalniają, już mniej nam

wiadomo. O zakazach postnych, codziennej modlitwie (odkupywanej, bo trzeba), o niedzielnym wypoczynku, dzieleniu się tym, co się posiada, poświęcaniu czasu tym, którzy go od nas potrzebują, o przebaczeniu i tak dalej, mamy słabe wyobrażenia. Może zbliżone do ewangelicznych są nasze zwyczaje, ale – powiedzmy to wyraźnie – od nich różne. Urządziliśmy się jakoś w tym świecie, tylko wstrząsy nas budzą i to na krótko. Jezus mówił o niesieniu krzyża na każdy dzień, my wolimy raz do roku nosić woskowe członki na procesji. Może nie dosłownie, ale taka bywa nasza religijność. Z tego, co wtórne, często z produktów określonej (minionej) epoki, a nie z nauki Chrystusa, budujemy naszą religijność.

Odnoszę wrażenie, że obecny papież chce oczyścić wiarę z tego, czym obrosła. Obrastała przez stulecia i oczywiście nie oczyści się jej z dnia na dzień. Zawsze jest groźba, że wyrzucić będziemy coś, co należy do istoty wiary, a chronić będziemy coś, co jest produktem czasu i wcale nie zostało objawione. Dlatego potrzebny jest długi czas oczyszczania. Oczyszczenie jednak nie tylko nadejdzie, ale już się dokonuje, bierzemy w tym udział, niekoniecznie zawsze zdając sobie z tego sprawę. Podejrzewam, że jest to proces, który nie ma końca tu na ziemi, że jego zakończenie jest po drugiej stronie rzeczywistości. Jeśli zostaliśmy stworzeni dla nieba, to w niebie. Niemniej oczyszczanie wiary z rozmaitych bzdur jest ważne, wręcz konieczne. Byle pośpiech nas w tym dziele nie zgubił.

Biedny, biedny św. Walenty, dźwiga te wszystkie nasze prośby i intencje uzdrowienia – nieogarniony bezmiar nieszczęścia. Niech sobie choć raz w roku przy zakochanych odpocznie. © P



Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MAREK RABIJ:

Nowy prezes koncernu dostał audi za 740 tys. zł. Jak tworzone są zarządy spółek Skarbu Państwa po przejęciu ich z rąk PiS?

ŁUKASZ GRAJEWSKI:

Niemcy wybierają nowy Bundestag, a nasz korespondent portretuje Friedricha Merza – zapewne nowego kanclerza.

JAREMA PIEKUTOWSKI:

Jak Jordan Peterson, kanadyjski psycholog i guru zachodnich konserwatystów, zmienia współczesny katolicyzm.

Czy zima sprzyja miłości? W średniowiecznej kulturze, jak pisze **MAGDALENA ŁANUSZKA**, miesiącem zakochanych był maj, zaś czasem postrzeganym jako idealny do romansów – wiosna, i to raczej późna. Biorąc pod uwagę, jak wiele gorących uczuć znalazło się w wydaniu, które właśnie trzymają Państwo w rękach, należałoby ogłosić definitywny koniec najciemniejszej i najchłodniejszej pory roku.

Pory roku pozbawionej też wielu dawnych uciech i atrakcji, bo „mroźny” od wielu lat nie znaczy już przecież „śnieżny”. Co zresztą sprawia, że niektóre nasze namiętności, na przykład słabość do narciarstwa biegowego, zmuszeni jesteśmy sukcesywnie wygaszać, chyba że stać nas na ferie w Japonii. Jak donosi **BARTEK DOBROCH**, nasz ekspert od niskich temperatur i wysokich gór, w południowej części wyspy Hokkaido, dokładnie w miasteczku Obihiro, spadło właśnie 129 cm śniegu, a tamtejsze prognozy przewidują kolejne śnieżycy i utrzymujące się zimno. Za daleko? Podobno całkiem biało jest jeszcze w Norwegii i Finlandii.

Stuprocentową pewność nietopniejącego nigdy śniegu, dostępnego dla wszystkich i o każdej porze, zapewnią już chyba wyłącznie lektury, na przykład „Opowieści z Narnii” C.S. Lewisa. W ekranizacji tego klasycznego cyklu powieści fantasy jedną ze swoich najważniejszych ról zagrała bohaterka tego numeru, **TILDA SWINTON**. Filmowe oblicze chłodu, jak udowadnia Anita Piotrowska, rzadko bywało tak ponętne, jak w tym właśnie wcieleniu Białej Czarownicy, które podarowała nam brytyjska aktorka. Dlatego niezmiernie cieszyła nas nagroda, którą Swinton odbierze na otwarciu tegorocznego Berlina. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem przekraczającym granice aktorstwa, płci i społecznej przynależności.

A właśnie, skoro mowa o płci – czy zastanawiali się Państwo może, skąd się właściwie wzięła? **ŁUKASZ KWIATEK** na stronach naukowych relacjonuje, jak z grubsza scenariusz jej narodzin wyglądał.

Nie podejmuję się streszczać, odsyłam do tekstu, zdradzę tylko, jakie zdanie szczególnie utkwiło mi w pamięci. Otóż ponoć „utrzymywanie płci jest kosztownym zjawiskiem”. O tym, jakich dokładnie inwestycji wymaga dzisiaj, przeczytaj Państwo z kolei w reportażu **MARCINA WÓJCIKA** na pierwszych stronach działu Wiara. Gorąco polecam. ©P

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



34 Mąż i żona wymodlona MARCIN WÓJCIK

W sieci mnożą się katolickie portale i fora randkowe. Niemal w każdym dużym mieście prowadzone są msze dla singli i spotkania zakochanych.



64 Biała Czarownica ANITA PIOTROWSKA

Jest jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem, przekraczającym granice aktorstwa, płci i społecznej przynależności. Tilda Swinton odbierze na otwarciu tegorocznego Berlina Honorowego Złotego Niedźwiedzia.



76 Wenus lubi wino MAGDALENA ŁANUSZKA

W seksie zalecano osiągnięcie całkowitego spełnienia. Najlepiej wiosną i po południu, gdy kochankowie nie są ani głodni, ani przejeżdżeni. Tak uważano w średniowieczu.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 USA strzelają sobie w stopę

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Od miłości do osiemset minus

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*Czy trzecią rocznicę fali imigracji
Ukraińców do Polski naznaczą kryzysy?*

24 W krainie postprawdy

PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*Rywalizacja dwóch telewizji bliskich
PiS wiele mówi o naturze współczesnych
mediów*

27 Przewodniczka w menopauzie

EWELINA BURDA:
*Ciąża, poród, połóg – w tych sprawach
to położne mają wspierać kobiety.
Czas do tej listy dopisać na poważnie
transformację menopauzalną*

■ ■ PORTRET

30 Poszukiwacze zaginionej zimy

BARTEK DOBROCH *na tropie śniegu*

■ ■ WIARA

34 Mąż i żona wymodlona

MARCIN WÓJCİK

38 Porządek czy wymówka

PIOTR POPIOŁEK *o tym, czym naprawdę
jest teologiczny koncept ordo caritatis
i dlaczego coraz częściej wykorzystuje się
go w polityce?*

40 Przychodzi ksiądz do chorego

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ JANIĄK:
*Czasami potrzebny jest ktoś, kto z nami
po prostu będzie*

■ ■ ŚWIAT

44 Między braćmi

MAŁGORZATA SIDZ:
*Mówi się, że nie ma bliższych sojuszników
i przyjaciół niż te dwa kraje i narody:
Stany i Kanada. Skąd więc obecna
„wojna północnoamerykańska”?*

TEMAT TYGODNIKA

12
Nowi władcy świata

JAKUB DYMEK

Prorocy globalizacji nie podejrzewali, że o jej przyszłości zdecydują ludzie tacy jak Donald Trump, Xi Jinping i Narendra Modi – oraz stojące za nimi biznesowe i partyjne elity, przemysłowe kartele czy kapryśni miliarderzy. Kapitałisci pod narodowym sztandarem.

JONATHAN ERNST / REUTERS / FORUM // D. MYLES CULLEN / ZUMA PRESS / FORUM // MONTAŻ „TP”



■ FELIETONY ■

17 TOMASZ STAWISZYŃSKI
33 ELIZA KĄCKA 43 ZUZANNA RADZIK
76 OLGA DREND 77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
DONALD TRUMP, NARENDRA MODI
I XI JINGPING
FOT.: JONATHAN ERNST / REUTERS / FORUM //
D. MYLES CULLEN / ZUMA PRESS / FORUM //
MONTAŻ „TP”

48 Strategia atomowa

MARTA ZDZIEBORSKA:
*Donald Trump najpierw groził
Meksykowi wojną handlową, a potem
dostał, czego chciał, czyli obietnicę
uszczelnienia granicy*

50 Wyprawa poza własną bańkę

ROZMOWA Z HASNAINEM KAZIM
*o społecznych lękach, błędach niemieckich
polityków i o tym, co lubi we własnym
kraju*

53 Gdzie słońce spędza zimę

AGNIESZKA ZIELIŃSKA:
*Hiszpania należy do najbardziej gorących
miejsc na świecie. Na kilkuset stacjach
można tu już tankować całkowicie
odnawialne paliwo*

■ ■ HISTORIA

56 Statystyka i kartografia

DOROTA MALINA *udaje się w podróż
śladami tytana rzemiosła pisarskiego,
Georges'a Simenona*

■ ■ NAUKA

60 Wojny o płęć

ŁUKASZ KWIATEK:
*Jest jednym z najbardziej fascynujących
i przełomowych wynalazków ewolucji.
Nic dziwnego, że o płęć ciągle się kłócimy*

■ ■ KULTURA

64 Biała Czarownica

ANITA PIOTROWSKA

68 Wszystko zostało zapisane

ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM
CZAPLIŃSKIM: *Żyjemy w opowieściach.
To one porządkują rzeczywistość
społeczną, nadają sens działaniom,
popychają do wojen*

72 Kwas dla mas

DARIUSZ KOSIŃSKI:
*Miała być rewolucja i symbole zrównane
z ziemią. Jest polityka, którą możemy
stanowić na własną odpowiedzialność*

75 Literatura w przemianach

LEKTOR *o książce Jacka Łukasiewicza
„Krok i rytm”*

■ ■ ZMYŚŁY

78 Wenus lubi wino

MAGDALENA ŁANUSZKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

NOWA PRENUMERATA...

... „TYGODNIK” PROSTO DO MOJEGO DOMU



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

STR. 83



OBRAZ
TYGODNIA

USA STRZELAJĄ SOBIE W STOPE

Chyba nikt nigdy wcześniej nie zadał tak poważnego ciosu w amerykańskie interesy na całym świecie: uderzenie nastąpiło jednocześnie w blisko 130 krajach.

**WOJCIECH BRZEZIŃSKI,
AGATA KAŹMIERSKA**

POWYŻEJ:
Spadochroniarze
82. Dywizji Powietrznodesantowej
pomagają w rozładunku pomocy
humanitarnej USAID na rzecz osób
ewakuowanych z Ukrainy.
Rzeszów, 25 lutego 2022 r.

TAKIM WŁAŚNIE CIOSEM JEST ROZPORZĄDZENIE prezydenta Donalda Trumpa o zawieszeniu amerykańskiej pomocy zagranicznej na 90 dni i próba likwidacji Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID). Jednocześnie jest to sprawa, która jak w soczewce skupia patologie nowej amerykańskiej administracji.

POZORNIE ARGUMENTY przeciw agencji wyglądają na słuszne, a działania Trumpa, który obiecał Amerykanom koniec marnotrawienia państwowych pieniędzy, na uzasadnione. USAID tylko w zeszłym roku wydała prawie 44 mld dolarów. Nowa administracja w Białym Domu podkreśla, że to astronomiczna kwota, a do tego zaledwie „około 10 procent” funduszy trafiło do potrzebujących, bo resztę zmarnotrawiono „na narzuty i biurokrację”.

Trump oświadczył, że agencją „kierowała banda radykalnych szaleńców”, a Elon Musk, który odpowiada za program rządowych oszczędności i ma przeprowadzić likwidację tej agencji, stwierdził, że to „organizacja przestępcza”. Wedle nowej administracji USAID miała na przykład płacić celebrytom za podróże do Kijowa, by wzmocnić wizerunek prezydenta

Ukrainy (20 mln dla Angeliny Jolie, 8 mln dla Orlando Bloom, 5 mln dla Seana Penna). Agencja miała też sponsorować promowanie ateizmu w Nepalu, transpłciowe opery w Kolumbii czy pokazy drag queen w Ekwadorze. Podczas konferencji prasowej Trump dodał, że „powstrzymano przekazanie 50 mln dolarów do Gazy na zakup prezerwatyw dla Hamasu”.

TO WSZYSTKO BZDURY. Agencja nie sponsorowała takich projektów nie tylko w Kolumbii, Ekwadorze czy Nepalu, ale nigdzie. W Strefie Gazy przekazano 68 mln dolarów na prowadzenie dwóch szpitali polowych, w których – jak czytamy w informacji na temat ich funkcjonowania – codziennie odbywa się ok. 30 operacji ratujących życie, odbieranych jest ok. 20 porodów, w przychodni przyjmowanych jest ok. 200 pacjentów, a jednocześnie prowadzony jest jeden z nielicznych w Gazie oddziałów intensywnej terapii noworodków i jedyny oddział stabilizacji dla poważnie niedożywionych dzieci. Prezerwatyw na liście wydatków nie ma. Co zaś się tyczy celebrytów w Kijowie, to po prostu „news” potworzony słowo w słowo za rosyjską propagandą.

Sama agencja przed zarzutami bronić się nie może. Jej pracownikom zakazano wypowiedzi,

a stronę internetową, gdzie można by znaleźć informacje, wyłączone na polecenie Muska. Agencja składała jednak wcześniej szczegółowe raporty Kongresowi, który ją powołał. Z ostatniego, opublikowanego w styczniu br., wynika, że „około 10 procent” funduszy rzeczywiście trafiło do lokalnych partnerów agencji, a pozostałych ponad 80 proc. wydano nie na biurokrację (jak twierdzą ludzie Trumpa), lecz przekazano odbiorcom tej pomocy poprzez inne podmioty, przede wszystkim firmy i organizacje charytatywne z USA.

CO DALEJ? Na razie sąd federalny zawiesił rozporządzenie Trumpa, przywracając do pracy większość pracowników USAID. Sprawą wcześniej czy później będzie się też musiał zająć Kongres, bo zgodnie z prawem tylko on może zlikwidować agencję.

Choć teraz większość mają w obu jego izbach Republikanie, sprawa nie jest przesądzona: już w czerwcu 2024 r. próbowano przeforsować poprawkę, która miała wyeliminować pomoc zagraniczną z budżetu na rok 2025, ale Kongres (gdzie Republikanie mieli wtedy większość w jego izbie niższej) ją odrzucił.

Nawet jednak przy takim scenariuszu Białe Dom może wziąć USAID „głodem”, bo to on wnioskuje o budżet dla agencji.

PO FALI KRYTYKI z całego świata Trump uczynił pół kroku w tył i zezwolił na dalsze działanie programów ratujących życie. W ten sposób udało się ocalić dostawy leków dla 20 mln ludzi zakażonych HIV/AIDS z najbardziej niebezpiecznych regionów świata (przeważały ostrzeżenia, że 90-dniowe wstrzymanie programu doprowadzi m.in. do tego, że 136 tys. dzieci zakazi się HIV).

Nadal zablokowane są jednak programy mające na celu ograniczenie epidemii eboli czy leczenia malarii, gruźlicy i polio. W Demokratycznej Republice Konga z dnia na dzień wstrzymano dostawy żywności dla 4,6 mln uchodźców. W sudańskim Chartumie zamknięto jadalnię, które karmiły ponad 800 tys. ludzi, często

gwarantując im ich jedyny posiłek w ciągu dnia. Na Wybrzeżu Kości Słoniowej zawieszono program zbierania danych o incydentach związanych z terrorystami z Al-Kaidy. Przykłady można mnożyć.

SEKRETARZ STANU Marco Rubio, który przejął kontrolę nad USAID, twierdzi, że teraz „każdy wydany dolar, każdy finansowany program i każda realizowana polityka muszą być uzasadnione odpowiedzią na trzy pytania: czy to czyni Amerykę bezpieczniejszą, czy czyni Amerykę silniejszą i czy sprawia, że Ameryka jest bardziej zamożna?”.

Rubio nie wyjaśnił, jak chce przeliczać szacunek i wpływy, jakie USAID wypracowała dla Stanów Zjednoczonych przez przeszło pół wieku. Na razie jednego dnia w blisko 130 krajach Stany to wszystko zaryzykowały. A miejsce na srebrnej tacy zaserwowały swemu największemu rywalowi, Chinom, których wpływy na świecie Trump obiecywał ograniczać.

Dlaczego? Raczej nie dla oszczędności. Amerykanie lubią powtarzać, że są największym darczyńcą na świecie, a inni na pomoc zagraniczną wydają znacznie mniej. Tyle że mają też najpotężniejszą na świecie gospodarkę. Ich pomoc dla świata to ok. 0,24 proc. dochodu narodowego USA brutto. Dla porównania: Norwegia wydaje 1,09 proc., Szwecja 0,93 proc., Polska 0,35 proc., a te 0,24 proc. to jest dokładnie tyle, ile wydają Czesi. USA są też w ogonie państw rozwiniętych, jeśli idzie o wysokość pomocy w przeliczeniu na mieszkańca.

CZĘŚĆ KOMENTATORÓW spekuluje, że odpowiedzialny dziś za oszczędności w aparacie państwa Elon Musk szuka łatwego sukcesu, który spodobałby się elektoratowi Trumpa, niechętnemu angażowaniu się w sprawy zagraniczne.

Sprawa może mieć jednak drugie dno. Paul K. Martin, inspektor generalny USAID, od kilku miesięcy prowadził audyt wartego 3 mln dolarów kontraktu, jaki firma Muska zawarła z tą agencją na 5 tys. terminali Starlink dla Ukrainy. Dochodzenia nie dokończył. ©



Czas decyzji?

WOJCIECH PIĘCIAK

GDY PATRZY SIĘ NA PIERWSZE TRZY TYGODNIE URZĘDOWANIA Donalda Trumpa, na *furor americanus* (niektórzy mówią o politycznym darwinizmie), z jakim chce wykazać swą sprawczość – wtedy uderza nie tylko to, co widać w krajobrazie jego (nad)aktywności, lecz także to, czego tu nie ma.

Nie widać Ukrainy i Rosji. W tym sensie, że jeśli ktoś chciał oceniać perspektywę dla Ukrainy pod rządami nowego prezydenta, był w tym samym miejscu, co przed 20 stycznia. To luka w Trumpowej komunikacji o tyle znamienna, że może świadczyć, iż – inaczej niż w przypadku gender, ceł na Kanadę czy sankcji na Międzynarodowy Trybunał Karny (za to, że ośmielił się zarzucić zbrodnicze działania premierowi Izraela) – zamaszty podpis to za mało, by coś zmienić.

Nie znaczy to, że nic się nie dzieje. Krążą plotki, jak ma wyglądać „plan Trumpa” na koniec tej wojny (np. pomysł, by Europa finansowała odbudowę Ukrainy po tym, jak Rosja ją przeorała, jest osobliwy). Są przecieki, że nowa administracja rozmawia za kulisami z Kremlem, przygotowując spotkanie Trump-Putin. Temu zaś towarzyszy presja, np. gdy Keith Kellogg, pełnomocnik ds. Ukrainy i Rosji, zdradza w „New York Post”, że jeśli Rosja nie będzie skłonna do ustępstw, Trump jest gotów „naprawdę zaostrzyć” sankcje gospodarcze, gdyż ich obecne nałożenie to dopiero „3 w skali 10”.

Jednak czy to robi wrażenie na Kremlu? Można wyobrazić sobie, że większy efekt niż wizja sankcji „3+” wywiera tam ów *furor* – łatwość, z jaką Trump gotów jest na to, co wydawało się nie do pomyślenia. To zaś, co tak wielu na świecie wpędza w depresję, może być zaletą w sytuacji, gdy Putin ma dziś lepszą pozycję „handlową”. I gdy ma niezmiennie cele, które wykraczają poza Ukrainę – chce zawrzeć z Trumpem deal, który dotyczyłby m.in. także Polski.

Jak będzie, przekonamy się może wkrótce, bo chyba zaczyna się czas decyzji.

W sobotę 8 lutego Trump rzucił w rozmowie z mediami, że rozmawiał już z Putinem i że „są postępy”. Pytany o konkrety, uciął: „Lepiej nie będę tego mówić”. Wcześniej zapowiedział, że w najbliższych dniach spotka się z prezydentem Zełenskim.

Czy sprawy ruszą z miejsca? Jaką rolę w tym dealu odegrają Europa i Polska? Co zrobi Trump, jeśli Kreml będzie obstawał przy celach maksimum? Czy zdecyduje się na drugą Jaltę? Ujmując to inaczej: czy może się okazać, że przyznawanie się do Trumpa stanie się w polskiej polityce kamieniem młyńskim u szyi? A może przeciwnie: zasłuży on na pokojowego Nobla? Możliwe jest wszystko. ©



Mafijne życie za rządów Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

3LUTEGO W MOSKIEWSKIM APARTAMENCIE o patetycznej nazwie „Szkarłatne żagle” doszło do wybuchu. Ofiarą zamachu padł znany mafioso Armen Sarkisian (na zdjęciu).

Jedną z tez, które propaganda wbija do głów Rosjan, i którą powtarza Putin, jest ta o pokonaniu za jego rządów mafijnego bezprawia z lat 90. XX w.; dziś ulice mają być wolne od nagminnych wtedy strzelanin. Jednak życie pisze nadal swoje gangsterskie scenariusze w starym stylu: co rusz komuś podłożą bombę, kogoś zastrzelą. Jedynym, co różni bandyckie bitwy sprzed 30 lat od obecnych jest to, że główne role grają dziś nie tylko mafiosi, ale też ich partnerzy w mundurach i garniturach. Mafijne życie zmieniło *modus operandi*, dopuszczając „siłowników” i polityków.

W 2014 r. krajobraz mafijny wzbogacił się o nowy gatunek: bandytów, których wysłano, by ustanawiali rosyjską okupację w Donbasie. Obejmując stanowiska, weszli w aliance z miejscowymi gangami. Zaś inwazja rozpoczęta w lutym 2022 r. otworzyła przed nimi nowe możliwości.

Jednym z takich ludzi był Armen Sarkisian, oficjalnie szef „federacji boksu Do-

nieckiej Republiki Ludowej”. Urodzony w Armenii, młodość spędził w Donbasie. W latach 90. wspiał się po gangsterskiej drabinie: kontrolował szarą strefę w obwodzie. Jego „rodzina” była „kryszą” (gangsterską ochroną) dla armeńskiego biznesu. Ściągał haracze, miał knajpy i lupanary, oraz pieczę nad przerzutem narkotyków z Ukrainy do Rosji. Podczas Euro-



majdanu organizował bandy, które napadały protestujących. A gdy Rosja oderwała część Donbasu, nawiązał relacje z nowymi „władzami”. Czerpał ogromne zyski ze sprzedaży węgla, przywrócił trasy przemytu narkotyków, rozbudował swój biznes w Rosji.

Nowy rozdział w jego życiu zaczął się w lutym 2022 r.: jeździł po zajętych ukraińskich terenach i „obejmował opieką” tamtejsze firmy. Na bazie mafijnych grup stworzył też jednostkę (przez Kreml postrzeganą jako alternatywa dla Grupy Wagnera) i werbował doń więźniów. Jego firma otrzymywała kontrakty na dostawy żywności dla rosyjskiej armii.

Kto go zabił? Kreml sugeruje „ukraiński ślad”, ale bardziej wiarygodną przyczyną wydaje się „biznesowa” działalność Sarkisiana. ©

NA PUNKTY

I GNA CORAZ PRĘDZEJ

Pociągiem pendolino podróżowała z Warszawy do Gdańska Rada Ministrów na spotkanie z Kolegium Komisarzy UE. W telewizji wyglądało to świetnie – ekologicznie i tanio – ale politycy PiS twierdzą (powołując się na aplikację śledzącą loty), że w tym samym czasie z Warszawy do Gdańska wyruszył pusty rządowy samolot.

I DUDNI, I STUKA

W samym Gdańsku rozmawiano jednak o poważnych sprawach: Donald Tusk zapowiedział walkę z przestępczością zorganizowaną obcokrajowców i deportacje wszystkich, którzy goszcząc w Polsce, „brutalnie” naruszają prawo.

ŁOMOCE I PĘDZI

Coraz więcej mówi się też o rozliczeniach poprzedniej władzy, np. Mateusz Morawiecki zostanie przesłuchany w charakterze podejrzanego w związku z organizacją wyborów kopertowych. Bodaj najbardziej malownicze dochodzenia dotyczą jednak działań Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej, który – jak pisze „Gazeta Wyborcza” – kupił budynek z przeznaczeniem na muzeum. Samo muzeum jednak było fikcją bez żadnych podstaw w podjętych uchwałach. ©



Czy świeccy wybiorą biskupów

ARTUR SPORNIAK

JUŻ PO RAZ TRZECI NIEMIECKI Kościół próbuje angażować świeckich w wybór biskupa. Nie jest to łatwe, bo prawo kanoniczne nie przewiduje takiej sytuacji. W piątek Rada Diecezjalna w Münsterze wybrała 16 osób świeckich, które razem z 16 kanonikami Kapituły Katedralnej sporządzą listę kandydatów na biskupa. Dalsza procedura będzie przebiegać zgodnie z zawartym w 1929 r. konkordatem pruskim: lista trafi do Dykasterii ds. Bisku-

pów, razem z nazwiskami kandydatów przygotowanymi przez biskupów pozostałych diecezji, w których obowiązuje tenże konkordat (jest ich w sumie 15). Dykasteria wybierze z niej trzy osoby (tzw. terno), spośród których kapituła w Münsterze wskaże nowego ordynariusza.

W 2023 r. w diecezjach Paderborn oraz Osnabrück, w których także obowiązuje konkordat pruski, próbowano zaangażować świeckich rów-

nież na tym końcowym etapie (ostatecznego wyboru z terna), co jednak zablokował Watykan, uznając, że taki wybór byłby nieważny. Dopóki zatem nie zmieni się prawo, udział świeckich w wyborze biskupów jest utrudniony.

Przeszkodą jest choćby tzw. tajemnica papieska, która pod rygorem ekskomuniki zabrania ujawniać czegokolwiek z procedury wyborczej, co oznacza, że świeccy z Münsteru, biorący w niej udział, for-

malnie uczestniczą jedynie w konsultacjach i nie powinni nawet znać pełnej listy zgłoszonych kandydatów. Kapituły w Paderborn oraz Osnabrück nie informowały więc o przebiegu wyborów, by nie narażać świeckich na ekskomunikę.

W Polsce listę kandydatów na biskupa sporządza nuncjusz. Może, choć nie musi, konsultować się ze świeckimi. Gdyby tajemnica papieska została zniesiona, wiedzielibyśmy, z kim te konsultacje były przeprowadzane. Warto przypomnieć, że dokument końcowy synodu o synodalności wzywa Kościół, by angażować świeckich w procesy decyzyjne. Na co więc czeka papież? ©



Osiem procent

MAREK RABIJ

Z KAŻDYM DNIEM, KIEDY POLSKA KAMPANIA PREZYDENCKA skręca coraz ostrzej w stronę magła, w oczy coraz bardziej rzuca się jedna fundamentalna różnica w porównaniu z poprzednimi. Tym razem żaden z liczących się w grze kandydatów nie obiecuje Polakom mieszkań. Ani trzech milionów, jak ongiś PiS, ani nawet 300 tysięcy, choćby na wynajem – jak niedawno Lewica.

Karola Nawrockiego, który także w sprawie polskiej polityki mieszkaniowej zdaje się „nie uważać nic”, można uznać za usprawiedliwionego. Mieszkanie to przecież nic innego jak apartament, a od tego wątku kandydat PiS z różnych powodów woli ostatnio trzymać się z daleka. Rafał Trzaskowski mógłby odważnie zająć stanowisko, ale i w jego przypadku pytanie o mieszkania skutkuje odesłaniem przez Google do ciepłutkiego jak zupa mleczna artykułu o tym, że kandydat mieszka „jak zwykły człowiek” w stumetrowym lokalu na Ursynowie, urządzonej eklektycznie, ale z przewagą klasyki.

Ten sam Google podaje, że średnia cena metra kwadratowego mieszkania na stołecznym Ursynowie sięga dziś 14,4 tys. zł. „Zwykły człowiek”, który zapragnąłby zamieszkać jak Trzaskowski, musiałby więc pożyczyć w banku około 1,1 mln zł (i to z uwzględnieniem wymaganego wkładu własnego na poziomie 20 proc.). Na pożyczkę w tej wysokości liczyć może dziś rodzina o dochodach rzędu co najmniej 22 tys. zł miesięcznie, bo przy średnim oprocentowaniu na poziomie 7,9 proc. kredyty mieszkaniowe w Polsce – jak pokazuje najnowsze zestawienie Europejskiego Banku Centralnego – nadal nie mają sobie pod tym względem równych w całej UE.

Tańsze hipoteki mają nawet Węgrzy (7 proc.), Rumuni (6,3 proc.) i Czesi (4,9 proc.) – nie mówiąc już o strefie euro, gdzie średnia wynosi 3,75 proc.

W lipcu ub. roku średnie oprocentowanie nowych kredytów hipotecznych było o prawie 2,2 pkt proc. wyższe od stopy referencyjnej NBP. Na Węgrzech i w Czechach ta sama różnica wynosiła odpowiednio 0,28 pkt proc. i 0,13 pkt proc. W Rumunii kredyt mieszkaniowy miał nawet oprocentowanie niższe od oficjalnej stopy banku centralnego o 0,43 pkt proc.

Sytuacji nie zmieniło postulowane przez naszych ekonomistów upowszechnienie kredytów hipotecznych ze stałą stopą procentową, które stanowią już niemal trzy czwarte nowych hipotek. Pomimo spadku stawki IRS, służącej do zabezpieczenia ryzyka stopy procentowej, polskie kredyty mieszkaniowe nie tanieją. ©P



Uśpieni szpiedzy

MAREK KĘSKRAWIEC

KIEDY ROK TEMU ADAM BODNAR odwoływał Dariusza Barskiego z funkcji Prokuratora Krajowego, musiał wykorzystać kruczek prawny, by obejść uchwaloną przez pisowską większość ustawę, która zabetonowała kierownictwo polskiej prokuratury, wymagając zgody prezydenta dla każdej personalnej zmiany.

Sprawa z czasem ucichła i wydawało się, że śledczy niższego szczebla uznali nową władzę. Konflikt wciąż jednak się tlił i z całą mocą eksplodował 5 lutego, gdy prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Świączkowski, kiedyś przyboczny Zbigniewa Ziobry, złożył 60-stronicowe zawiadomienie o przestępstwie ze strony premiera i jego ministrów, marszałków Sejmu i Senatu, a także niektórych sędziów i prokuratorów. Dokonali oni rzekomo zamachu stanu poprzez uniemożliwienie działalności TK, SN i KRS, których orzeczenia są po prostu ignorowane.

Biorąc pod uwagę to, jak PiS upolitycznił powyższe instytucje, trudno nazwać zamachem na demokrację rządowe próby, by mimo panującego chaosu prawnego kierować sprawnie państwem. Jak to może być trudne, widać w resorcie sprawiedliwości,

gdzie nowa ekipa tylko w części jest nowa. PiS do tego stopnia zabetonował system, iż nadal większość zastępców Bodnara jako Prokuratora Generalnego stanowią uśpieni szpiedzy Ziobry. W grudniu trzech z nich (Robert Hernand, Michał Ostrowski, Krzysztof Sierak) nie uznało decyzji o przeniesieniu ich do placówek zamiejscowych, zyskując poparcie czwartego nominata Ziobry, Tomasza Janeczka, który odpowiada za kwestie wojskowe, lecz niewiele robi, bo Bodnar odciął go od ważnych spraw.

Przyznajmy: to absurd, jeśli do wielkiej firmy – decyzją akcjonariuszy, czyli w tym przypadku wyborców – przychodzi nowy prezes z planem zmian, ale nie może swobodnie skompletować kierownictwa kluczowej spółki, tylko musi opierać się na starej ekipie – wrogiej. Ta w dodatku, rękami Ostrowskiego, wszczyna śledztwo z zawiadomienia prezesa TK, m.in. przeciwko własnemu szefowi, Bodnarowi.

Zamach stanu kojarzy nam się z wojskiem na ulicach, czego dziś nie doświadczamy. Żyjemy jednak w kraju przeciętym na pół, gdzie przeciwnicy polityczni stali się wrogami, którym grozi się więzieniem. Co znajduje się na końcu tej drogi? ©P

Konferencja prasowa Bogdana Świączkowskiego, prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Warszawa, 10 grudnia 2024 r.



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Jak wojna z Rosją wpłynęła na religijność Ukraińców

WIARA ■ Według najnowszego raportu Centrum Statystyki im. Razumkowa w Kijowie, w roku 2013 – ostatnim, w którym panował pokój – religijność deklarowało 67 proc. Ukraińców. Rok później – po aneksji przez Rosję Krymu i rozpoczęciu wojny w Donbasie – wskaźnik skoczył do 76 proc. Potem sukcesywnie spadał, do 68 proc. pod koniec roku 2021. Początek pełnoskalowej inwazji wiązał się z podobnym procesem: w kolejnym roku 74 proc. Ukraińców deklarowało wiarę, a w najnowszym odczycie z 2024 r. wskaźnik wrócił do 68 proc.

Marcin Jędrusiak, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, takie wahania tłumaczy reakcją na silne napięcie związane z początkiem działań wojennych. Liczba osób deklaruujących wiarę wzrasta po eskalacji działań, ale potem wraca do poziomu wyjściowego. Nie oznacza to, że religijność Ukraińców się nie zmienia. Powoli zacierają się różnice regionalne – zmniejsza się przewaga zachodniej części kraju pod względem liczby wierzących. Wiernych przybywa w autokefalicznej Cerkwi ukraińskiej (wzrost z 24 proc. w 2021 r. do 35 proc. w 2024 r.), ubywa w Cerkwi zależnej od Patriarchatu Moskiewskiego (spadek z 13 do 5,5 proc.). Tej ostatniej wielu Ukraińców nie uważa już nawet za Kościół, ale „za struktu-

rę propagandową działającą pod przykrywką organizacji religijnej”. Wzrósł udział grekokatolików (z 8 do 12 proc.), a także liczba osób nieidentyfikujących się z żadną religią: z 8 do 18 proc. Jędrusiak jest ostrożny w nazywaniu ich ateistami – chodzi tu raczej o niechęć do religijności instytucjonalnej.

Wojna nie wpłynęła na frekwencję podczas niedzielnych liturgii (wskaźnik od lat oscyluje w okolicach 50 proc., jedynie 16 proc. Ukraińców uczestniczy w nich regularnie). Czym kierują się ci, którzy przychodzą do kościoła? Potrzebują kontaktu z Bogiem (48 proc.), udziału w obrzędach religijnych (45 proc.), oderwania od zmartwień (34 proc. – wzrost o 9 pkt. proc. od 2021 r.) i mądrego kazania (33 proc.).

Badacze pytali też, czego Ukraińcy oczekują od Kościołów. Przede wszystkim wspólnego wielbienia Boga (51 proc.), wsparcia dla osób przeżywających kryzysy (50 proc.), będących w trudnej sytuacji (26 proc.) oraz obrony tradycyjnych wartości (26 proc.). Co trzeci pytany uważa, że Kościoły tej pomocy udzielają, zwłaszcza armii i uchodźcom. Ukraińcy doceniają wsparcie materialne i dystrybucję pomocy humanitarnej, organizację noclegów i schronów oraz współpracę przy ewakuacji z terenów objętych walkami. © P MACIEJ MÜLLER

Duzi zwalniają najczęściej

RYNEK PRACY ■ W ubiegłym roku, w ramach zwolnień grupowych, pracodawcy zapowiedzieli w Polsce redukcję zatrudnienia aż o 37,3 tys. etatów. Ostatecznie pracę faktycznie straciło 27 tys. osób, czyli o prawie 60 proc. więcej niż rok wcześniej i zarazem najwięcej od wybuchu pandemii – wynika z szacunków dziennika „Rzeczpospolita”.

Jak czytać te dane w kontekście informacji o wciąż dobrej sytuacji na polskim rynku pracy, na którym stopa rejestrowanego bezrobocia trzyma się rekordowo niskiego poziomu (odczyt za styczeń pokazał 5,4 proc., czyli tyle samo, ile rok wcześniej), a wynagrodzenia nadal pną się w górę i w ub. roku urosły – jak szacuje rząd – o ponad 6 proc. ponad inflację? Czy jeszcze mamy nad Wisłą „rynek pracownika”, czy może zaczyna się korekta?

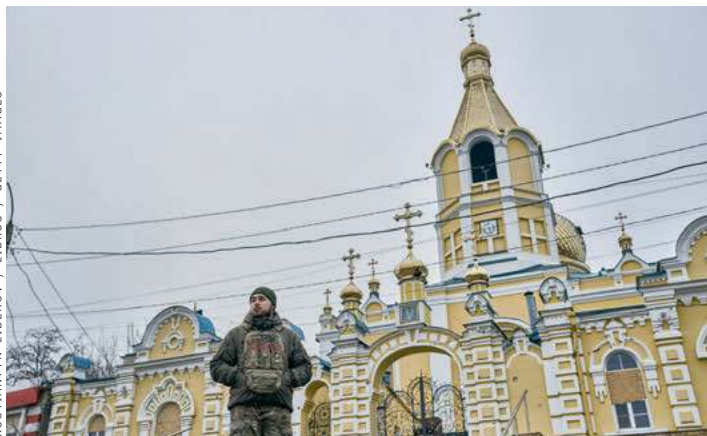
W 2023 r. polska gospodarka złapała zadyszkę, a dynamika produktu krajowego brutto po raz pierwszy od dekad wyhamowała do poziomu poniżej 1 proc. Kolejny rok był już lepszy, choć w niektórych branżach, zwłaszcza w przemyśle, stagnacja zamówień w połączeniu z rosnącymi kosztami pracy nie pozwalały o sobie zapomnieć.

W rezultacie wiele dużych firm kontynuowało zwolnienia, dostosowując zatrudnienie do bieżących potrzeb. Zapaść w sprzedaży nowych samochodów na rynkach europejskich wymusiła np. ograniczenia zatrudnienia w gliwickiej fabryce Stellantis, która zwolniła blisko 500 pracowników. Bielska spółka FCA Powertrain w związku z zakończeniem działalności podziękowała wszystkim 468 pracownikom. Duże zwolnienia miały miejsce także w koncernie MA Polska, który w Tychach i Kielcach zwolnił 260 osób. Polski oddział koncernu Hutchinson, również pracujący m.in. dla branży motoryzacyjnej, zapowiedział redukcję 170 etatów.

Nie lepiej miała się branża meblarska. Ikea zwolniła 130 osób z fabryki w Goleniowie. Firma Forte obcięła zatrudnienie o 230 etatów, a zlikwidowana Pomorska Fabryka Mebli w Nowem odesłała na zasiłek 270 osób. W wielkopolskim Ociężu, gdzie fabrykę mebli i materacy prowadzi firma COM40, prace straciło 100 osób.

Niekwestionowanym liderem w peletonie polskich zwolnień grupowych była jednak kontrolowana przez Skarb Państwa spółka PKP Cargo, która w ub. roku pożegnała się z ponad 3,6 tys. pracowników.

Zapoczątkowane w ubiegłym roku zmiany trwają nadal. W Urzędzie Pracy Miasta Stołecznego Warszawy jedenaście przedsiębiorstw przedstawiło w styczniu plan zwolnień grupowych obejmujących łącznie 9,5 tys. osób. Rok wcześniej do urzędu spłynęło osiem takich zawiadomień z planem łącznej redukcji 340 etatów, ale za tak dużą różnicę odpowiada głównie jeden wniosek. Poczta Polska w ramach planowanej restrukturyzacji przewiduje, że w tym roku zwolni 9,3 tys. pracowników, czyli aż 15 proc. personelu. Państwowy monopolista liczy na to, że część przewidzianych do zwolnienia pracowników skorzysta z programu dobrowolnych odejść. © P MAREK RABIJ



Ukraiński żołnierz przed cerkwią w Kupiańsku. To tu przebiega linia frontu. Ukraina, 25 grudnia 2024 r.

Jan Kłata nowym dyrektorem Teatru Narodowego

KULTURA ■ Po dwóch dekadach dyrekcji Jana Englerta czeka tę instytucję wielka zmiana, choć – moim zdaniem – nie aż tak radykalna, jak pewnie będzie się o tym mówić. Wbrew pozorom, teatry obu panów Janów całkiem sporo łączy: obaj proponują oryginalne, szukające związków ze współczesnością interpretacje ważnych tekstów literackich, obaj tworzą teatr inscenizatorski i aktorski, obaj są wierni podstawowym wyznacznikom europejskiego teatru dramatycznego. Z racji oczywistych różnic wieku, doświadczeń i gustów wiele ich różni, ale jeśli ktoś myśli, że teraz do ogrodu Narodowego wtargnie barbarzyńca, to jest zaślepiony własnymi fantazjami.

Decyzja ministry Hanny Wróblewskiej była radosną



Jan Kłata, Wrocław, 25 września 2024 r.

niespodzianką. Od lat powtarzam (a byłem nawet podejrzewany z tego względu o jakąś manię), że uniemożliwienie kontynuacji dyrekcji Jana Kłaty w Narodowym Starym Teatrze w roku 2017 było więcej niż zbrodnią – było głupotą, przede wszystkim z perspektywy tego teatru i całej polskiej kultury teatralnej, ale także z perspektywy politycznego interesu poprzedniej władzy.

Ogromnie tego żałowałem, bo po pierwszych latach prób i błędów, dyrektor Kłata pod koniec swojej pierwszej kadencji stworzył znakomity zespół o ogromnym potencjale, zgromadził świetne grono współpracowników i był gotów na największe wyzwania. Niestety zło, które niszczy nasze życie zbiorowe, czyli tępa polityka partyjna, uniemożliwiła mu zmierzenie się z nimi.

Pozostaje tylko mieć nadzieję, że jego dyrekcja w Warszawie nie zderzy się w pewnym momencie ze zmianami, które znów przekreślą jego wysiłki i nie pozwolą na realizację przedstawionego w konkursie programu.

Oczywiście, jaki będzie Narodowy Jana Kłaty, przekonamy się dopiero za kilka lat. Pierwsze sezony pewnie znowu trzeba będzie w jakiejś części poświęcić na mozolną pracę nad repertuarem, zespołem i widownią. Wierzę jednak, że ta dyrekcja oznaczać będzie powrót do zaproponowanej pod koniec ubiegłego stulecia przez Jerzego Grzegorzewskiego koncepcji Narodowego jako „domu Wyspiańskiego”. Że stanie się on nie tylko miejscem rzeczywistej, a więc niekonkunkturalnej debaty o Polsce, z którą przede wszystkim kojarzy się autor „Wesela”, ale że będzie też miejscem namysłu nad narodowymi i europejskimi mitami, oraz sceną konfrontacji z podstawowymi pytaniami, które stawiamy sobie, gdy jesteśmy sami i żadna zbiorowość nas nie usprawiedliwia.

© DARIUSZ KOŚIŃSKI

Rawka błazen: najpotężniejszy bokser w przyrodzie

EWOLUCJA ■ Rawka błazen (*Odontodactylus scyllarus*) może być ozdobą niejednego akwarium, ale hodowcy muszą pamiętać, by wyposażać je w pancerne szkło. Ten zamieszkujący Ocean Indyjski i Pacyfik drapieżny skorupiak zaliczany do rzędu krewetek modliszkowych, luźno spokrewnionych z krewetkami lądującymi na naszych talerzach, wyprowadza najszybsze ciosy w całej przyrodzie.

Ofiara, która znajdzie się w zasięgu odnóży rawki, posiadających zakończenia przypominające młoty, może zostać znokautowana w ciągu 50 milisekund, a siła uderzenia osiąga 1500 niutonów. To tak, jakby na nieszczęśnika spadał ciężar 150 kg

– parę tysięcy razy większy niż waga samej rawki – albo uderzył w niego pocisk wystrzelony z broni sportowej. Rawki mogą powtarzać uderzenia w błyskawicznych sekwencjach. Pancerze innych skorupiaków – albo szklana ściana zwyczajnego akwarium – nie zapewniają ochrony przed tak brutalnym atakiem.

Już wcześniej wiedzieliśmy, jak działa mechanizm wyprowadzania ciosów – odnóży rawki gromadzą energię do ataku w sprężystych strukturach, naprężanych przez działające jak zatrzaski ścięgna; po ich zwolnieniu młoty wystrzelują do przodu. Ale nie było jasne, jak ciało sa-

mej rawki może wytrzymać wyprowadzanie takich ciosów. Odpowiedź przyniosły badania Nicolasa Alderete’a z Wydziału Inżynierii Mechanicznej Northwestern University i jego współpracowników.

Badacze sprawdzili, w jaki sposób w trzech częściach pancerza osłaniającego odnóży rawki rozchodzą się fale o różnej częstotliwości – okazało się, że każda z tych części, zbudowanych ze zmineralizowanych chitynowych włókien, może pochłaniać różne fale. Kluczową rolę odgrywa część środkowa, ułożona w tzw. strukturę Bouliganda, w której poskręcane jak korkociąg włókna układają się w warstwy, z których każda jest nieco przekręcona w stosunku do sąsiednich.

Badania te nie tylko rozwiązały biologiczną zagadkę – inżynierowie mogą teraz skopiować strukturę występującą u rawki, by tworzyć nowe, wytrzymałe materiały.

© ŁUKASZ KWIATEK



NOWI WŁADCY ŚWIATA

Prorocy globalizacji nie podejrzewali, że o jej przyszłości zdecydują ludzie tacy jak Donald Trump, Xi Jinping i Narendra Modi – oraz stojące za nimi biznesowe i partyjne elity, przemysłowe kartele czy kapryśni miliarderzy. Kapitałisci pod narodowym sztandarem.

JAKUB DYMEK

HISTORYCY NAPISZĄ, ŻE 3 LUTEGO 2025 roku był datą początku końca globalizacji. Albo nawet czegoś więcej – ładu światowego czy „starego porządku”. Wymyślą jakąś zapadającą w pamięć nazwę – „czarny poniedziałek”, „dzień zerwania” albo „jackpot”, jak w cyberpunkowych powieściach Williama Gibsona. Być może w szkołach wkuwać się będzie tę datę na pamięć, jak te, które zmieniły bieg historii. To przecież 3 lutego Donald Trump ogłosił „pierwszą amerykańską wojnę handlową”. I – jak straszą niektórzy – pogrzebał globalizację, „nawet za cenę obrócenia w ruinę gospodarki i dobrobytu własnej ojczyzny”.

Pierwsza salwa

Świat przyspieszył. Kolejne proklamacje i rozporządzenia płynące z Białego Domu wyprzedzają analityków w mediach i światowe giełdy. A przecież Trump robi tylko to, co zapowiedział. Czyli wprowadza cła i grozi wszystkim, którzy nie chcą oddać USA cennych zasobów. Upokarza światowych przywódców, którzy nie uznają amerykańskich stref wpływu. Wygląda na to, że przestał odróżniać sojusznika od wroga – i że do opisu tego, co robi, równie dobrze pasują określenia z XXI, jak z XIX stulecia.

Czy usłyszeliśmy właśnie pierwszą salwę w czymś, co może stać się globalną

wojną handlową i świtem nowej epoki protekcyjizmu? Trochę jak w słowach amerykańskiego hymnu: wystrzały w ciemną noc świadczą, że żyjemy i walczymy; świt przynosi dowód na to, że nasz sztandar góruje, a okryty wstydem przeciwnik ucieka. Współczesne USA jak ostrzeliwany niegdyś przez brytyjskie okręty fort McHenry – nieugięte, wytrwałe, otoczone murem, dumne... Donald Trump nie wpadł jeszcze na to porównanie, ale z pewnością by mu się spodobało.

Odpowiedź brzmi „nie”. To tylko wersja do szkolnej czytanki. Globalizacja się nie skończy – przynajmniej nie od razu. Droga, którą idziemy, jest z pewnością ryzykowna, ale weszliśmy na nią dawno temu. Trump tylko trochę przyspieszył.

A największa ironia polega na tym, że kustoszami globalizacji stają się dziś ludzie, siły i ideologie, które globalizacja i „koniec historii” miały odesłać w niebyt. Czyli nacjonalizm, protekcyjizm, etniczny i religijny szowinizm, centralne planowanie i komunizm (chiński), a wreszcie rywalizacja imperializmów i nowa zimna wojna. Prorocy globalizacji nie podejrzewali, że o jej przyszłości zdecydują ludzie tacy jak Donald Trump, Xi Jinping i Narendra Modi. Oraz, co nie mniej ważne, stojące za nimi biznesowe i partyjne elity, przemysłowe kartele czy kapryśni miliarderzy.



Polityka lawirowania

Tytułem przypomnienia: w ciągu mniej niż dwóch tygodni Donald Trump podpisał dekrety o wyjściu z Porozumienia Paryskiego i Światowej Organizacji Zdrowia, zagroził aneksją Grenlandii, Kanady i Panamy oraz nałożył cła na Kanadę, Meksyk i Chiny, czyli trzy kraje z najwyższym eksportem do USA. Ten błyskawiczny powrót do barier handlowych (i imperialnej retoryki), jakiego Ameryka nie widziała od stulecia i do którego, nauczona wcześniejszymi kryzysami, miała rzekomo nigdy nie wrócić, świadczy, że coś się skończyło. Tylko co?

Wraz z wprowadzeniem przez USA ceł na najbliższych nawet sojuszników i wyjściem z międzynarodowych organizacji globalizacja nie zniknie. Przeciwnie: wskaźniki mierzące przepływy finansowe, długość łańcuchów dostaw, udział handlu w globalnym PKB wciąż są blisko historycznie wysokich poziomów.



ADNAN ABIDI / REUTERS / FORUM

Donald Trump z żoną Melanią oraz premier Indii Narendra Modi podczas spotkania w New Delhi. Indie, 25 lutego 2020 r.

„Koniec globalizacji widać wszędzie, tylko nie w statystykach” – pisze cierpko prasa biznesowa od kilku lat. Bo agresywny protekcjonizm czy jeszcze ostrzejsze sięganie po sankcje i embarga nie zmienia lokalizacji kluczowych zasobów, miejsc produkcji półprzewodników, mody na cyfrowe aktywa albo apetytu kapitału na przekraczanie granic państw i stref czasowych. Przy najmniej nie z dnia na dzień.

Inwazja Rosji na Ukrainę nie obróciła „rubla w rupięć”, jak zapowiadał Joe Biden, tylko zwiększyła wymianę rubla i... rupii. Handel między Rosją, pariasem w świecie zachodnich demokracji, i Indiami (najludniejszą demokracją, nawet jeśli nie liberalną) urósł w ciągu pięciu lat pięciokrotnie. Narendra Modi odwiedził Moskwę w połowie 2024 r., by podtrzymać współpracę wojskową i technologiczną obu krajów. Jednocześnie Indie pozostają gościnnym gospodarzem dla amerykańskich inwestycji i fabryk, które mia-

łyby uciec lub zostać wypchnięte z Chin. New Delhi wyrzuca ze swojego rynku chińskie aplikacje, a zarazem potrzebuje chińskich podzespołów i maszyn, by rozwijać przemysł, wciąż opóźniony jak na standardy globalnej konkurencji. Rywalizacja z odwiecznym wrogiem zza miedzy, Pakistanem, pozwala mobilizować nacjonalistyczną emocję w interesie partii rządzącej. Z drugiej strony: beneficjenci indyjskiego boomu edukacyjnego i nieszczęśnicy bez pracy mogą wyjechać za granicę, co rozładowuje napięcie lokalnie – a generuje problemy na tle migracyjnym w Europie i USA.

Interesem mocarstw regionalnych jest dziś opóźniać konfrontację amerykańsko-chińską i korzystać z napięć, dostając możliwie najlepsze warunki współpracy od obu stron. W zachowaniu Indii (a także Turcji, Brazylii, RPA czy Korei) więcej jest więc z polityki lawirowania między imperiami w fazie globaliza-

cji z XIX w. niż chęci wejścia w „zimną wojnę 2.0” po którejś ze stron.

Jak w 2023 r. w słynnym już przemówieniu z Tallina zauważała amerykańska dyplomatka Fiona Hill, świat nie chce podzielić się elegancko na dwa bloki. Miliardy ludzi są wobec losu Ukrainy obojętne, a zdecydowana większość państw chce zachować możliwość swobodnej integracji to z Chinami, to z USA – w zależności od własnych potrzeb i uwarunkowań. I nie chce być zmuszana do wyboru.

Kręgi globalizacji

Sankcje i embarga mają ten przewrotny efekt, że każą wytyczać nowe szlaki handlowe, wymuszają nowe sojusze, a są często też motorem do integracji i rozwoju krajowego przemysłu. Czego dowodzą liczne przykłady z Rosji, Iranu i Chin.

Odcięte od cudzych technologii Chiny tylko w ciągu ostatniego roku zaprezentowały światu oparty na własnych

→ podzespołach i procesorach smartfon oraz konkurencyjny model AI, DeepSeek. Kolejne ograniczenia nakładane przez administrację Bidena i Trumpa miały je wprawdzie odciąć od najnowszych chipów, spowalniając rozwój tamtejszych technologii, stało się jednak odwrotnie. Jeżeli więc premiera chińskiego narzędzia AI jest w stanie doprowadzić do największych w historii Wall Street jednodniowych spadków wyceny spółek (idących w setki miliardów w jednej sesji), to trudno chyba mówić o świecie pogrążonym w izolacjonizmie i autarkii.

To zaś prowadzi generację „ultrastrzebi” – w rodzaju doradcy Trumpa Elbridge’a Colby’ego – do przekonania, że wojna jest nieuchronna. Świat ma przecież miejsce na tylko jednego hegemoną. Wszelkie wysiłki Chin na rzecz zdobycia pozycji dominującej potęgi gospodarczej należy traktować jako wysiłki zmierzające do pozbawienia tej pozycji USA – tłumaczył niedawno Colby na stronach American Compass, think tanku będącego intelektualnym zapleczem protekcyjistów i antyglobalistów na amerykańskiej prawicy. Integracja handlowa i rozwój technologii zakłada odejście od logiki gry o sumie zerowej, rywalizacja imperiów każe do niej wrócić. Czasy, gdy handel miał opłacać się wszystkim, minęły.

Ale nawet jeśli USA odgródzą się od Chin murem, to nic nie stanie na przeszkodzie, by republika ludowa objęła swoim „kręgiem globalizacji” ponad połowę światowej populacji, dostarczając miliardom ludzi i dziesiątkom rządów technologii i sprzęt niezbędne do transformacji energetycznej czy zwrotu w kierunku elektromobilności, a nawet finansowanie inwestycji wszędzie tam, gdzie tylko zechcą to przyjąć. Jak pisał w „Zemście Imperium Osmańskiego” Louis-Vincent Gave – to, co dla jednych wydaje się końcem globalizacji, dla innych jest jej nowym początkiem. I jak mieszkańcom basenu Morza Śródziemnego pod koniec XV wieku, wraz z nadejściem epoki odkryć geograficznych i kolonialnych podbojów, wydawać się mogło, że światowy handel i wymiana zamierają, tak dla reszty świata dopiero się zaczęły.

Chińczycy, by stworzyć własny krąg globalizacji, nie będą przecież musieli iść na wojnę z USA ani detronizować dolara jakąś hipotetyczną „walutą BRICS”. Jeśli już, to prędzej cyfrowym juanem,

Do niedawna wydawało się,
że globalizacja i nacjonalizm
stoja w sprzeczności.

Dziś okazuje się, że ta pierwsza
mogła wykarmić drugi,
a ten narzucił jej swoje
kategorie i ramy.

nad którym intensywnie pracują. Dolar zaś w krótkim i średnim horyzoncie czasowym jest raczej niezagrożony jako globalna waluta rezerwowa. Cofnięcia kalendarza do czasów sprzed Adama Smitha nie chce prawie nikt. W przeciwieństwie do pierwszej „zimnej wojny”, dzisiejsi adwersarze są od siebie głęboko zależni.

Skoro jednak globalizacja udała się tak dobrze – to czemu jest tak źle?

Powrót granic

Nie jest przecież tak, że chęć stawiania barier, niezadowolenie z kształtu globalizacji i nostalgia za starymi dobrymi czasami pojawiły się wczoraj. A światowy porządek i reguły rządzące globalizacją cieszyły się takim samym poparciem w, dajmy na to, 2001 i 2016 r. Jak ujął to niedawno Robert Wright, autor książki „Nonzero”, „prawdziwym dziedzictwem Bidena jest nowa »zimna wojna«”. W ostatnich latach to ekipa Demokratów – jak wylicza – podjęła więcej działań zmierzających do objęcia Chin sankcjami i embargiem technologicznym, zaostrzyła retorykę obrony Tajwanu, a nawet publikowała więcej antychińskich spotów wyborczych w kampanii.

Chiński komunizm czy autorytaryzm mają tu niewiele do rzeczy. Czy wierzymy, że USA zaakceptowałyby chińską dominację gospodarczą, gdyby był tam inny ustrój? „Globalizacja była projektem amerykańskim, z którego amerykańskie firmy wyciągały sówite zyski – pisze historyk gospodarki Adam Tooze na łamach „London Review of Books”. – Gdy tylko [wynikający z globalizacji] rozwój technologii i przemysłu zagroził jednak dominacji USA w kluczowych obszarach, amerykańskie państwo zmieniło reguły gry i dołączyło do obozu rewizjonistów”. W tym

samym czasie – w dekadzie po kryzysie 2008 r. – powab straciły projekty dalszej integracji w ramach euro, strefy wolnego handlu w rodzaju NAFTA czy TTIP, a jeszcze bardziej: idea multikulturalizmu, powszechności praw człowieka dla uchodźców i wolnego przepływu migrantów zarobkowych. Granice i kontrola nad nimi wróciły do katalogu najbardziej pożądanych atrybutów nowoczesnych państw.

Wizja świata bez granic i nieskrępowanej konkurencji, utopia pozbawionego narodowości kapitału i obiektywnych wyroków neutralnych rynków – to wszystko runęło niemal dekadę temu. Przez kolejne lata poruszaliśmy się w zgłiszczach tego gmachu, udając, że to tylko przejściowa sytuacja. Im dalej jednak od populistycznego szoku lat 2015-2016, tym bardziej jasne było, że coś się zmienia. Może brexit, zwycięstwo Trumpa w 2016 r. i przeciąganie bieguna europejskiej polityki w prawo były tylko symptomami czegoś większego? Wyczerpania modelu, a nie tylko odrzucenia będących jego fasadą elit?

To znaczy, że to nie wąskie grono populistycznych czy antyliberalnych polityków odwróciło się od globalizacji i postanowiło ten projekt zakończyć. Odwrotnie: globalizacja wyprodukowała tak wielu swoich krytyków, od Waszyngtonu, przez Londyn, po Moskwę i New Delhi, by dać paliwo projektom politycznym, które chcą ten projekt pogrzebać. Jednak nie po to, by zrujnować globalny kapitalizm, międzynarodowy handel i światowe rynki. Raczej by nagiąć je do własnych, narodowych, klasowych i neoimperialnych potrzeb.

Chiński szok

Badania zespołu chińskich i amerykańskich naukowców, opublikowane w 2022 r. w „Journal of International Economics”, przekonują, że amerykańscy wyborcy z regionów dotkniętych dezindustrializacją i wpływem negatywnego bilansu handlowego USA wspierają kandydatów bardziej protekcyjnych od ćwierćwiecza. Do tych samych wniosków doszedł David Autor z MIT, współautor badań wpływu „chińskiego szoku” na amerykańskie nierówności i losy pracowników przemysłu.

„Kulturowy i klasowy resentyment związany z chińskim szokiem dla amerykańskich robotników są tak rozpalone, że można je porównać tylko do huragano-



CARLOS GARCIA GRANTON / GETTY IMAGES

Xi Jinping, prezydent Chin z wizytą w Peru. Lima, 14 listopada 2024 r.

wego pożaru, który wzniesia własny wiatr i niesie się dalej przez las. Gospodarcze zjawiska, które wzniciły te emocje [w poprzednich dekadach XXI w.], mogą już ustępować, ale emocje reprodukuje się dalej, a paliwa dla tego pożaru nie brakuje” – tłumaczył w czasie amerykańskiej kampanii wyborczej dziennikarzom „New York Timesa”. Być może częścią problemu jest to, że negatywny wpływ chińskiego eksportu na amerykańskie społeczeństwa ma geograficznie ograniczony charakter, to znaczy skupiony jest w konkretnych regionach i hrabstwach, które doznały największej dezindustrializacji. Ale przez to, że uderzył w miejsca pracy, edukację i ochronę zdrowia (a później jeszcze przyczynił się do kryzysu uzależnień i rozpadu rodzin) – jego skutki odczuwają dziś także dzieci i wnuki pierwszych ofiar dezindustrializacji. Skądinąd: fakt, że procesy te doprowadziły do relatywnego zubożenia i utraty prestiżu konkretnie mężczyzn, i to wykonujących prace fizyczne, nie jest bez znaczenia.

Co ciekawe, podobną mapę i socjologię postaw wyborczych przedstawili po brexicie brytyjski pisarz i publicysta James Meek oraz politolog Will Davies. A opowieść ta ma też kanadyjskie, niemieckie czy francuskie odpowiedniki.

Państwa to oni

Trudno się więc dziwić, że jedną z najczęściej cytowanych i komentowanych książek stała się na powrót pozycja „Wojny handlowe to wojny klasowe” Matthew C. Kleina i Michaela Pettisa. Ten drugi został nawet całkiem niedawno nazwany „najbardziej wpływowym teoretykiem gospodarki i handlu międzynarodowego na świecie”, bo wygląda na to, że czytają go nie tylko zachodni, ale i chińscy decy-

denci. „Wojny handlowe...” przekonują bowiem, że problem z globalizacją polega nie na tym, że za bardzo wzmocniła Chiny kosztem USA albo USA wobec reszty świata, ale że... wzmocniła krajowe elity korzystające z nierównowag handlowych kosztem robotników i konsumentów, których stać na coraz mniej w proporcji do tego, ile produkują i zarabiają. Elity obu tych krajów wolą podtrzymywać system, który opłaca się im samym, nawet jeśli skazuje ich ojczyzny na szybszy konflikt.

„Problemy ostatnich kilku dekad nie mają swoich korzeni w konflikcie geopolitycznym ani w sprzecznych charakterach narodowych. Spowodowane są przede wszystkim transferami dochodów na konta bogaczy i kontrolowanych przez nich firm. Zwyczajni ludzie na całym świecie tracą siłę nabywczą, a co więcej: wszelkiej maści oportuniści i szowiniści wmawiają im, że ich interesy z zasady stoją ze sobą w sprzeczności. Globalny konflikt między klasami społecznymi w obrębie poszczególnych krajów jest błędnie interpretowany jako seria konfliktów między konkurującymi ze sobą państwami” – pisali we wstępie do swojego dzieła.

Tezy Kleina i Pettisa są kontrowersyjne, bo idą wbrew zarówno liberalnej opowieści o tym, że to źli populiści wykołeli świetnie działający system, jak i konserwatywnej optyce nieuchronnego starcia cywilizacji, narodów i systemów. A na naszych oczach spełnia się ich przepowiednia, że biznesowym i politycznym elitom – w Pekinie tak samo jak w Moskwie czy Waszyngtonie – łatwiej będzie pogodzić się ze wzrostem nacjonalizmu niż z wizją podzielenia się dobrobytem. Podobnymi torami idzie myślenie autorów niedawno wydanej książki „The Ri-

valry Peril” (Rywalizacja jako zagrożenie) Vana Jacksona i Michaela Brenesa.

Pomylenie skutku z przyczyną

Amerykańska polityka w XX w. oscylowała między biegunami pokojowego przywództwa w międzynarodowym liberalnym łądzie oraz bardziej militarnej wizji narzucania swojej woli w zimnowojennej rywalizacji. Po 1989 r. czerpała z obu. Ale – dowodzą Jackson i Brenes – to spojrzenie maskuje rolę Ameryki we wzmocnieniu nowego bohatera na scenie: nacjonalizmu właśnie.

„Typowa dla Waszyngtonu potrzeba dzielenia świata na demokracje i autokracje przysłoniła globalny zwrot w stronę nacjonalizmu, który zaczął się po 2008 r. Kryzys wzmocnił tendencje protekcjonistyczne i uszczelnianie granic, uderzając również we wzrost gospodarczy w wielu miejscach świata. I to właśnie wzrost nacjonalizmu i etnonacjonalizmu był dominującym zjawiskiem politycznym drugiej dekady XXI w.” – pisali niedawno w „Foreign Affairs”. Dodając natychmiast, że zamiast odpowiedzieć na gospodarcze przyczyny rozlewającego się po świecie niezadowolenia, kolejne rządy USA – pierwszy Trump, Biden i Trump po raz drugi – zajęci byli dławieniem chińskiego wzrostu i wznoszeniem dalszych barier w światowym handlu. „Transformacja energetyczna i konieczność odpowiedzi na zmianę klimatyczną zostały zastąpione nieudolnymi próbami zdominowania sektora samochodów elektrycznych; ekonomiczna współzależność padła ofiarą kontroli łańcuchów produkcji; obietnice fali, która podnosi wszystkie łódzie, zastąpił wyścig o samodzielne zjedzenie jak największego kawałka tortu kurczących się globalnych zasobów gospodarczych. Im dłużej USA ignorują ciężar długu, niestabilności, przemocy, jaki ponoszą biedniejsze kraje wskutek tej rywalizacji, tym bardziej dokładają się do dalszego rozlewu nacjonalizmu” – konkludują.

Obecna wojna handlowa, zwrot ku protekcjonizmowi i jeszcze mocniejsze skupienie na międzynarodowej rywalizacji są więc efektem pomylenia skutku z przyczyną. Sprowadzając te myśli do banału: losu robotników i ofiar dezindustrializacji w jednym kraju nie polepszy pogorszenie losu tych samych ludzi w drugim. Globalizacja wygenerowała problemy z dystrybucją dochodu na poziomie gospodarek →

→ krajowych oraz niebezpieczną spiralę zadłużenia i uzależnienia od importu dla krajów biednego Południa, a pogłębienie rywalizacji amerykańsko-chińskiej i bardziej konfrontacyjne podejście do międzynarodowych relacji gospodarczych nie przyniesie odpowiedzi na żaden z powyższych problemów.

Do niedawna wydawało się, że globalizacja i nacjonalizm stoją w sprzeczności. Dziś okazuje się, że ta pierwsza mogła wykarmić drugą, a ten narzucił jej swoje kategorie i ramy.

Globalizacja nacjonalizmów

Rozczarowanie globalizacją przyniosło odwrót nie od kapitalizmu, ale od liberalizmu. To właśnie jego świętości podeptano najmocniej: od wolnego handlu i swobodnego przepływu ludzi, towarów i kapitału; przez ideał praworządności oraz prawa międzynarodowego; kulturę tolerancji i politycznej poprawności; multilateralizm i wiarę w instytucje międzynarodowe; merytokrację, wiarę w wiedzę ekspertów oraz fact-checking; po trójpodział władzy czy niechęć do centralnego planowania i polityki przemysłowej... – wyliczankę można kontynuować.

Wygrywając formułą polityczną tych czasów jest nie jakaś forma socjalistycznego uniwersalizmu czy liberalny nacjonalizm. Niezależnie, czy spojrzymy na USA, Chiny, czy Indie, zwycięską formułą jest synteza państwa narodowego z narodowymi czempionami. Kapitaliści we

Może brexit, sukcesy Trumpa, przeciąganie bieguna europejskiej polityki w prawo to symptomy wyczerpania modelu, a nie tylko odrzucenia będących jego fasadą elit?

wszystkich krajach o imperialnych ambicjach próbują zespolić swoje interesy z interesami klasy politycznej i ugrać coś dla siebie na globalnych niepokojach. Protekcjonizm i walka o „swoje firmy” może być dla nich nawet korzystniejsza niż rywalizacja z konkurencją na globalnej arenie.

Patriotyzm, nacjonalizm albo wprost szowinizm – skierowany wobec migrantów, wobec biednych we własnej ojczyźnie, w przedstawicieli konkurencyjnych cywilizacji i porządków – jest użytecznym systemem operacyjnym tej konstrukcji. Rosja tocząca w Ukrainie wojnę przy pomocy chińskiej technologii, irańskiej amunicji, koreańskich i syryjskich najemników oraz wypranych przez zachodnie firmy pieniędzy byłaby jednym z przewrotnych przykładów globalizacji nacjonalizmów w działaniu. Innym byłby Elon Musk rozgrywający napięcia na tle migracji w Niemczech i Wielkiej

Brytanii, by ukryć własny interes w ściąganiu do swoich firm zagranicznych pracowników, osłabić pozycję negocjacyjną amerykańskiego programisty i za federalne pieniądze zbudować kolejną fabrykę gdzieś w Chinach.

Trump sprzed 125 lat

Globalizacja, która wzmacnia nacjonalizmy, a jednocześnie wymusza od rządów mocniejsze zaangażowanie na arenie międzynarodowej dla obrony krajowego interesu, to nie nowość. Już w XIX w. świat przechodził przez ten cykl. Izolacjonistów naprawdę konsekwentnych było jednak niewielu, a jeszcze mniej było w tym gronie zwycięzców.

Pierwsze zwycięstwo Trumpa porównywano z prezydenturą Andrew Jacksona (1829-1837), politycznego chuligana i populistę swojej epoki. Dziś najmodniejszym punktem odniesienia jest William McKinley (1897-1901), wielki orędownik wysokich cel, protekcjonizmu i agresywnej obrony amerykańskich interesów. Jeden z wyborczych plakatów z epoki przedstawia go stojącego na platfomie ze złotej monety, w bramie między portem a miastem, alegoriami „handlu” i „cywilizacji” (przemysłu) nad nimi i łukiem układającym się w napis „DOBROBYT w kraju, szacunek za granicą”.

Czy gdyby przedstawić któregoś z dzisiejszych liderów globalizacji nacjonalizmów w tej konwencji, zauważylibyśmy wielką różnicę? © JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik)
 Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik,
 Piotr Sikora, Artur Sporniak,
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
 Michał Okoński, Marek Rabin, Piotr Śmiłowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
 Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska
 (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska,
 Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kaćka, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszynski
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bonowicz, Paweł Maliszewski,
 Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejewska,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
 Bartosz Kabala, Eliza Kaćka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieźun,
 Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
 Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
 Paweł Musiałek, Marcin Napierkowski, Małgorzata Nocur,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
 Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
 Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik,
 Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
 GRUPA TOYA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TOMASZ

Stawiszyński: Rozszczepienia i cyrografy



WIADOMO, POPKULTURA JEST CZYMŚ NA kształt wielkiej alchemicznej retorty, w której formują się nasze gusta, poglądy, fantazje i pragnienia. Potężne wytwórnie dysponujące stosownymi zasobami finansowymi tworzą obrazy świata wedle oczekiwań (wyr-

żanych wprost lub pośrednio) rozmaitych politycznych czy ekonomicznych agend. Style życia, upodobania, a przede wszystkim marzenia i aspiracje bohaterów rodzą się pod czujnym okiem producentów. Podobnie – hierarchie wartości. Co dobre, a co złe – to także podsuwają nam wyspecjalizowani suflerzy. Każdy względnie świadomy konsument tego typu rozrywki wie doskonale, że poszczególne dekady mają swoje klasyczne reprezentacje największych bezceństw i zagrożeń. Skądinąd nierzadko odzwierciedlają one realne zagrożenia czy konflikty. Np. przed 1989 r. w amerykańskich blockbustach często występowali w tych rolach Rosjanie, potem zastąpili ich bliskowschodni wyznawcy Allaha, a niedawno Rosjanie powrócili. Z kolei w zauważalnej części współczesnych sensacyjnych seriali brytyjskich zło nieodmiennie przybiera postać białego mężczyzny (lub mężczyzn) o prawicowych poglądach, który podszywa się, dajmy na to, pod radykalnego wojownika dżihadu, żeby chytrze, korzystając na społecznych stereotypach, odwrócić od siebie uwagę. Powtórzę: widać w tym pracę speców od politycznego PR-u, widać świadome formowanie postaw i stymulowanie szlaków skojarzeniowych.

Z drugiej jednak strony film i literatura to żywioły, nad którymi nie da się do końca zapanować, a ich wytrawni miłośnicy są wyjątkowo wyczuleni na sztamę i propagandę. Popkultura w swoim najlepszym wydaniu napędzana jest więc w pierwszej kolejności wyobraźnią i talentem twórców, które przerastają możliwości poznawcze najbardziej nawet czujnych suflerów-producentów. Wówczas staje się czymś na kształt mapy zbiorowej nieświadomości, kłębowiskiem snów i pragnień, które przychodzą nie wiadomo skąd, i których nie da się zredukować li tylko do ekonomicznego czy politycznego interesu. Przyglądając się bacznie popkulturowemu uniwersum, dowiadujemy się więc zarówno tego, która polityczna agenda jest dziś najbardziej wpływowa, jak i tego, na co ta agenda wpływu nie ma i mieć nie będzie. A niekiedy to właśnie ona – za jej własne pieniądze (przypomina to czasem, paradoksalnie, gry z cenzurą w minionej epoce) – podlega sprytnej demaskacji i dekonstrukcji.

Przez ten właśnie pryzmat obejrzałem serial „Rozdzielenie”, powstający pod reżyserską i producencką opieką Bena Stillera oraz kinowy body-horror „Substancja” w reżyserii Coralie Fargeat. Oba mają wyraźny polityczno-kulturowy wydźwięk – krytyka korporacjonizmu w „Rozdzieleniu” (o czym świetnie pisał u nas tydzień temu Jakub Majmurek) oraz patriarchy w „Substancji” – a na pierwszym planie pojawia się motyw rozbicia podmiotu na dwie równoległe instancje, z których każda nie wie o istnieniu tej drugiej. Jako motyw literacki czy filmowy ma to oczywiście bujną historię, wystarczy wymienić klasyczną nowelę „Dr Jekyll i Mr Hyde” Roberta L. Stevensa czy też komiksy o Hulku, Supermanie albo Batmanie. W latach 90. ubiegłego stulecia o rozszczepieniu w tej czy innej postaci traktowały m.in. takie powieści, a potem filmy, jak „Fight Club” czy „American Psycho”. Słowem, rzecz jest w zachodnim imaginariu mocno zakorzeniona i co jakiś czas powraca. Tym razem jednak – w nieco odmiennym kostiumie.

Nie wchodząc w głębinowe analizy, lecz tylko felietonowo markując: doświadczenie rozszczepienia w „Rozdzieleniu” i „Substancji” bierze się z pochwycenia bohaterów w przemysłnie zastawioną pułapkę. Z ich wiary w uwodzicielską obietnicę, że istnieją idealne rozwiązania nierozwiązywalnych problemów, i że dostęp do nich można kupić, a może nawet otrzymać w prezencie. Od supernowoczesnej korporacji, dysponującej technologią, która umożliwia wytworzenie alternatywnej tożsamości pracownika. Tożsamości, która nie styka się w żadnym punkcie z jego życiem poza pracą. Albo od supernowoczesnego, lifestylewo-farmaceutycznego startupu, oferującego substancję zdolną na pewien czas przemienić klienta w „najlepszą wersję siebie”: młodą, piękną, sprawną, a co najważniejsze – budzącą pożądanie. Tak doskonałą, że łatwo zapomnieć o wersji realnej – co oczywiście głównej bohaterce, domyślamy się tego od początku, z pewnością musi się w końcu przytrafić.

Osobliwie ta technologiczno-korporacyjna rzeczywistość ma... iście diaboliczną proveniencję. Uwodzi bezwzględnie, eksploatuje bez żadnych zawahań, gotowa jest na wszystko, byleby zapewnić sobie więcej zysku. Żeruje przy tym na najgłębszych, odwiecznych, archetypowych pragnieniach, najbardziej rozpaczliwych potrzebach, lękach, wobec których stajemy się dziś coraz bardziej bezradni. Piękno, wieczna młodość, zapomnienie o stracie, której nie da się zaakceptować. Na te luki, rany, lęki i niepokoje, z którymi lepiej lub gorzej oswajały nas ongiś kultura i religia, odpowiadają dziś rynek i technologia, mając nas dokładnie tą samą fałszywą nadzieją, przed którą kultura i religia zawsze przestrzegały. Szepczą: „młodość i piękno da się zachować, straty da się uniknąć, pożądanie utrzymać na zawsze. Trzeba tylko podpisać cyrograf, pardon, umowę, kontrakt, zobowiązanie...”.

Upiornie trafna metafora, nieprawdaz?

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Żaba i Talmud



KRÓLOWI DAWIDOWI, JAK GŁOSI TRADYCJA, skromności nigdy nie brakowało. Tylko raz – kiedy ukończył swój Psalterz – jego serce uniosło się dumą. „Panie Wszechświata, czy jakieś inne stworzenie mówi poezją jak ja?” – zapytał w midraszu.

I wówczas odezwała się żaba. Przyzwyczajeni przez popularne dowcipy do rubasznych żabich ripost zapewne zdziwimy się jej słowami, bo w poezji bije ona króla Dawida na głowę – tak ilością, jak też jakością. Na tym midrasz się kończy, ale nieco światła mogą nań rzucić zmagania komentatorów z hebrajskim słowem oznaczającym żabę: *cefardea*. Wyraz ten ma aż cztery sylaby – wyjątkowo dużo jak na ten język, zważywszy, że nie ma ani przedrostka, ani przyrostka.

Może więc go podzielić? Pierwsza propozycja: wyrazy *cipor* (hebr. ptak) i *dea* (hebr. wiedza). Jeśli posłużymy się samymi spółgłoskami i pisownią bez *matres lectionis*, „ptak” i „wiedza” złożą się w „żabę”. Jeśli żaba zdolna jest wyśpiewywać ptasie trele, król Dawid rzeczywiście nie ma co stawać z nią w szranki. Drugi pomysł na podział hebrajskiej żaby – pochodzący z innego czasu i miejsca – to *cafra* (aram. ranek) i znów *dea*. Dlaczego tak? Żaba odróżnia pory dnia i nocy, wie, kiedy należy przestać kumkać, by odmówić poranną modlitwę Szema Jisrael (znaną jako „Słuchaj, Izraelu”, choć lepiej byłoby przetłumaczyć „Usłysz / zrozum, Izraelu”). To z kolei spłata się z frazą przypisywaną żabie w starożytnym dziele, które wersy biblijne i rabiniczne, wychwalające Najwyższego, wkłada w usta Bożych stworzeń. Żaba mówi tam: „Błogosławione Imię chwały Jego panowania po wsze czasy”. Żydzi odmawiający Szema Jisrael dodają to zdanie między „Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jedyny” (Pwt 6, 4) a „Będziesz kochać Pana, twój Boga, całym sercem, całym życiem i wszystkim, co posiadasz...” (wers 5; tłum. własne).

Talmud też odnosi się do biblijnych żab pozytywnie, stawiając nam je za wzór. W zapowiedzi drugiej plagi egipskiej czytamy: „I zaroi się rzeka żabami, i wyleżą i wnijdą do domu twego i do pokoju sypialnego twego, i na łóżce twoje, i do domu sług twoich, i między lud twój, i do pieców twoich i do dzież twoich” (Wj 7, 28; Cyłkow). Żaby – by wypełnić Boży nakaz – posłusznie wchodzi także do pieców, nawet gorących. Czy to nie powód, by spojrzeć na te zielone plazy świeżym okiem? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Wyjątek



„TAK MÓWI PAN: PRZEKLĘTY CZŁOWIEK, który polega na człowieku i to, co śmiertelne, czyni swym oparciem (...) Błogosławiony człowiek, który polega na Panu” – zapewnia prorok Jeremiasz. Nie jest to jednak wcale takie pewne. Prosimy, ale na

próżno. Mówimy, że widocznie źle się modlimy, nasze modły nie były zgodne z wolą Bożą, ksiądz coś spała, a zresztą – Bóg wie lepiej od nas, czego nam do szczęścia potrzeba i nie daje czegoś, co może nam zaszkodzić. I jest w tym nieco prawdy. Jezus, odpowiadając na prośbę matki synów Zebedeusza, powiedział: „Nie wiecie, o co prosicie”.

Zresztą, nie chcąc się Bogu narazić, lepiej Mu nie przypominać, że Jego Syn, Jezus, obiecał: „Każdy, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a temu, kto puka, otwierają”. Jednak dalej czytamy, że Bóg tym, którzy Go proszą, przede wszystkim „da Ducha Świętego”, o czym my nie chcemy pamiętać, wciąż uważając, że największym darem, który tylko Bóg może, a nawet powinien nam zagwarantować, jest zdrowie. Paweł przypomina: „Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania”. A jeśli już się zdarzy niemożliwe i np. rak się cofnie, zaraz widzimy w tym cud, wydarzenie nadprzyrodzone, szczególną łaskę, którą wyprosiłymi dzięki wstawiennictwu świętych i zastosowaniu specjalnych modłów. Słowem – znaleźliśmy sposób, by Boga przekonać do spełnienia naszej woli. Tyle tylko, że takiego boga, którego należy przekonywać, żeby się wreszcie zainteresował swoimi wyznawcami, słusznie można podejrzewać o narcyzm, a nawet o sadyzm.

Bóg Jezusa Chrystusa nie obiecuje gruszek na wierzbie. Jeśli sądzimy, że za mało się o nas troszczy, to warto pamiętać, że nie zatroszczył się też o swego Syna, człowieka Jezusa i „wydał Go w nasze ręce”, a my zrobiliśmy z Nim, cośmy chcieli. Ten dramat Boga i człowieka wciąż trwa. Nie wystarczy wierzyć, że Jezus realnie jest jedynie w Eucharystii i w tabernakulum. Tak samo realnie jest obecny w ubogich, głodnych, nagich, uchodźcach, płaczących, znienawidzonych, uwięzionych, potępionych i zabijanych. Nie tyle wśród nich, co w nich. Dlatego największym darem Boga dla nas jest życie, a naszym dla Boga – zgoda na przyjęcie tego życia z jego nieprzewidywalnością. Z jedynym wyjątkiem – śmiercią. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Bóg w obcym

Jezus zobaczył
niemowlęta ssące mleko.
I powiedział:
„Te maleństwa ssące mleko
podobne są
do wchodzących
do Królestwa”.

EWANGELIA TOMASZA



Nie da się iść
zbyt długimi krokami.

LAOZI



LIST DO HEBRAJCZYKÓW, który czytywa-
liśmy w Liturgii
w ostatnim tygodniu,
zamyka piękne
i konkretne wezwa-
nie do miłości: „Niech trwa w was braterska
miłość. Nie zapominajcie też o gościn-
ności, gdyż przez nią niektórzy, nie wie-
dząc, aniołom dali gościnę. Pamiętajcie
o uwięzionych, jakbyście sami byli uwię-
zieni, i o tych, co cierpią, bo i sami życie
w ciele” (zob. Hbr 13, 1-8).

Spójrzmy do greckiego oryginału, bo
przemawia do nas jeszcze mocniej. Naj-
pierw czytamy o dwóch wymiarach mi-
łości: do braci i do obcych (*he FILADEL-
FIA menéto; tes FILOKSENIAS me epilan-
thánesthe*). Obydwa wyróżnione słowa za-
czynają się tak samo: filia znaczy miłość
(względnie *filos* – przyjaciel). Drugą ich
częścią są słowa: *adelfos*, czyli brat, i *kse-
nos*, czyli obcy, inny, gość. Można więc
przetłumaczyć: „Niech trwa miłość do
braci; nie zapominajcie też o miłości do
obcych!”.

W wezwaniu do miłości braterskiej
punkt ciężkości spoczywa – jak się wy-
daje – na słowie „trwać” (grec. *meno*). Cho-
dzi bowiem raczej o postawę niż o jedno-
razowy czyn. Czy nie dlatego właśnie mi-
łość braterska bywa trudna i wymaga-
jąca? Miłość do obcych takiej dyscyplinie
nie jest poddana – może okazać się wyda-
rzeniem jednorazowym (jak np. udzielenie
gościny). Ale niesie ze sobą obietnicę:

przyjmując obcego można spotkać Boga
(a to prawda wzięta z samego serca Tory
– zob. historie Abrahama i Lota).

Potem nasz tekst wzywa do miłości, so-
lidarności i jedności z tymi, którzy zo-
stali uwięzieni. I z tymi, „co cierpią”,
uświadamiając nam, że wraz z nimi je-
steśmy współczłonkami jednego ciała
(grec. *soma*). Pamiętajmy z innego tekstu
Nowego Testamentu: „gdy cierpi jeden
członek, współcierpią wszystkie członki”
(1 Kor 12, 26).

Warunkiem takiej miłości jest... ubóstwo.
Autor Listu do Hebrajczyków mówi dalej:
„Postępowanie wasze niech będzie wolne
od zachłanności na pieniądze; zadowa-
lajcie się tym, co macie”. Taka jest dyscy-
plina Ewangelii (i doświadczenie życia):
by być miłosiernym, trzeba być ubogim.

Słowo nie tylko mówi nam, jakie czyny
mamy podjąć, ale także w jakim duchu
to czynić.

Jeden jest tego powód i motyw: Chrystus
– wczoraj i dziś, ten sam także na wieki.
Taki sam dwa tysiące lat temu i dziś:
ubogi, przybysz, uwięziony, nagi, głodny
i spragniony. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem
Kościoła, kaznodzieją i rekoлекcjonistą.
Wydał wiele książek o historii, teologii
i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 II)

6. niedziela zwykła: Jr 17, 5-8; Ps 1;
1 Kor 15, 12. 16-20; Łk 6, 17. 20-26;
Poniedziałek: Rz 4, 1-15. 25; Ps 50; Mk 8, 11-13;
Wtorek: Rdz 6, 5-8; 7, 1-5. 10; Ps 29; Mk 8, 14-21;
Środa: Rdz 8, 6-13. 20-22; Ps 116; Mk 8, 22-26;

Czwartek: Rdz 9, 1-13; Ps 102; Mk 8, 27-33;
Piątek: Rdz 11, 1-9; Ps 33; Mk 8, 34 – 9, 1;
Sobota: 1 P 5, 1-4; Ps 23; Mk 16, 13-19;
7. niedziela zwykła: 1 Sm 26, 2. 7-9. 12-13. 22-23;
Ps 103; 1 Kor 15, 45-49; Łk 6, 27-38.

Wybrał PIOTR SIKORA

OD MIŁOŚCI DO OSIEMSET MINUS

Najpierw była pomocowa euforia, później tonująca ją wojenno-uchodźcza codzienność.

Dziś antyukraińską kartą grają kandydaci na prezydenta.

Czy trzecią rocznicę fali imigracji do Polski naznaczy kryzys wzajemnego zaufania?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

LĄCZYMY SIĘ W CZWARTEK 30 STYCZNIA po południu, na ekranie widzę szeroko uśmiechniętą twarz młodej kobiety. Jak bardzo to myląca mina, zrozumieć w połowie rozmowy, po pytaniu o pracę. – Właśnie się dowiedziałam, że jestem tu do końca miesiąca. Czyli do jutra – mówi mi Zoryana, architektka ze Lwowa, od trzech lat mieszkająca w Krakowie lub okolicach, a pracująca do końca stycznia dla niewielkiej polskiej firmy. Na umowę zlecenie, czyli bez okresu wypowiedzenia.

W tle słychać dzieci Zoryany, a nasza rozmowa – choć miała dotyczyć głównie nastrojów polsko-ukraińskich nad Wisłą – zejdzie szybko na niedawną propozycję Rafała Trzaskowskiego, by 800 plus dostawali tylko pracujący w Polsce Ukraińcy. – Tak, od poniedziałku będę teoretycznie jedną z osób, której taki nowy przepis by dotyczył – mówi Zoryana. – I gdyby taka sytuacja, to znaczy brak pracy i brak 800 plus, miała potrwać więcej niż miesiąc, to sobie nie poradzimy. Będziemy musieli pomyśleć o innym kraju pobytu. A co do samej propozycji, uważam ją za przerażającą. I nie chodzi tylko o to, że przez lata płaciłam w Polsce podatki. Raczej o to, że tak jak polscy politycy dzielą nieustannie Polaków, teraz postanowili podzielić też Ukraińców. Na lepszych i gorszych.

O inną niż Zoryany opinię wśród mieszkających u nas Ukraińców trudno. Podobną usłyszę od Margarity, studentki

medycyny z Kielc, Leny, działaczki organizacji na rzecz Ukraińców, a także od Kseni i Andżeliki, dwóch młodych matek. Wszystkie podkreślają, że większość Ukrainek jest w Polsce aktywna zawo-

dowo, a spora część niepracujących pozostaje w domu z konieczności, nie z wyrachowania. Potwierdzają to badania: z ogółu przebywających u nas 1,5 mln Ukraińców (980 tys. z nich korzysta



z tzw. ochrony czasowej polskiego państwa) ok. 80 proc. dorosłych pracuje.

– Wstyd mi za tych pojedynczych rodaków, którzy oszukiwali system, ale z tego, co wiem, furtka, dzięki której można było pobierać to świadczenie, przebywając za granicą, została już zamknięta – mówi Margarita. – Politycy, którzy wysyłają nas do domu albo sugerują nieuczciwość, świadomie podsycają niechęć do nas. Jeśli będą nadal tak robić, wkrótce nie będziemy się czuć w waszym kraju bezpiecznie.

„Świadczenia, które otrzymują obywatele Ukrainy, wcale nie są wypracowywane przez Polaków, którzy chcieliby wspierać tylko członków polskiej wspólnoty narodowej, lecz przez obywateli Ukrainy, którzy współfinansują system solidarnościowy w naszym kraju. Wpłacają oni do budżetu państwa w formie podatków i składek na NFZ i ZUS 15 mld zł [chodzi o wpływy roczne – red.], podczas gdy 800+ dla ukraińskich dzieci kosztuje budżet 2,8 mld zł” – napisał w „Rzeczpospolitej” były szef MSZ w rządzie Zjednoczonej Prawicy Jacek Czaputowicz.

Ale to nie tego rodzaju opinie wyznaczają polityczny kurs i społeczne nastroje. Zdecydowana większość Polaków – wedle sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej” aż 88 proc. – skłonna jest poprzeć propozycję kandydata na prezydenta KO. I zapewne także inne, utrzymane w jeszcze bardziej konfrontacyjnej tonacji komunikaty – na czele z wypowiedzią Karola Nawrockiego, który zakwestionował ukraińskie aspiracje do UE oraz NATO.

Powód jest prosty: o pogarszających się nastrojach względem Ukrainy, Ukraińców i ich pobytu nad Wisłą wiadomo od dawna.

Historia pewnej przyjaźni

O tej ewolucji plastycznie opowie mi Maria Buchanowska, prezeska krakowskiego Stowarzyszenia „Patchwork” wspierającego imigrantki (nie tylko ukraińskie), które mają dzieci z niepełnosprawnościami. Z urodzenia Rosjanka, z męża, dzieci i przywiązania Ukrainka, z miejsca zamieszkania krakowianka.

– Barometrem nastrojów jest takśówka, bo dzięki rozmownym zazwyczaj

kierowcom można wychwycić zmiany – tłumaczy mi Maria, która w Polsce mieszka od 2019 roku. – I tak etap pierwszy to lata 2019-2022: w tym okresie mój mąż, Ukraińiec, nie był darzony specjalnym szacunkiem, za to ja budziłam ciekawość. „Zawsze chciałem pojechać i zobaczyć Rosję!”, mówili taksówkarze i nie tylko oni. Od lutego 2022 r. mąż był niemal noszony na rękach, a ja stałam się z dnia na dzień przekłeta. Do tego stopnia, że przestałam się do pochodzenia przyznawać. I wreszcie etap trzeci, który zaczął się już jakiś czas temu: mąż znowu budzi rosnącą niechęć. Gdy niedawno u lekarza odpowiedziałam przecząco na pytanie, czy jestem z Ukrainy, pan doktor zareagował czymś na kształt ulgi, co miało chyba oznaczać, że Ukraińców jest już według niego za dużo.

Spadki sympatii do Ukrainy i Ukraińców widać we wszystkich sondażach. „Czy gdyby osoby z Ukrainy, które obecnie przebywają w Polsce, miały zostać na wiele lat, byłoby to dla Polski dobre czy złe?” – takie pytanie zadawał regularnie Polakom Ipsos na zlecenie OKO.press i Tok FM. W maju 2022 r. suma odpowiedzi pozytywnych („raczej dobre” i „zdecydowanie dobre”) wyniosła 67 proc., tych negatywnych – ledwie 24 proc. Podobne wskaźniki utrzymywały się w dwóch kolejnych pomiarach w 2022 r., by spaść w kolejnym: w marcu 2023 r. zwolenników dłuższego pobytu ukraińskich uchodźców było 57 proc., przeciwników zaś 40 proc. Podobną, choć nie tak wyraźną tendencję pokazał sondaż United Surveys dla Wirtualnej Polski. O ile w 2023 r. 64,4 proc. Polaków oceniało obecność Ukraińców w Polsce pozytywnie, a 29,5 negatywnie, w styczniu 2025 r. proporcja ta zmieniła się na 55,3 proc. do 33 proc.

– Przeszliśmy długą drogę od entuzjastycznej ukrainofilii do wyrażanej tu i ówdzie niechęci – komentuje dr Łukasz Adamski, ekspert ds. Europy Wschodniej, wicedyrektor Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego, które po lutym 2022 r. badało postawy Polaków wobec Ukraińców i pozostających w swoim kraju Ukraińców względem Polaków. – Zaczęło się nie tylko od humanitarnego

Piknik dla dzieci i kobiet z Ukrainy na podwórku przed siedzibą fundacji „Kocham Dębniki”, lipiec 2024 r.



MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI „KOCHAM DĘBNIKI”

→ powstania, ale też od inicjatyw takich jak rekomendacja przez Radę Języka Polskiego formy „w Ukrainie” zamiast „na Ukrainie” pod wpływem egzaltowanego listu jednej ukraińskiej deputowanej, argumentującej, że „na Ukrainie” to wyraz kolonializmu. Pewne zmiany, od polonofilii do sceptycyzmu, widać też wśród Ukraińców, z dwiema ciekawymi różnicami. Nasi sąsiedzi widzą nas jednak wciąż znacznie lepiej niż my ich, ponadto o ile w Polsce lepiej nastawione do Ukraińców są elity niż klasa ludowa, na Ukrainie jest odwrotnie. Gdyby nasze relacje przyrównać do związku uczuciowego, przeszliśmy od zakochania do fazy, w której obie strony widzą wyraźnie także swoje wzajemne wady.

Niebezpieczny trend

Centrum Mieroszewskiego przeba- dało ostatni rok trwania tego związku – zmiany nastrojów między lutym a grudniem 2024 r. O ile na początku ub. roku suma dobrych i bardzo dobrych skojarzeń wyniosła 25 proc., a tych negatywnych 27 proc., w rok 2025 wcho- dziliśmy z bilansem 23 do 30 proc. Przy- chylniej na Ukraińców patrzą mężczyźni w stosunku do kobiet, a także Polacy le- piej wykształceni i głosujący na partie inne niż prawicowe. Co ciekawe jednak, żadne z ugrupowań nie może pochwalić się dziś elektoratem zdecydowanie pro- ukraińskim: o ile ujemne saldo nastro- jów widnieje tylko przy PiS-ie i Konfede- racji, np. wśród wyborców Koalicji Oby- watelskiej mniej niż co trzeci (32 proc.) wyraża głos pozytywny, a 22 proc. nega- tywny.

Co ważne, spadki dotyczą nie tylko obecności Ukraińców w Polsce, ale też nastawienia do udzielania pomocy są- siadowi. Np. kontynuowanie wsparcia wojskowego Polski dla Ukrainy popiera już mniej niż połowa Polaków (49 proc.), w stosunku do 54 proc. w lutym ub. roku. Spada też poparcie dla obecności sąsiada w Unii i NATO. To pierwsze warun- kowo lub bezwarunkowo pochwała dziś 42 proc. z nas (spadek o pięć pkt. proc.),

a to drugie 59 proc. (spadek o trzy punkty).

– Ten akurat trend uważam za nie- bezpieczny, gdyż może on potencjalnie zmienić kurs polskiej polityki zagra- nicznej – komentuje dr Adamski. – Tym- czasem nasza pomoc wojskowa, finan- sowa, a także poparcie dla akcesji Ukra- iny do NATO to są sprawy z punktu wi- dzenia interesów Polski fundamentalne. Polacy, jak widać, rozumieją to coraz słabiej, wpływając niestety w ten sposób na zachowania polityków.

Skąd się bierze roszczeniowość

Siedzimy na kanapach otoczeni książ- kami: bajkami, reportażami, powie- ściami. Po jednej stronie pomieszczenia na regałach widać okładki z napisami ukraińskimi, po drugiej – z polskimi i an- gielskimi. Nad głowami Kseni i Andżeliki, młodych ukraińskich matek, z którymi spotykam się w bibliotece krakowskiej organizacji „Kocham Dębniki”, wzrok przykuwa ściennie malowidło. Na ciem- noniebieskim tle ściany powstały białe, rozłożyste skrzydła („skrzydła wsparcia” – dowiem się od dziewczyn), w które au- torzy wkomponowali – napisane też po ukraińsku, polsku i angielsku – słowa. Jest tu „beztroska”, „przyjaźń”, „jedność”, „go- ścinność”, „szacunek”. Choć historii zwią- zanych z tymi słowami Ksenia, Andżelika, ale też inne moje rozmówczynie mogą opowiedzieć bez liku, na Dębnikach usły- szę też inne opowieści. O tym, że pomię- dzy te podnoszące na duchu hasła wkra- dają się – choć nikt ich oczywiście tu nie dopisuje – zupełnie inne wyrazy.

Mogą to być np. słowa, które kilka dni wcześniej – w wizualnie podobnej roz- sypance słownej – zobaczyłem w rapor- cie Centrum Mieroszewskiego. Pocho- dzą z badań fokusowych, czyli pogłębio- nych wywiadów z polskimi responden- tami, i składają się na grafikę, na której największą czcionką zapisano te hasła, których respondenci używali najczę- ściej, proszeni m.in. o „spontaniczne sko- jarzenia z Ukraińcami”. Owszem, widać tu przymiotniki takie jak „uczciwi”, „go-

ścinni” i „sympatyczni”, ale napisane ma- lutką czcionką. Znacznie większe są wy- razy „niewdzięczni” i „cwaniactwo” – naj- większy jest przymiotnik „roszczeniowi”.

– Niektórzy Polacy myślą, że mamy nadmiar pieniędzy, a środki z 800 plus wydajemy na rozrywki – słyszę od Kseni, która pracuje na część etatu w fundacji. – Tymczasem większości z nas jest ciężko, te pieniądze na dzieci to czasami być albo nie być. Ja z 800 plus opłacam przed- szkole, pensja idzie na życie, które w Kra- kowie jest drogie.

– Pracowałam, tak jak Ksenia, w fun- dacji, ale później musiałam zrezygnować ze względu na dzieci – opowiada mi An- dżelika, mama dwójki. – Były małe, nie sposób było zdążyć z pracy, by odebrać je z przedszkola. A my, samotne kobiety z Ukrainy, nie mamy do pomocy ani mę- żów, ani dziadków.

– Wydaje mi się, że niektórzy Polacy byli przyzwyczajeni do jednego „gatunku” imigrantów: tych ekonomicznych sprzed 2022 roku – dodaje Ksenia. – I zakodowali sobie, że to muszą być ludzie ubodzy, bio- rący każdy rodzaj pracy z wdzięcznością. Teraz to się zmieniło: ludzie, i to różni ludzie, z różnymi poglądami i docho- dami, przyjechali, uciekając przed wojną. Nie wszyscy chcą iść na zmywak.

– Postawy, które ktoś może nazwać roszczeniowymi, oczywiście się zda- rzają, jak w każdej społeczności. Tylko że niemal zawsze coś ważnego za nimi stoi – usłyszę z kolei od Olgi Piaseckiej- Nieć, prezeski „Kocham Dębniki”. – Jeśli kobiecie, która jest inżynierem, oferuje się w wieku 50 lat sprzątanie kibli, i ona robi to od trzech lat, żeby przeżyć, to ma prawo być zła na świat i na życie. Inny przykład: przyszła do nas Polka, która powiedziała, że znaleźli młodej Ukraince jedną pracę, drugą, trzecią, ale żadnej nie podjęła. Co się okazało? Gdy ostatni raz wyszła, jeszcze w Ukrainie, do pracy, na jej dom pod jej nieobecność spadła ra- kieta, zabijając dzieci.

„Dlaczego ten wujek krzyczy”

Pytam Ksenię, Andżelikę i inne Ukra- inki, jak się dzisiaj czują w Polsce, i co pod tym względem się zmieniło. Od wszyst- kich usłyszę na początku tę samą opo- wieść – jakby zastrzeżenie do tego, co wyrzuca z siebie w drugiej kolejności. Że Polska dała im wsparcie, że spotkały nie- mał samych życzliwych ludzi. Że prawie

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

niczego złego nie doświadczyły we własnym środowisku. – Drugi dom – mówią o siedzibie „Kocham Dębniki” Ksenia i Andżelika (pierwsza z nich oprowadzi mnie na koniec po fundacji, pokazując charytatywny sklepik z niezbędnymi rzeczami, malownicze podwórko na dziedzińcu kamienicy, pomieszczenia do odpoczynku i nauki).

– Pierwsze trzy pytania, które zdarza mi się słyszeć od obcych mi Polaków, to „czy lubisz Polskę”, „co myślisz o Wołyniu” i „co sądzisz o Banderze” – relacjonuje po chwili Ksenia. – To są pytania, które nakręcają politycy, a my dajemy się rozgrywać. Są też gorsze doświadczenia. Gdy jechałam raz tramwajem z moim dzieckiem, pijany facet zaczął krzyczeć, że tu jest Polska i tu nie mówimy po rosyjsku, mimo że mówiłam po ukraińsku, a właściwie słuchałam swojego dziecka. Na początku nikt nie stanął w mojej obronie. Dopiero gdy ten facet podszedł, wskazał na nas palcem i powiedział: „Twoje dziecko jest psem i ty jesteś psem”, a ja powiedziałam po polsku, że należy mi się szacunek, ludzie zaczęli reagować. Moje dziecko zapytało, „dlaczego ten wujek krzyczy”, ale nie wiedziałam, co odpowiedzieć. To jest jedno tak złe doświadczenie, czyli niewiele na trzy lata, jednak zostaje w głowie.

– Miałam podobną sytuację – dopowiada Andżelika. – Było ciepło, lato, poszliśmy z dziećmi na spacer w większej grupie, dzieci nas wyprzedziły i usiadły na przystanku. Siedział tam facet, który jak usłyszał nasz język, zaczął spluwać i krzyczeć: „Wypierdalajcie!”. Takich sytuacji nie było na początku.

O podobnych doświadczeniach słyszę też od innych Ukrainek. – Wiele niefajnych rzeczy spotkało mnie w pracy, gdzie współpracowałam z dwójgim młodych osób tuż po studiach – opowiada Zoryana, architektka ze Lwowa. – Cały czas poruszali tematy konfrontacyjne, tak jakby istniała tylko polityka, historia z Wołyniem na czele, i religia. Czułam się źle w tym miejscu, pod koniec miałam prawie ciągłe słuchawki na uszach.

– Znajoma Polka zaczęła mi opowiadać, że zwolniła się z pracy, podając za argument fakt, że w firmie było za dużo Ukraińców – opowiada Maria Buchanowska, szefowa „Patchworku”. – Nawet nie przyszło jej do głowy, że jestem z ukraińskiej rodziny i takie zdania mogą mnie ra-



ARCHIWUM PRYWATNE

OLGA PIASECKA-NIEĆ,

PREZESKA FUNDACJI „KOCHAM DĘBNIKI”:

Postawy, które ktoś może nazwać roszczeniowymi, oczywiście się zdarzają, jak w każdej społeczności. Tylko że niemal zawsze stoi za nimi jakiś dramat.

nić. Ale więcej niechęci widzę w polityce niż w codziennym życiu.

„Nie mogę w to uwierzyć, ilu ich jest. To nie moja ulica, nie moje miasto i nie mój kraj” – usłyszała na ulicy Lena Mykhailova, na początku beneficjentka pomocy w Fundacji „Kocham Dębniki”, teraz zatrudniona przez organizację ambasadora społeczności ukraińskiej. – Odpowiedź na pytanie, jak się teraz tu czujemy, nie jest za wesoła – mówi mi Lena. – Opuśczeni i zagubieni, tak bym najkrócej powiedziała. USA, decyzją Donalda Trumpa, zabrały nam środki na projekt pomocowy, a polscy politycy, ale też wielu zwykłych ludzi, zachowuje się tak, jakby się chcieli nas stąd pozbyć.

Bliskość, która leczy

Przyczyną może być lęk. Polacy, wynika z badań naukowców Instytutu Psychologii UJ, czują się zagrożeni napływem cudzoziemców. – Przy czym w przypadku uchodźców z Ukrainy chodzi o zagrożenie realistyczne, a nie symboliczne – tłumaczy mi dr hab. Małgorzata Kossowska, liderka Behaviour in Crisis Lab w Instytucie Psychologii UJ.

– Oznacza to, że nie uważamy uchodźców z Ukrainy za zagrożenie w sferze wartości, a więc porządku społecznego, stylu życia, obyczajów. Zagrożenie widzimy na rynku pracy, w dostępie do usług i dóbr, takich jak oświata, ochrona zdrowia czy pomoc społeczna.

Psycholodzy UJ badali też m.in. nastawienie Polaków do pomagania. Poza tym, że gotowość do niesienia wsparcia spadała od marca 2022 r. (data pierwszego pomiaru), w badaniu widać ciekawe jej uwarunkowania. – Ludzie pomagają częściej, gdy czują się zagrożeni wojną, i gdy inni naokoło pomagają – mówi Małgorzata Kossowska.

Jest i trzeci czynnik: wspieramy Ukraińców tym częściej, im są bliżej nas i im lepiej ich znamy. Ten wniosek rymuje się z ustaleniami Centrum Mieroszewskiego: wskaźniki sympatii i poparcia dla Ukraińców idą w górę, gdy pytani są o nie mieszkańcy większych ośrodków – a to przecież w nich spotykamy Ukraińców realnych, a nie tych wyobrażonych.

– Wnioski są oczywiste – mówi Małgorzata Kossowska. – Pomóc mogą bliższe relacje, częstszy kontakt osobisty, a nie tylko ten zapośredniczony, np. internetowy, najbardziej wypełniony stereotypami i uprzedzeniami.

– Jeśli przez pierwsze dwa lata wojny dopuszczaliśmy naukę online w ukraińskich szkołach, nie dziwny się, że powstały getta. A jeśli one powstają, nie dziwny się lękom – mówi dr Łukasz Adamski. – By je uśmierzać, trzeba i w szkołach, i poza nimi dbać o to, żeby Ukraińcy się integrowali, czuli się dobrze wśród Polaków, a ograniczyli spędzanie czasu tylko we własnym gronie.

Wiedzą to liderki „Kocham Dębniki”, Lena Mykhailova i Olga Piasecka-Nieć. Przez trzy lata, jakie za chwilę upłyną od inwazji na Ukrainę, a co za tym idzie: od utworzenia Świetlicy Dębniki – przez mury fundacji przewinęły się tysiące Ukraińców i Polaków. „Osoby, których domy i bliskich zabrała wojna, codziennie doświadczają tu siły więzi, siostrzeństwa i tego, jak można docierać do swoich zasobów pomimo strat, pomimo tego, że czasem trudno zaczerpnąć powietrza z bólu” – piszą na stronie internetowej.

Olga: – Ta społeczność to nasza odpowiedź. Nie ma lepszej prewencji niechęci, wrogości, stereotypu niż prawdziwe spotkanie. ©PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Jarosław Kaczyński i Tomasz Sakiewicz na gali 25-lecia „Gazety Polskiej”. Warszawa, 6 lutego 2018 r.

W krainie postprawdy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Rywalizacja dwóch telewizji bliskich PiS wiele mówi o naturze współczesnych mediów. Sukces przynosi im emocjonalny przekaz oraz zatarcie granic między dziennikarstwem i polityką. Czy Tomasz Sakiewicz stanie się baronem prawicy?

PIĄTEK 31 STYCZNIA. O GODZ. 10.30 Zbigniew Ziobro powinien już siedzieć przed komisją śledczą ds. Pegasusa, ale jeszcze kilka minut wcześniej udzielał wywiadu Michałowi Rachoniowi w Telewizji Republika. I właśnie tam, po typowym dla Ziobry *show*, były minister sprawiedliwości został zatrzymany przez policję i odstawiony do Sejmu. Transmitowały to na żywo liczne ekipy konkurencyjnych stacji oraz portali.

Zdobywająca coraz więcej widzów TV Republika była w centrum wydarzeń nie tylko z tej okazji. Kilka dni wcześniej, przed 33. finałem WOŚP wodziła rej w atakach na zbiórkę i jej organizatora, prowadząc akcję „Nie daję Owsiakowi, wspieram Republikę”. W jej efekcie Jerzy Owsiak podczas konferencji prasowej złożył zaskakujące oświadczenie: zagroził, że

zerwie współpracę z każdym podmiotem, który zareklamuje się na antenie Republiki. Osiągnął częściowy efekt; niemal natychmiast wycofanie swoich reklam zapowiedziała sieć Lidl.

To wydarzenie w rzeczywistości mogło jednak tylko pomóc Republice, zwiększając jej rozpoznawalność i pozycjonując ją na czele medialnej opozycji wobec aktualnej władzy. Szum wokół medium Sakiewicza pozwala mu się rozwijać, wpływać coraz bardziej na polityków prawicy oraz wygrywać walkę o widzów z bezpośrednią konkurencją – telewizją wPolsce24, która w formule telewizji naziemnej nadaje dopiero od września 2024 r.

Kto jest bliżej „rdzenia”

Obie prawicowe telewizje wypączkowały z koncernów medialnych związa-

nych z konkretnymi środowiskami. Telewizja Republika to „dziecko” „Gazety Polskiej” i portalu Niezależna.pl. Z kolei twórcami telewizji wPolsce24 są bracia Jacek i Michał Karnowscy, właściciele portalu wPolityce.pl oraz tygodnika „Sieci”.

Obie konkurencyjne grupy są też kojarzone z PiS i solidarnie korzystały z finansowego wsparcia za rządów tego ugrupowania. Jednak bliższa „rdzenia” PiS była przez lata ekipa Sakiewicza, która ma dłuższą historię i większy dorobek – środowisko to istniało już za pierwszych rządów PiS w latach 2005-07, jest też powiązane kapitałowo ze spółką Srebrna. Sama zaś Telewizja Republika powstała i zaczęła nadawać w 2013 r.; początkowo była dostępna w internecie, a potem w sieciach kablowych.

Działające od 2010 r. media braci Karnowskich długo traktowane były nieufnie. Powstały dzięki wsparciu SKOK-ów i ich barona, senatora Grzegorza Biereckiego, przez pewien czas uznawanego przez Jarosława Kaczyńskiego za rywala. Stąd też Karnowski przez lata bliżej było do tworzącego Solidarną Polskę środowiska Ziobry.

W ciągu ośmiu lat rządów PiS w latach 2015-23 obie grupy mogły jednak liczyć na reklamy państwowych firm oraz łatwy dostęp do pisowskich prominentów. Ostatnio szczególnie tego wsparcia ujawn-

niła telewizja TVN24, informując, że z publicznych pieniędzy (spółek Skarbu Państwa, rządowych agencji i ministerstw) na media Sakiewicza poszło rzekomo aż 150 mln zł, w tym na samą Republikę ok. 35 mln. Szczegółów pomocy dla mediów braci Karnowskich nie znamy, ale była znacząca, umożliwiając im rozwój na bardzo trudnym rynku oraz ekskluzywne eventy. Dość napisać, że już w 2017 r., w dniu otwarcia internetowej telewizji wPolsce.pl, wywiadu Karnowskim udzieliła ówczesna premier Beata Szydło, a był on równocześnie transmitowany w TVP Info.

Kadrowe rewolucje

Związek z władzą miał jednak dla mediów Sakiewicza i Karnowskich swoją cenę. Były nią nieustanne kłopoty kadrowe – wielu dziennikarzy zasililo po 2015 r. TVP i Polskie Radio, gdzie uprawiali nieustanną propagandę prorządową, kreując przy okazji obraz opozycji jako środowiska złożonego z aferzystów i zdrajców narodu. Po zmianie władzy nie mieli szans na pozostanie w mediach publicznych, ale do niszowych mediów szli bez większego przekonania o możliwym sukcesie.

Sytuacja zmieniła się po grudniu 2023 r., gdy obecna koalicja rządząca siłą odbiła media publiczne. Wówczas TV Republika, bezpośrednio transmitująca to, co działo się w gmachach TVP oraz PAP podczas krótkiej okupacji ze strony posłów PiS, z dnia na dzień zwiększyła gwałtownie oglądalność.

Stację zasilili wtedy sztandarowi dziennikarze „pisowskiej TVP” – Michał Rachoń, Danuta Holecka, Miłosz Kłeczek, Adrian Klarenbach, Jarosław Olechowski – gwarantując, że wielu widzów zgadzających się z przekazem poprzedniej władzy pójdzie ich śladem. Potem Republice pomogło zamieszanie z aresztowaniem posłów PiS Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – wszystkie wydarzenia związane z ich epopeją stacja transmitowała na żywo.

Według pomiarów firmy Nielsen z czerwca 2024 r. (wtedy stacja zanotowała bezprecedensowy wzrost oglądalności) TV Republika wyprzedziła między innymi TVP Info, Polsat News i Wydarzenia 24, osiągając ponad 3-procentowy udział w segmencie kanałów informacyjnych. Oznaczało to prawie 4000 proc.

wzrostu oglądalności w ciągu roku. Najbardziej zdumiewający był nagły przypływ widzów od razu po przejęciu TVP przez obecną ekipę – nic takiego nie zdarzyło się dotąd na polskim rynku medialnym.

– Przez osiem lat rządów PiS TVP wychowała sobie publiczność karmiącą się negatywnymi emocjami – tłumaczy medioznawca prof. Maciej Mrozowski. – I była to naprawdę wierna widownia, której nagle odebrano ulubione medium. Ponieważ Republika bardzo szybko przejęła twarz, programy i stylistykę TVP Jacka Kurskiego, stała się dla tych widzów TVP-bis.

Sukces Republiki oparty był o strategię jednostronnych, emocjonalnych słów i obrazów, z których łatwo wyczytać, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. To bardzo spójny świat, łatwy do przełknięcia dla widza i z czasem oczekiwany przez niego. Jeśli zaczyna być niuansowany różnymi odcieniami szarości, traci siłę i popularność. Oglądający chcą, by dostarczać im znanego już „narkotyku”, najlepiej w jeszcze większej dawce.

Zjawisko to jest jednym z efektów rozwoju mediów społecznościowych i obecnego w nim – jak tłumaczy prof. Mrozowski – efektu odhamowania, czyli zatarcia granic właściwych ludziom w kontaktach twarzą w twarz, oraz świadomości, że nie grozi za to żadna sankcja. – Takie skrajne media odnajdują się dobrze w panującej u nas polaryzacji i jeszcze ją napędzają. Środek zaś jest w trudnej sytuacji i to stanowi dramat wszystkich mediów, które usiłują być umiarkowane i ważyć racje – ocenia Mrozowski.

Niezwykle istotne znaczenie dla pozycji Republiki miało to, że w czerwcu 2024 r. otrzymała od KRRiT (kierowanej przez nominata poprzedniej władzy Macieja Świrskiego) koncesję na naziemnym multipleksie. Analogiczną koncesję otrzymali też Karnowscy dla swojej stacji wPolsce24.

„Walczyć fair”

Ci ostatni byli na starcie w gorszej sytuacji, bo gdy we wrześniu ubiegłego roku wystartowali z ogólnodostępną telewizją wPolsce24, większość widzów TVP Jacka Kurskiego oglądało już stację Sakiewicza. Tym niemniej uruchomienie nowego projektu Karnowskich zaostrzyło rywalizację między oboma koncernami o rząd

dusz prawicowych widzów. U Karnowskich pojawili się znani dobrze z czasów pisowskiej TVP Michał Adamczyk, Magdalena Ogórek, Jacek Łęski, Samuel Pereira i Marta Kielczyk.

Głośna stała się sytuacja, jaka miała miejsce w listopadzie, gdy PiS wsparł kandydaturę Karola Nawrockiego na prezydenta. Najpierw pojechał on na wywiad do Republiki, a potem miał się pojawić w siedzibie wPolsce24. Jednak rozmowę w stacji Sakiewicza znacznie przedłużono, by nie mógł już zdążyć na godzinę wyznaczoną u konkurencji. Szef Republiki nie szczędzi też publicznie złośliwości Karnowskim: „Życzymy każdemu, kto próbuje – nawet jeżeli ma niedużą szansę – sukcesu. Niech próbują, każdy ma prawo. Zda się, że w różnych miejscach nie ukrywają, że zazdroszczą sukcesu Republiki, więc będą próbowali wchodzić w nasze buty. A to też świadczy o mierze naszego sukcesu” – mówił „Presowi” Sakiewicz.

Wzajemne podszczypywanie stało się codziennością. Ostatnio Michał Karnowski skrytykował na portalu X Republikę za to, że nie potrafi przyznać, iż niektóre jej newsy są *de facto* kopiami ustaleń dziennikarzy wPolsce24. „Dajcie sobie spokój z marzeniami o zabiciu nas, zaakceptujcie realny pluralizm, walczyć fair” – pisał.

Dziś wPolsce24 jest wciąż telewizją biedniejszą od konkurencji, a dziennikarze wykonują tam sporo czynności wykraczających poza zakres umowy. Stacja ma też tylko jedno studio – czasem w dużym tempie trzeba w nim zmieniać scenografię. Raz w tygodniu, na program „Strefa starcia” Adamczyka, wynajmowane jest większe studio ZPR. Tymczasem Republika przeżywa swój „gwiazdny czas”. Przeniosła się do słynnego błękitnego wieżowca na placu Bankowym, gdzie buduje nowoczesne studio. Wreszcie też regularnie płaci dziennikarzom i są to pensje wyższe niż u Karnowskich. →



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Sakiewicz ma swoje plany

⇒ Czy obie stacje czymś się różnią? Według dziennikarzy związanych z wPolsce24 Karnowscy mieli robić telewizję mniej agresywną, bardziej merytoryczną. Potem wyszło im z badań, że jednak trzeba ostrzej i teraz również radykalizują przekaz, by nadążyć za Sakiewiczem. Ten zaś nie przebiera w środkach. Gdy w ubiegłym tygodniu prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski poinformował, iż złożył zawiadomienie do prokuratury na premiera Donalda Tuska i członków rządu, zarzucając im niszczenie konstytucyjnych organów państwa, Telewizja Republika natychmiast rozpoczęła kampanię, wedle której w Polsce trwa już zamach stanu. Wywołało to liczne telefony od zaniepokojonych widzów, ale także kolejny pik oglądalności.

Interesujący jest klucz, według którego jedni dziennikarze TVP trafili do Karnowskich, a inni do Sakiewicza. Zdaniem naszych rozmówców znaczenie miały wojenki z „epoki Kurskiego”, np. konflikt Danuty Holeckiej z Michałem Adamczykiem i Marcinem Tulickim, w wyniku którego nie bardzo mogli pracować razem. Stąd też Holecka (wraz z Olechowskim, Klarenbachem i Kleczkiem) trafiła do Republiki, z kolei Adamczyk i Tulicki – do wPolsce24.

Niezwykle ciekawe są też obecne, polityczne meandry obu stacji. Choć Ziobrze i Suwerennej Polsce zawsze było bliżej do mediów braci Karnowskich, to na swoje *show* wybrał popularniejszą Republikę. Z kolei Kaczyński, gdy startowała telewizja wPolsce24, w wywiadzie udzielonym Adamczykowi powiedział: „Podoba mi się, że jest konkurencja w naszym gronie. To, że są dwie stacje, to szansa na to, że liczba ludzi, którzy będą słyszeć prawdę, będzie większa. Są różne wrażliwości, różnego rodzaju poziomy odbioru, poziomy intelektualne i tutaj też trzeba to brać pod uwagę” – mówił.

W sylwetce Rafała Trzaskowskiego (TP nr 5/2025) znalazła się pochodząca z serwisu PAP informacja, że w jednym z filmików promocyjnych polityka z 2015 roku wystąpił Grzegorz Turnau, choć w rzeczywistości był to Michał Rusinek. Obu Panów i czytelników przepraszam. PIOTR ŚMIŁOWICZ

Stosunki

Kaczyńskiego z Republiką mocno się popsują.

Lider PiS zdał sobie sprawę, że powoli staje się klientem grającego na siebie Sakiewicza, a nie odwrotnie.

Jednak od tamtego czasu stosunki z Republiką mocno się popsują, gdyż Kaczyński zdał sobie sprawę, że powoli staje się klientem Sakiewicza, a nie odwrotnie. Pewność siebie Sakiewicza (oraz jego przekonanie o tym, że właśnie dzięki niemu prawica ma tak dobre notowania po roku od utraty władzy) jest tak duża, że szeregowi posłowie PiS zaczęli dostawać sygnały, iż jeśli będą chodzić do studia wPolsce24, to nie będą mogli liczyć na zaproszenia z Republiki. To zaś może wpłynąć na ich popularność w elektoracie.

Od polityków PiS można usłyszeć (by nie narazić się Sakiewiczowi, proszą o anonimowość), że Kaczyński bardzo nieufnie patrzy dziś na poczynania szefa Republiki. – Prezes uważa, że Sakiewicz gra na siebie, na Czarnka i na zmianę pokoleniową w partii. Nie chodzi więc do Republiki, a ostatni raz udzielił wywiadu Holeckiej podczas październikowej konwencji w Przysusze – mówi poseł PiS.

Otoczenie Kaczyńskiego miało nawet próbować wstrzymać na jakiś czas koncesję dla Republiki, by Sakiewiczowi utrzcęc nosa. Jednak polityczne wpływy tego ostatniego w KRRiT okazały się zbyt duże, a poza tym ciężko byłoby te niuanse wyjaśnić własnym wyborcom. Trzeba byłoby przyznać się do wewnętrznego konfliktu w środowisku.

Wojna o pieniądze elektoratu

Mimo prób skrywania problemu, iskrzenie widać gołym okiem. Gdy 30 sierpnia 2024 r. na konferencji prasowej Kaczyński apelował o finansowe wsparcie dla PiS, pozbawionego subwencji przez PKW, Republika jako jedyna telewizja informacyjna nie transmitowała tego wydarzenia, tylko spotkanie klubów „Gazety Polskiej” w Sulejowie, na którym gościli Przemysław Czarnek, Jacek Sasin i Daniel Obaj-

tek. Apelowano na nim o wsparcie nie dla PiS, ale dla stacji, co skłoniło posłankę PiS i członkinię Rady Mediów Narodowych Joannę Lichocką, przed laty związaną z Republiką, do głośnego protestu na antenie. Zarzuciła ona Republice egoistyczne działania na własną rzecz kosztem PiS, jednak trafiła na kontrę prowadzącego program Klarenbacha, po czym do sprawy odniósł się też Sakiewicz, nazywając słowa Lichockiej nietaktem, a o Republice mówiąc w znamienny sposób: „Jeśli ktoś nie potrafi docenić tego skarbu, to jest po prostu niewiarygodnie głupi”.

Z drugiej strony, ogromna popularność Republiki sprawia, że stała się ogromnym problemem dla obecnie rządzących, podobnym do tego, jakim TVN24 była dla PiS w latach 2015-23. Tak ważnego oręża Kaczyński nie może stracić, a w obecnej sytuacji, gdy nie może już karmić Sakiewicza pieniędzmi, nie ma go również czym zastraszyć. Lider PiS musi uważać z krytyką zwłaszcza teraz, gdy po aferze z Owsiakiem po stronie rządowej pojawiły się głosy twierdzące, że istnieją podstawy do odebrania Republice koncesji (skandaliczny przekaz, podejrzenia o przywłaszczenie pomocy publicznej). Sugerował to wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, jednak dziś taka operacja jest nierealna z uwagi na skład KRRiT, w większości pisowski.

Tymczasem oglądalność Republiki jest od miesięcy lepsza niż np. TVP Info, znajdującej się, jak wszystkie media publiczne, cały czas w stanie likwidacji. Co prawda koalicja rządząca ma już większość w RMN, wciąż władnej zmieniać władze mediów publicznych, ale by to uczynić, należałoby najpierw cofnąć stan likwidacji. A do tego nie kwapi się Donald Tusk, bojąc się przepychanek z koalicjantami o podział medialnego tortu.

Wiele dziś wskazuje na to, że na razie Republika czy wPolsce24 nie będą musiały spodziewać się poważnej konkurencji ze strony mediów publicznych. – Mamy czasy triumfu postprawdy. Tu nie chodzi nawet o to, że postprawda jest kłamstwem, ale o to, że liczą się nie fakty, tylko opinie o nich i związane z tym emocje. Im bardziej wyraziste, tym bardziej zauważane. To jest zmiana cywilizacyjna, której się nie powstrzymamy. Na tej fali Republika będzie płynąć – uważa prof. Mrozowski. © PIOTR ŚMIŁOWICZ



SHUTTERSTOCK

Przewodniczka w menopauzie

EWELINA BURDA

Ciąża, poród, połóg – w tych sprawach to położne mają wspierać kobiety. Czas do tej listy dopisać na poważnie transformację menopauzalną. Ruszył właśnie kurs, którego organizatorki chcą rozpocząć systemową zmianę.

WCZYM POMOŻE POŁOŻNA I JAK JĄ wybrać, poradnik pacjenta na swojej stronie NFZ podaje: „Położna to Twoja najlepsza przyjaciółka. Zapewnia Ci opiekę nie tylko w ciąży i podczas porodu, ale także na każdym etapie życia. Czule opiekuje się też noworodkami i niemowlętami do drugiego miesiąca życia. Każda kobieta, niezależnie od wieku, może wybrać położną w swoim POZ [Podstawowej Opiece Zdrowotnej – red.]”. Słowo „menopauza” pada raz, gdy czytamy, kto również może skorzystać z pomocy położnej: „Młode dziewczyny wchodzące w okres dojrzewania czy kobiety, które przechodzą właśnie trudny proces menopauzy”.

– „Położna? Do czego miałyby mi być potrzebna, rodzić już przecież nie będę”, słyszę czasem w rozmowach z kobietami.

I bardzo się cieszę, że próbujemy to zmieniać – mówi prof. Grażyna Iwanowicz-Palus, konsultant krajowa w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego.

Iwanowicz-Palus sprawuje nadzór merytoryczny nad rozpoczętym właśnie kursem doształcającym dla położnych „Poradnictwo w okresie transformacji menopauzalnej”. Projekt organizuje Kulczyk Foundation (która od lat działa w temacie menopauzy) w partnerstwie z Naczelną Radą Pielęgniarek i Położnych oraz Warszawską Okręgową Izbą Pielęgniarek i Położnych; otrzymał też patronat honorowy ministerstwa zdrowia. Bezpłatny kurs to jeden z pierwszych etapów projektu pilotażowego, który ma doprowadzić do zmiany systemowej.

Na czym ma ona polegać? – Dążymy do tego, żeby w systemie pojawiło się świad-

czenie gwarantowane polegające na tym, że każda z nas będzie objęta opieką położnej w okresie okołomenopauzalnym w swoim POZ. Chcemy też, żeby po zakończeniu pilotażu nasz kurs poradnictwa w okresie transformacji menopauzalnej stał się kursem specjalistycznym dla położnych. Do zawalczenia jest także kwestia kierowania na dodatkowe badania do specjalistów przez położne, bez konieczności pośrednictwa lekarza POZ, czy też szersza oferta leków, wyrobów medycznych do samodzielnego ordynowania, do którego mamy już uprawnienia – wyjaśnia Grażyna Iwanowicz-Palus.

Zawód odkryty na nowo

Punktem wyjścia dla kursu były badania „Menopauza bez tabu”, które Kulczyk Foundation przygotowała jesienią 2023 roku. – Pokazały nam, jak niska jest wiedza na temat tego, co dzieje się z kobietą w okresie okołomenopauzalnym. Jak bardzo negatywny jest odbiór menopauzy i mocny stereotyp „tej starej wariatki, która zalewana falami gorąca szybko się denerwuje”. Jak duży jest wstyd i poczucie straty: straty młodości, atrakcyjności i kobiecości – opowiada Anna Samsel, psycholożka, ekspertka Kulczyk Foundation i koordynatorka akcji. – Nie zapomnę, jak jedna z naszych ekspertek opowiadała o swoich pacjentkach, które przed partnerami udawały, że nadal miesiączkują, żeby wciążyć „być kobietą” w ich oczach – dodaje.

Jedna z danych z raportu: na pytanie, u kogo będziesz szukać wsparcia przy

→ objawach związanych z transformacją menopauzalną, tylko 3 proc. Polek wskazało na położną.

Kobiety często nie łączą objawów, które pojawiają się u niektórych już niedługo po czterdziestce, z menopauzą. – Gdy mają np. kołatanie serca, to idą do kardiologa i nie mówią o innych towarzyszących objawach. Wizyta u specjalisty jest krótka, siłą rzeczy skupiona na wycinku rzeczywistości. W zawodach medycznych też jest sporo niewiedzy, lekarz często patrzy przez swoją specjalizację, brakuje holistycznego podejścia – mówi Anna Samsel. – Kobiety szukają pomocy, ale często nieskutecznie. Objawy się zaostrzają, a same wizyty u specjalistów, którzy ostatecznie nie pomagają, są także obciążeniem dla systemu. Żeby pomóc kobietom już teraz, przygotowaliśmy kompendium wiedzy „Menopauza bez tabu”, które można bezpłatnie pobrać z naszej strony menopauzabeztabu.org.pl.

Skąd pomysł na systemową pomoc położnej? Anna Samsel tłumaczy: – Szukaliśmy, kto może na kobietę w tym okresie spojrzeć całościowo, z uwzględnieniem psychiki, zasugerować badania, pokierować do specjalistów. I zaskoczyło nas bardzo, że to mogą i powinny być położne. Jak się okazało, one już mają w swoich celach zawodowych wpisaną edukację kobiet na temat zdrowia przez cały okres ich życia i towarzyszenie im na różnych etapach. Położne to ogromny potencjał: mają wiedzę i uprawnienia – kontynuuje Samsel. – Wystarczy zaktualizować ich wiedzę, wprowadzić świadczenie porady menopauzalnej i będą mogły przeprowadzić kobietę przez ten okres optymalną ścieżką, z korzyścią dla niej i dla całego systemu.

– Myśląc o systemie opieki zdrowotnej, musimy patrzeć na całe społeczeństwo: mamy niż demograficzny, rodzi się coraz mniej dzieci. Średnia wieku jest coraz wyższa, żyjemy coraz dłużej. I to trzeba ściśle powiązać z rolą położnej dziś – podkreśla Grażyna Iwanowicz-Palus. – To ona powinna i może być prawdziwą przewodniczką przez całe życie kobiety, także w okresie menopauzalnym.

Kim są polskie położne

Według danych z Centralnego Rejestru Pielęgniarek i Położnych mamy w kraju niespełna 42 tys. położnych aktywnych zawodowo (pielęgniarek jest ok. 317 tys.). To zawód praktycznie całkowicie sfemi-

3 procent

Na pytanie, u kogo będziesz szukać wsparcia przy objawach związanych z transformacją menopauzalną, tylko taki odsetek Polek wskazuje dziś na położną.

Dane z raportu „Menopauza bez tabu”.

nizowany (99,8 proc. kobiet). Średni wiek położnej w Polsce to 51 lat (dane z 2024 r.). Jak przewiduje Naczelna Izba Pielęgniarek i Położnych, do 2030 r. liczba pielęgniarek i położnych zmniejszy się o ponad 26 tys. Czy spopularyzowanie i silniejsze umocowanie w systemie ochrony zdrowia położnej jako przewodniczki w okresie menopauzy może przyciągać do zawodu nowe, młode osoby? Wiele zależy od tego, jakie finansowanie i działania zaangażuje do tego celu Ministerstwo Zdrowia.

Barbara Mazurkiewicz jest jedną z uczestniczek kursu, w zawodzie pracuje 34 lata. Z wykształcenia jest położną i pielęgniarką, ale całe życie zawodowe związała z położnictwem. Pracuje także na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, uczy młode kadry położnicze. – To, że dostrzeżono kobiety w okresie transformacji menopauzalnej, to jedno, ale ważne, że zauważono też położne. Które są dobrze wykształcone, oddane swojej pracy i zaangażowane w opiekę nad kobietą w różnych okresach jej życia – wylicza. – Docenienie naszych kompetencji przez budowanie większej samodzielności pomoże wszystkim. Mamy w Polsce za mało personelu medycznego, tego nie trzeba nikomu tłumaczyć. W codziennej pracy skupiamy się na tych najważniejszych czynnościach: zrobić iniekcję, podać leki i... już na więcej nie ma czasu. Gdzie edukacja? To już dłuższy proces: trzeba wiedzę przekazać, rozwiać wątpliwości. Realizacja edukacji buduje świadomość, kiedy jest fizjologia, a kiedy zaczyna się patologia, i co kobieta powinna zrobić. A można wiele, od poprawy komfortu codzienności do wczesnego zdiagnozowania wielu chorób, jak np. osteoporoza.

Menopauza, temat odblokowany

– Podczas jednego z pierwszych dni kursu poproszono nas, by kobiety po pięćdziesiątce przeszły na jedną stronę sali,

a młodsze na drugą. Okazało się, że jest nas pół na pół – opowiada Mazurkiewicz. – To dobrze, że są na kursie kobiety, dla których doświadczenia okołomenopauzalne są ich doświadczeniami, ale są też i młodsze, co daje nadzieję na przyszłość dla naszego zawodu.

W kursie uczestniczy 90 położnych z całej Polski. Informację o nim przekazywały Okręgowe Izby Pielęgniarek i Położnych. Dostęp był otwarty, ale były warunki: uczestniczką kursu mogła zostać położna Podstawowej Opieki Zdrowotnej, która aktualnie praktykuje oraz która posiada tytuł magistra położnictwa (lub określoną specjalizację, jeśli miała tytuł magistra pielęgniarstwa), co ściślej związane jest z uprawnieniami do zlecania badań czy dysponowania leków.

Kurs rozpoczął się z końcem stycznia, potrwa trzy miesiące. – Jako osoba nadzorująca zastanawiałam się, jaki będzie odbiór uczestniczek. Położne to mądre kobiety, wiedzą, że medycyna nie stoi w miejscu, czasy się zmieniają i przyszła pora na korekty także w systemie. Widzę, jak w rozmowach na grupie w social mediach te położne, które były do tej pory skupione na kobiecie w ciąży, położu czy na noworodku, odblokowują w sobie ten temat, korygują też i swoje przekonania – opowiada Grażyna Iwanowicz-Palus.

Jakoś sobie radziłam

Kurs składa się z pięciu sekcji: jest ta dotycząca kulturowo-społecznych aspektów okresu menopauzalnego i jego uwarunkowań medycznych. Kolejne traktują o zdrowiu uroginekologicznym, seksualności i wsparciu psychologicznym. Połowa to warsztaty i ćwiczenia.

Jedną z prowadzących jest Paulina Wiśniowska, położna i fizjoterapeutka uroginekologiczna. Na co dzień pracuje w gabinecie, rozmawiamy podczas przerwy między wizytami: – Duża część kobiet, które do mnie przychodzą, jest w okresie transformacji menopauzalnej, zgłaszają się z dolegliwościami ze strony dna miednicy, które często nie są nowe, ale trwają miesiące, lata. Zdarza mi się słyszeć, „jakoś sobie do tej pory radziłam” – opowiada. – A kiedy tłumaczę pacjentkom po czterdziestce czy pięćdziesiątce np. jak wygląda właściwy sposób kichania i kaszlenia, jaka jest prawidłowa pozycja toaletowa, to nierzadko pada z ich ust ze szczerym zdziwieniem: „Jak ja przeżyłam tyle lat, nie wie-

dząc o tym?”. Bo wykonując te podstawowe czynności życia codziennego w sposób niewłaściwy, kobiety sobie szkodzą. I to też powinno być zadaniem położnej, by na różnych etapach życia, wyposażona w najnowszą wiedzę, do tych kobiet docierać, właśnie w POZ – podkreśla ekspertka.

Najczęstsze w gabinecie Wiśniowskiej są problemy z nietrzymaniem moczu, których w Polsce doświadcza około 25-45 proc. kobiet, w zależności od grupy wiekowej (dane z 2020 r.). – To dotyczy pacjentki na różnych etapach życia: czy to w czasie ciąży, porodu, czy uprawiające intensywnie sport w młodości albo skaczące z wnukami na trampolinie. Bo te problemy są czymś, czego nie da się prze-gapić. I czymś, co bardzo stygmatyzuje i wyklucza. Kobiety robią często wiele, zanim poproszą o pomoc: wychodząc z domu układają mapę, która uwzględni kolejne toalety. Rezygnują ze sportów, z życia seksualnego. Wycofują się, bo się wstydzą, czują nieświeżo. I to są rzeczy, nad którymi można pracować. Częste jest podejście, że skoro już tak jest, to będzie tylko gorzej. A to nieprawda – podkreśla Wiśniowska. – Oczywiście, przypadki są różne, czasem wystarczy fizjoterapia, ćwiczenia, które wzmocnią mięśnie dna miednicy, a czasem niezbędne jest leczenie operacyjne. Ale to nie są sytuacje bez wyjścia, a leczenie może poprawić jakość życia. W moim module oprócz teorii dużą wagę przykładamy do części warsztatowej, gdzie poruszam zagadnienia praktyczne opieki uroginekologicznej i pracy z ciałem. Pracujemy np. na fantomie, omawiając różne formy

wspomagania przy nietrzymaniu moczu czy obniżeniach narządu rodowego.

– Uczestniczki przed rozpoczęciem kursu wypełniały kwestionariusz wiedzy na temat okresu menopauzalnego. Po zakończeniu naszych zajęć kolejnym etapem będzie praca położnej z grupą kobiet oraz z jedną pacjentką – wyjaśnia Grażyna Iwanowicz-Palus. – Później przeprowadzimy badanie ankietowe, zrobimy ewaluację i zobaczymy, czy pozostanie on w takiej formie, czy będą konieczne w nim zmiany. Na koniec nasze uczestniczki dostaną zaświadczenie. I mam nadzieję, że będą edukatorkami prowadzącymi poradnictwo w swoim środowisku, swojej przychodni, ale również mentorkami dla swoich koleżanek położnych.

Kobiety drążą skałę

– Kurs, po ewaluacji, przekazemy *pro bono* do Centrum Kształcenia Podyplomowego Pielęgniarek i Położnych. Tam grono specjalistek może wykorzystywać go i organizować edukację dalej. Ministerstwo Zdrowia będzie jego dysponentem. Chcemy stworzyć sieć liderów, którą opublikujemy na naszej stronie, i dalej pracować nad zmianą systemową, zbliżyć się do tej porady menopauzalnej u położnej w ramach koszyka świadczeń gwarantowanych NFZ – mówi Anna Samsel z Kulczyk Foundation. – Może ona działać na przykład tak: kobieta kończy czterdzieści lat, dostaje zaproszenie na konsultację od swojej położnej z POZ, która ma wgląd do bazy swoich pacjentek. I taka porada może być, w zależności od potrzeb kobiety, bardziej edukacyjna lub rozwią-

zująca konkretny problem. Trzeba tylko uświadomić kobiety, że do położnej mogą się w tej sprawie zwrócić.

– Przez lata słyszałam o różnych spotkaniach wokół tematyki menopauzy, sama współorganizowałam takie dla naszych koleżanek na uniwersytecie, to było prawie dziesięć lat temu. Inne koleżanki położne tworzyły projekty w ich POZ-tach, czasem w domach kultury – opowiada Barbara Mazurkiewicz. – Ale to były zawsze inicjatywy oddolne, lokalne i jednorazowe. Mówienie o zmianach systemowych jest tą najważniejszą zmianą.

Grażyna Iwanowicz-Palus: – Wiele lat temu, w 2007 r., walczyłyśmy, ja także, o standardy opieki okołoporodowej. Oficjalny standard ukazał się w 2010 r., potrzeba było czasu. Można powiedzieć, że długo trwał ten „poród”, nie było prosto, ale się udało – podkreśla. – Dziś standard nadal funkcjonuje, rozwija się, to nigdy nie będzie zakończona praca. Ale skoro w tamtym obszarze mogło się zmienić, to wierzę, że również opieka okołomenopauzalna ma szansę. Bo trzeba wreszcie wziąć pod uwagę rzeszę kobiet potrzebujących takiego wsparcia. Nie da się już dłużej nie słyszeć tej potrzeby. Zmieniliśmy się. Pani ministra zdrowia objęła patronat honorowy, czyli dostrzega wagę tego problemu, o czym może świadczyć powołany w maju 2024 r. Zespół ds. Bezpieczeństwa Zdrowotnego Kobiet. Zabieganie o finansowanie i stale zapisaną w systemie zmianę łatwe nie będzie, to już wiemy. Ale przecież kropla drąży skałę. I my ją podrażymy.

© P EWELINA BURDA

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM!**

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.



zeskanuj i zapisz się!

Z ODDECHEM

POSZUKIWACZE ZAGINIONEJ ZIMY

Narciarstwo jest dziś nie tyle sportem, ile wyrazem tęsknoty. Nie za zeszłorocznym śniegiem, którego brakowało tylko nieco mniej niż w tym roku, ale za tym dawnym. Zima z białym puchem nadal istnieje. Gdzie indziej.

TEKST I ZDJĘCIE **BARTEK DOBROCH**

JAK PISAĆ O RADOŚCI Z NARCIARSTWA, GDY W OSTATNIM DNIU stycznia za oknem siąpi deszcz, powietrze ma zapach kwiecia, a w ogrodzie domu położonego w niewysokich, ale jednak górach, ze śniegu zostały tylko szczątki ulepionego z synem bałwana? I gdy w prognozach na luty pojawia się wprawdzie delikatny mróz, ale nie widać opadów.

Naturalna pokrywa śnieżna tej zimy była dotąd poza wysokimi górami zjawiskiem incydentalnym. Większość stacji narciarskich nieprzerwanie działała, w tych większych i popularnych stacjach – w Białce Tatrzańskiej, Krynicy czy Szczyrku – widać było nawet tłumy, wszystko jednak dzięki wcześniejszym i utrzymującym się nocami mrozom, pozwalającym na produkcję sztucznego śniegu. W Polsce narciarstwo stało się aktywnością sztucznie utrzymywaną przy życiu.

Na bazujących na naturalnym puchu nartostradach do Kuźnic na przełomie stycznia i lutego sytuacja była gorsza niż w nieodległych czasach po weekendzie majowym, którym Kasprowy Wierch zwykł zamykać sezon narciarski. Pokrywa śnieżna nie pozwalała nawet na dotarcie bez odpinania nart do położonej na wysokości tysiąca metrów dolnej stacji kolejki linowej. W zimowej panoramie polskiego narciarstwa lat 20. XXI w. zwraca uwagę wizualny szczegół. Widoczny zarówno wśród trasowych kosynierów zmierzających po nartach na parking, jak i pozatrasowych szwoleżerów, którzy po dotarciu do krańca śniegu zamieniają się także w piechotę maszerującą w dół doliną z deskami na ramieniu. To delikatny element błota na skorupach butów. Dla miłośników naturalnego śniegu, skiturów, biegówek to kolejna z rzędu trudna zima, wymagająca

cierpliwości i determinacji w poszukiwaniu białego runa. Zadowolający się wytworami armatek śnieżnych narciarze trasowi powinni wiedzieć, że masowa produkcja śniegu raczej pogłębia klimatyczny problem z niedoborem naturalnego, gdyż wymaga zużycia dużej ilości prądu i wody. W Alpach w ciągu tylko jednego sezonu zużywa się w tym celu wodę w ilości równej zapotrzebowaniu prawie dwumilionowej aglomeracji.

Dla nas wystarczy

Niedobór śniegu nie jest oczywiście tylko polskim problemem. Dotyka on dysponujących większą ilością przeznaczonych do narciarstwa terenów południowych sąsiadów, a także krajów alpejskich. W lutym ubiegłego roku białe nitki tras w austriackim Schladming wiodły do zielonej Doliny Enns, w której pasły się krowy. Na południowych stokach w Karyntii i Tyrolu Wschodnim granica śniegu sięgała dwóch tysięcy metrów (w lutym, w sercu najwyższych gór Europy!). W styczniu tego roku we włoskich i austriackich Alpach brakowało miejsc, w których poniżej tysiąca pięciuset metrów można było uprawiać skupiające się na dolinach narciarstwo biegowe. Upadki małych ośrodków przebijają się na czołówki internetowych portali, choć nazwy francuskich Le Grand Puy i Alpe du Grand Serre ani niemieckiego Jenner am Königsee nie mówią wiele nawet znawcom Alp. Po prawdzie aktualny sezon przyniósł jedynie trwale zamknięcie pierwszego z nich, wieści o śmierci drugiego okazały się przedwczesne, a trzeci zrezygnował jedynie z przygotowywania tras. Bez wątpienia jednak najbliższe lata przyniosą więcej potwierdzonych informacji o zamknięciu położonych poniżej 1500 m n.p.m. stacji w Alpach, a według Instytutu Badań nad Śniegiem i Lawinami w Davos do końca stulecia jedynie ośrodki położone powyżej 2,5 tys. metrów będą mogły polegać na naturalnym puchu.

Śniegu i miejsca do uprawiania narciarstwa powinno wystarczyć dla przedstawicieli żyjących obecnie pokoleń. Zwłaszcza że zapewne w pokoleniu ich nienarodzonych jeszcze wnuków zainteresowanie coraz bardziej limitowanym i elitarnym korzystaniem z uroków zimy spadnie. Albo stanie się atrakcją wielkomiejskich centrów zimowej rozrywki, sztucznych stoków i snowparków, jakie istnieją już m.in. w Dubaju, Amsterdamie, litewskich Druskiennikach i w kilku miastach Chin. We wrześniu w Szanghaju z medialnym rozgłosem otwarto największy na świecie kryty ośrodek narciarski połączony z zimowym lunaparkiem. Tymczasem znikanie tras do narciarstwa biegowego przebiega niemal niezauważalnie. Plusowe temperatury często nie pozwalają na zaistnienie pokrywy śnieżnej wystarczającej do przejazdu ratraka i założenia śladu. Wydany zaledwie dziesięć lat temu przewodnik „Na nartach biegowych w Krakowie i okolicach”, opisujący 38 tras, w świetle obecnej „niezimy” jawi się jako dokument historyczny. Amatorzy biegówek z reszty Polski modląc się o śnieg patrzą w kierunku Jakuszyca, mekki polskiego narciarstwa biegowego. Chłodny mikroklimat Gór Izerskich i leśne położenie pozwala tamtejszym trasom przetrwać aż do wiosny. Mimo zniszczeń w wyniku wrześniowej powodzi, nie brakuje ich też na Ziemi Kłodzkiej. Biegać można już w odciętych wówczas od świata Bielicach.

W Małopolsce trasy biegowe rozdeptują czasem piesi, a niektórzy – to *casus* gorczańskiej pętli „Śladami olimpijczyków” prowadzącej na Turbacz – są rozjeżdżane przez kuligi, skutery śnieżne, a nawet samochody terenowe.

Szymoszkowa droższa niż Francja

Narciarstwo zjazdowe, choć ostatnimi czasy bardziej masowe niż to biegowe, też nigdy nie było nadto egalitarne. Ekonomiczny próg wejścia był wysoki: wymagał wypożyczenia lub zakupu sprzętu, nabycia karnetu i lekcji jazdy z instruktorem. Przyszłość tej aktywności wygląda na coraz bardziej elitarną. I to nie tylko w jej sportowej gałęzi, w której na skutek topnienia lodowców i zamykania letnich poletek treningowych w Alpach zawodnicza elita musi trenować na południowej półkuli.

Wraz ze wzrostem kosztów, które muszą ponosić stacje narciarskie, rośnie także koszt rekreacyjnego narciarstwa. W uzależnionych od ciągłej produkcji sztucznego śniegu polskich stacjach wzrost cen na poziomie 30 proc. w ciągu trzech sezonów jest wyraźniejszy niż w alpejskich ośrodkach.

Na zakopiańskiej Harendzie w ciągu dwóch lat cena dwudniowego karnetu skoczyła w górę o 125 zł. Oczywiście, nawet w najdroższych polskich stacjach za dzienny karnet zapłacimy mniej niż w znanych alpejskich ośrodkach. Jednocześnie w Alpach bez trudu znaleźć można mniej popularne ośrodki – np. położony nieopodal Grenoble Les Sept Laux – gdzie karnet kosztuje równowartość ceny tego z Polany Szymoszkowej w Zakopanem. Porównanie warunków transakcji ujawnia jednak bolesną dla rodzimej stacji dysproporcję. Gdy bowiem podzielimy cenę dziennego karnetu przez długość tras, które obejmuje, wychodzi, że we francuskim ośrodku (niemożliwe do przejeżdżenia w ciągu jednego dnia 120 km tras) za kilometr zapłacimy w przeliczeniu 1,45 zł, natomiast na Szymoszkowej (1,7 km tras)... 100.

W atrakcyjnych porównywalnie do zakopiańskiej stacji ośrodkach w Austrii jeździ się za jedyne 10 euro dziennie. I to bez kolejek, które są – w szczycie sezonu – powszechnym motywem polskiego narciarstwa. Rodzime stacje wygrywają z alpejskimi przede wszystkim bliskością, dającą mieszkańcom Krakowa czy Wrocławia szansę jazdy w ramach jednodniowego czy nawet popołudniowego wypadu.

Choć oferują odpowiednie warunki głównie dla niezbyt intensywnego, zróżnicowanego poziomem rodzinnego narciarstwa, to do niedawna ich oferta najmocniej uszczuplała właśnie budżety rodzin. Dzieciom, nawet tym najmłodszym, które w alpejskich ośrodkach do 6., 8., a gdzieniedzie, jak na lodowcu Stubai, nawet do 10. roku życia jeżdżą za darmo, przysługiwały karnety ulgowe tańsze zazwyczaj o... zaledwie 10 zł. Nie wpisywało się to w opowieść o pazernych góralach – było raczej szyderstwem z mitu państwa przyjaznego rodzinom. W temacie zniżek austriackie ośrodki nadal są górą. Ale właściciele polskich stacji, choć jeszcze nie wszyscy, zaczęli się od nich uczyć, oferując karnety rodzinne lub DZD (dorosły z dzieckiem) pozwalające za dopłatą złotówki czy 10 zł pojeździć z cztero- lub pięcioletkiem. Bez nich rodzinie z dwójką dzieci bardziej kalkulowało się jechać nawet do jednego z droższych ośrodków w Austrii, niż szusować po polskich stokach.

Ta zasada w niektórych miejscach nadal obowiązuje, bo jak to w Polsce bywa, ulgi mają swoje odstępstwa. Łaskawość właścicieli stacji w Zielencu pozwala korzystać z ulgowego karnetu dzieciom, ale tylko do lat 10. Te do lat 5. jeżdżą za darmo, choć „oferta dotyczy wyłącznie kolei krzesłkowych – wyciągi narciarskie oraz taśmy są z niej wyłączone”. A chodzi o dzieci najczęściej za małe, by korzystały z kolei krzesłkowej.

→ Tymczasem w tyrolskim Nauders już po zamknięciu stacji narciarskiej (te alpejskie działają najczęściej do godz. 16-16.30) w centrum miejscowości do późnego wieczora działa taśma – zwana z niemiecka *Zauberteppich*, magicznym dywanem – która zupełnie za darmo wywozi na krótki stok spragnionych nadal jazdy najmłodszych narciarzy i snowboardzistów czy też korzystające z pobliskiej wypożyczalni sanek rodziny. Biorąc pod uwagę ulgi i udogodnienia, nie dziwi zauważalny przez narciarski biznes w Polsce odpływ klientów, zwłaszcza rodzin, do alpejskiej konkurencji.

Karnet to nie wszystko. Także w cenach noclegów, zwłaszcza poza okresem lokalnych ferii, można w Austrii czy we Włoszech znaleźć oferty konkurencyjne wobec tych w Szczyrku czy Zakopanem. Cenę da się jeszcze obniżyć, szukając noclegu kilkanaście kilometrów od ośrodka, albo wybierając mniej popularne cele. Dla niezmotywowanych najatrakcyjniejsze będą oferty biur podróży specjalizujących się w wyjazdach narciarskich, które proponują nawet przystępne cenowo dla polskiej kieszeni wyjazdy do Andermatt czy Laax w najdroższej spośród narciarskich krajów Szwajcarii.

Koszt uprawiania narciarstwa w Europie wyrównuje się. Znacznie zdrożało ono u naszych południowych sąsiadów. Cena dziennego karnetu na słowackim Chopoku, dzięki 50 km tras największym ośrodku narciarskim w naszej części Europy, jest wprawdzie dynamiczna – to kolejny nowy trend w dużych stacjach narciarskich – ale mniej więcej równa cenom w podobnych ośrodkach w Austrii. Zaledwie 20 euro droższy jest 6-dniowy karnet w tamtejszym Saalbach-Hinterglemm, w którym odbywają się właśnie mistrzostwa świata w narciarstwie alpejskim, a do dyspozycji miłośników nart i snowboardu jest aż 270 km tras.

Ze skąpośnieżnej Europy...

W polskim języku nie ma odpowiednika dla niemieckiego przymiotnika *schneesicher*. Gdyby istniał, brzmiałby może tak – „śniegopewny”. To, jak wyjaśnia słownik niemiecko-niemiecki, „posiadający z pewnością wystarczająco dużo śniegu do uprawiania sportów zimowych”. Lubujący się w zasadach i ich objaśnieniach Niemcy ukuli nawet definicję dla wywodzącego się od tego słowa rzeczownika *Schneesicherheit*. Zakłada ona, że owa gwarancja śniegowa odnosi się do obszaru, na którym pokrywa śnieżna (30 cm, względnie 15 cm) utrzymuje się przez co najmniej sto dni.

Oczywiście termin ten musiał powstać, zanim pół wieku temu upowszechniły się armatki śnieżne. W Polsce definicję spełniał Kasprowy Wierch wraz z nartostradami, co jednak ta i poprzednia zima podaje w wątpliwość. Dziś ten termin nadużywany jest przez alpejskie stacje narciarskie w celach marketingowych, choć powinien dotyczyć ośrodków, które dzięki wysokości i korzystnemu położeniu mogą opierać swoje funkcjonowanie na naturalnych dostawach śniegu. I gwarantować warunki do korzystania z niego wszelkim formom narciarstwa – trasowego, jak i pozatrasowego.

Miłośnicy freeride’u, czyli jazdy w puchu, cierpią w warunkach obecnej zimy podwójnie. Europejska pogoda poskąpiła opadów, a gdy takie się pojawiały, świeży śnieg padał na goły grunt lub twardy podkład, podwyższając zagrożenie lawinowe nawet do alarmowej „czwórki”. Choć powinna ona zapalać czerwoną lampkę do jazdy poza przygotowanymi stokami, tęsknota za świeżym śniegiem i niepowtarzalnym doznaniem, jakie daje jazda w jego głębi, przytępia rozsądek i odpowiedzialność. Ten psychologiczny czynnik wyjaśnia zagadkę, dlaczego podczas – znów postawmy na słowotwórstwo – skąpośnieżnych zim ma miejsce tak dużo wypadków i śmierci wśród narciarzy. Tak było np. przed tygodniem po długo wyczekiwanym w Alpach opadzie. Na szczęście nikomu nie stało się w Soldzie, w Tyrolu Południowym, gdzie dwóch jeźdźców bez głowy wyzwoliło lawinę, która spadła na wyciąg narciarski i otarła się o trasę.

...do śniegopewnej Japonii

Ta niepewność, która sięga już nawet wysokich Alp, skłania miłośników różnych form narciarstwa do poszukiwania śniegu w odleglejszych i mniej oczywistych przynajmniej z polskiej perspektywy rejonach. Niewygórowane ceny biletów lotniczych, gwarancja śniegu, a nawet mrozu, ogrom znakomicie przygotowanych tras, przyciągają coraz więcej miłośników biegówek do Norwegii i Finlandii.

Poszukiwacze śnieżnego puchu szukają jeszcze dalej. Jego duże opady na wschodzie Turcji inspirowały nawet wielką literaturę i pierwszą wydaną w Polsce powieść Orhana Pamuka „Śnieg”. Choć masowo odwiedzana ze względu na

słońce i morze Turcja nigdy zapewne nie zyska podobnej sławy wśród narciarzy, zwłaszcza po styczniowym tragicznym pożarze hotelu w ośrodku narciarskim na północnym zachodzie kraju.

Szanse na stanie się nową, choć zgodną z rolą historyczną, Kolchidą dla narciarskich argonautów ma za to Gruzja z sięgającymi ponad 3000 metrów ośrodkami narciarskimi Gudauri, Tetnuldi czy niepowtarzalną wioską Bakhmaro, do której zimą dotrzeć można tylko ratrakami, zastępującym także w jej otoczeniu nieobecne wyciągi. Podobnie jak w macedońskiej Popovej Šapce w górach Szar.

Natomiast po odpowiedzi na pytanie, gdzie jest wszystek śnieg, który u nas nie spadł, trzeba tej zimy udać się aż do Japonii. Już grudniowe opady w światowej stolicy jazdy w puchu Niseko pobiły rekord sprzed 68 lat. Kolejny padł na Hokkaido 4 lutego. W mieście Obihiro w ciągu 12 godzin spadło 129 cm śniegu. Zima zaskoczyła nawet trudnych do zaskoczenia japońskich drogowców. A prognozy przewidują kolejne śnieżycy i utrzymujące się zimno.

Obrazki z Japonii w miłośnikach nart i zim z poprzedniego stulecia mogą budzić zazdrość, ale i nadzieję. Pokazują, że jeszcze zima nie minęła. Jest gdzie indziej.

© BARTEK DOBROCH



ELIZA

Kącka: Chrońmy chaos



KORYTARZ W PAŁACU STASZICA, WYBIEGAM już niemal, ale telefon pada. Siadam na podłodze tuż przy gniazdku, podpinam na chwilę, czekam. A tu korytarzem maszeruje robotnik z wiaderkiem farby. Uśmiecham się odruchowo, czym ściągam uwagę, niestety.

„A pani tu pracuje?”. „Nie” – odpowiadam prawdomówczo, chociaż mogłam powiedzieć, że tak, bo w Bibliotece IBL siedzę często i sporo. „To pani nie korzysta z kontaktu”. „?”. „Pani się wypnie”. „Aha”. „Nie pobiera pani prądu z tej ściany”. „Dobrze, idę”. „Pobór prądu, rozumie pani, jest dla pracowników. Pracowniczy prąd, rozumie pani. Nie tak, że każdy z ulicy”. „No jasne”. „To jest placówka naukowa, szybko byśmy zbankrutowali”. „Pewnie”. „Placówka naukowa, więc dla pani bez prądu. Niech pani nie zapomni czapki”.

I KOLEJNA POTYCZKA Z KORYTARZEM PAŁACU STASZICA. SIADAM sobie, bo już nikogo wedle mnie nie ma, poza przemitym panem pilnującym i panią od kluczy. Kucam, bo jak zwykle zmiężyłam baterię telefonu, zdjęcia robiłam, słałam różności, więc muszę podładować staruszka, by ruszyć w miasto, a jest już po trzeciej, biblioteka zamknięta. Znalazłam kontakt i siedzę. Korytarze z wykładzinami we wzorki pod auspicjami sztucznego światła. Różnią się tylko poświatą chodnikową, oddolną. Siedzę, myśląc, że Pałac już odpoczywa, bo nikt tu się nie kręci; może spokojnie przetrwać wartę dzienną i wejść w drzemkę. A tu raptem otwierają się drzwi, jakaś pani maszeruje z kubkiem do toalety: „Co pani tu robi?”. „Ładuję telefon, zaraz pójde sobie”. „Natychmiast! To jest placówka naukowa, tu się nie ładuje”. „Aha”. „Oraz nie wchodzi z ulicy. Tu się pracuje umysłowo. Pani wychodzi”. Pani tu nie siedziała.

AUTOBUS 167, JAZDA Z OCHOTY NA MOKOTÓW. SIADAM Z TORBAMI zakupowymi i przewijam w głowie wiele trudnego. Gorzkie bilanse. Twarzą w twarz siada staruszka. Trzyma się trochę balkonika, a trochę i mnie – wzrokiem. Milczymy. Ona raptem: „To wszystko minie”. „To?”. „To minie”. „Ale...?”. „Co ja będę mówić, sama pani wie”. Pauza. Dopowiadam: „A, że życie minie?”. Śmieje się: „Też, na pewno. Ale ja nie o tym”. „Tak...?”. „Ja się tak w pani wieku przejmowałam, że się na siebie targnęłam”. „Ech”. „Nie udało się, ale zapłaciłam chorym kręgosłupem”. „Uhm”. „Pani się przejmuję”. „Owszem”. „Bo pani się wydaje, że da się poukładać...”. „Możliwe”. „...te puzzle. Ile to ma elementów? Z tysiąc, prawda? To ja pani powiem, że na końcu i tak widzi się tylko rozsypankę na stole”. „I żadnego wzoru?”. „Niezbyt. Może jakie sto elementów dopasowałam – śmieje się – ale w złości i to niszczyłam, bo nie udało mi się

szybko ułożyć całości. Gadam tak o tych puzzlach, bo na ferie syn nam podrzucił wnuka. Z pudłami puzzli. Ależ sprawnie układa!”. „Pięknie”. „Ano, piękne obrazki, ale jedno mnie niepokoi”. „Aha?”. „Zawsze, gdy skończy, mówi mi, że on tak ze wszystkim da radę”. „Że wszystko da się ułożyć?”. „Tak, przełożył to na świat. A ja, babcia, chcę, by miał zdrowy kręgosłup, wie pani. Żeby to zniósł...”. „...kiedy już dostanie pudełko ze światem”. „No właśnie”.

AUTOBUS 119, JAZDA Z SIELC NA MOKOTÓW GÓRNY. SIADAM sobie, a za plecami rozmowa wartka, na silnej emocji. Dociera: „»Chrońmy chaos«. Cały on!”. „Ale że tak powiedział? Czy narysował?”. „Powiedział, ale wiesz, on miał taką pewność słów... Jakby rysował. Konkret, rozumiesz?”. „Z tego »chaosu« byłaby świetna grafika. Podziwiam, ja bym taką formułkę wysiadywał długo”. „Jemu przychodziło bez trudu”. „Skąd wiesz? Nie znałaś go”. „Nie, ale to się czuje”. „Ja »Rzeczy...« tylko znam”. „A ja wszystko”. „Nieźle się wkręciłaś. Podeszłaś do rodziny?”. „Nie, daj spokój. Tam byli ludzie ze środowiska, literaci. O! Jeszcze jedno zapisałam: »Z kimś...«”. „W sensie?”. „Ostatnie słowa. Nie dosłyszałam początku, tam jeszcze coś było”. „»Z kimś...«? Ej, to nic nie znaczy”. „Znaczy! Bo Marcin taki był: więzi, ludzie, wszystko dla ludzi”. „Znów mówisz, jakbyś go znała”. „Bo znałam”. „Przed chwilą powiedziałaś...”. „Słuchaj, jak ktoś pisze takie teksty, to go znasz. Bo on ci z tych swoich zdań podaje rękę, wiesz?”. Wysiedli. Nie wypadało wtrącić, że byliśmy na tym samym pogrzebie.

NOWY ŚWIAT, CHMIELNA, IDZIEMY Z RUDĄ DO TEATRU NA PRÓBĘ. Jeszcze nie polikwidowali dekoracji świątecznych, jeszcze można wcisnąć się między lampki, zasiąść na pseudotronie, zarzucić sobie łańcuch choinkowy na czapkę, podświetlić się na kolorowo. Pozycjonowania sztywne, ale z nadzieją na efekt wizualny. Ruda precyzyjnie namierza kolejne miejsca, w które można wpasować się na zdjęcie. Zachęcam, by siadła w prezencie, pod kokardą. I jeszcze balony, i jeszcze inne tła. „Czy mam dobre tło?” – dobre pytanie. Tło ze skrzydeł anielskich, tło z balonów, tło z gwiazd. W każdym z tych tła formatka na człowieka, który wpasuje się między skrzydła, „weźmie” balon za nitkę, udźwignie koronę. „Pingwin, czy sfotografowałaś, gdy byłam aniołem?”. „Tak, zdążyłam”. „Twoje matczyne ręce są jak pletwy, nie skrzydła”. „Tak, Rudku, mam nadzieję, że chociaż zdjęcia dobre zrobiłam”. „Na pewno. Ale nie rezygnuj”. „Z czego?”. „Pingwin, stań tam, gdzie stałam, to polecisz”. „Ech, to musimy się nieźle cofnąć, spóźnimy się”. „Proszę, stań. Ty też możesz”. No dobrze, wracamy ku przecięciu Chmielnej, Szpitalnej. Pręzę się na tle niebiesko-białej instalacji. Ruda robi zdjęcie. „Zadowolona?” – uśmiecham się. „Tak. Na tym zdjęciu lataasz”. „Serio?”. „Latasz – mówi Ruda – bo ja tak to widzę”. „No patrz. Nie wiedziałam, że ta ścianka ma taką moc”. Ruda na fochu: „Ścianka ma? Ja mam”.

©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



Izabela i Sławek Cieszyńscy z Gdańska w dniu swojego ślubu.

MAŻ I ŻONA WYMODLONA

W sieci mnożą się katolickie portale i fora randkowe.

Niemal w każdym dużym mieście prowadzone są msze dla singli i spotkania zakochanych. Coraz częściej szukamy pary w grupie osób o podobnych wartościach.

MARCIN WÓJCIK

JÓZIU, JAK TY SIĘ POZNAŁEŚ ZE SWOJĄ ŻONĄ?

– Po rozstaniu z dziewczyną, w 2006 r., zacząłem codziennie rano chodzić na msze do sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie. Do św. Faustyny. I modliłem się o dobrą żonę – mówi Józef

Pasek, przedsiębiorca z małopolskich Koninek.

Na podłódze jasnego mieszkania piętrzą się stosy klocków i pluszaków, jakby ktoś wrzucił granat do pudła z zabawkami.

Wśród nich Pasek, który opowiada, że jedna z zakonnic, pracujących w sank-

tuarium, zaprosiła go na pielgrzymkę. Musiał jechać aż do Rzymu, żeby poznać Jurka, który z kolei przedstawił go dziewczynie z Torunia, także singielce. No i się w sobie z tą dziewczyną zakochali.

– Gdy się poznaliśmy, zabrałem Natalię do św. Faustyny na poranną mszę o siód-



ARCHIWUM PRYWATNE

Nowe życie

Powietrze wypełnia zapach perfum, pasty do butów i szamponów. Szpilki, krawaty, fryzury. Ludzie wygląncowani, wyprostowani i wyraźnie pobudzeni, rozglądają się mniej lub bardziej dyskretnie dookoła. Pytam blondynki, która ustawiła się tuż przede mną, czy chce usiąść. – Przecież nie jestem babcią, żeby mi ustępować! – słyszę w odpowiedzi. – Bądź tu miły w tych czasach – komentuje pani w futrzanej czapie, jedna z nielicznych starszych osób w tym towarzystwie. Czuję na sobie palący wzrok brunetki w szarej mini. Czas na zmianę miejsca.

Msze dla singli w krakowskim kościele św. Barbary odbywają się w ostatnie wtorki miesiąca i przyciągają tylu chętnych, że trudno się wcisnąć. Atmosfera jak na dyskotekę w liceum – myślę. Ale przestaje mnie to bawić, gdy uświadamiam sobie, że stoję w kościele pełnym samotnych ludzi w średnim wieku. Przyszli tu w nadziei, że ktoś ich zauważy, doceni, wyjdzie naprzeciw.

Z ambony pada: „Jeśli słuchamy Słowa Bożego i wypełniamy je, to wchodzimy w taką relację z Panem Bogiem, w jaką wchodzi człowiek w momencie współżycia. I podobnie jak relacja współżycia ma zaskakującą moc stworzenia nowego życia, tak samo człowiek przyczynia się do powstania nowego życia, kiedy wypełnia słowa Chrystusa”.

Po mszy chętni zbierają się przed kościołem, żeby wspólnie przejść do sali gimnastycznej w pobliskiej szkole siostr prezentek. Tam czeka ich dyskoteka. To impreza zamknięta, organizatorzy odmawiają nawet rozmowy na ten temat. Podobnie jak ksiądz, który odprawia msze. W zwiżyłym mailu napisał jedynie, że odkąd przejął stery, dzięki spotkaniom zeszło się ze sobą ponad dwadzieścia par. Był już jeden ślub.

Szybka swatka

– Jak się państwo mają? Burzliwy początek dnia?

– Ciężko trochę, tak.

– Nieźle tam macie stadko.

– Najmłodszy ma miesiąc, ale w domu mamy go dopiero od piątku. Urodził się jako wcześniak. Jest trudniej, ale dajemy radę.

Iza i Sławek Cieszyńscy z Gdańska są małżeństwem od sześciu lat. Mają troje dzieci. Wśród stosów pieluch, grzechotek

i wózków prowadzą firmę Svatka.pl, która organizuje speed dating w kilku największych miastach Polski. Single poszukujący pary ustawiają się w kolejce do singielek i z każdą odbywają pięciominutowe konwersacje. Po spotkaniu informują prowadzących, kto im się spodobał. Na tej podstawie organizatorzy wysyłają osobom, które „się zmaczowały” (czyli zainteresowały sobą nawzajem), dane kontaktowe. A dalej – niech się dzieje wola nieba...

Iza tłumaczy, że ta formuła to szansa na poznanie się twarzą w twarz, w przeciwieństwie do anonimowych i nienaturalnych kontaktów za pośrednictwem platform randkowych.

Pytam, na jakie zapotrzebowanie odpowiada oferta chrześcijańskich „szybkich randek”.

– Jesteśmy osobami wierzącymi – mówi Iza. – Dla nas tematyczne randki, a więc na przykład chrześcijańskie, ale też podróżnicze czy dla osób z wyższym wykształceniem, są priorytetem. Chrześcijańskie szybkie randki nie różnią się niczym od innych poza tym, że dają pewność, że druga osoba jest wierząca, ma podobne wartości, podobne poglądy na życie.

Sławek dodaje, że na tym samym fundamencie łatwiej się buduje. To załatwia wiele problemów, które zwykle wychodzą na jaw dopiero po okresie zauroczenia – kwestie podejścia do wiary, dzieci czy rodziny. W przeciwieństwie do Tindera, gdzie można z kimś fajnie pisać, ale potem, na żywo, przeżyć rozczarowanie, u nich od razu wszystko jest jasne.

– Czy utkwiła wam w pamięci jakaś szczególna historia?

– Tak, nasza własna.

Sławek poznał Izę właśnie podczas szybkich randek. Po spotkaniu podeszła i zapytała, czy chce z nią iść na pizzę.

– Odpowiedziałem: „A co, stawiasz?”. Poleciałem sucharem, bo akurat niespecjalnie miałem ochotę, byłem trochę cięty po złych doświadczeniach z Tindera.

Z randki nic nie wyszło, ale zaczęli do siebie pisać i potem już popłynęło.

– Pamiętam, jak byłem u kumpli i zapytali, co nas łączy. Powiedziałem, że ona też ma problemy z kręgosłupem i tankuje na Orlenie – śmieje się Sławek. A Iza dopowiada poważnie: – Wszystko mi się w nim podobało. Jest wierzący, ma podobne podejście do rodziny, ważna była dla niego relacja z rodzicami, dziadkami, rodzeństwem. Myślę, że to nas połączyło. ➔

mej. Opowiedziałem jej, że chodziłem tam codziennie przez trzy lata i modliłem się o żonę. A ona na to: „Wiesz co? Ja mam na drugie Faustyna”.

Dziś Józef i Natalia mają dwoje dzieci. Od początku pełnoskalowej wojny w Ukrainie prowadzą wspólnie ośrodek dla uchodźców.

Ludzi takich jak oni, którzy pragną wymodlić sobie żonę lub męża, jest w Polsce coraz więcej. W internecie mnożą się katolickie portale i fora randkowe. Niemal w każdym dużym mieście prowadzone są msze dla singli czy spotkania zakochanych. Nikogo nie dziwi wyprawa na pielgrzymkę w celach matrymonialnych ani nawet katolicki speed dating (szybkie randki).

Dlaczego w dobie kryzysu Kościoła coraz więcej ludzi właśnie za jego pośrednictwem poszukuje pary?

Licytacja wartości

⇒ Wiesław Gajewski z Bydgoszczy: wysoki siwy pan, elegancki. Jest prezesem fundacji Czyste Serca, pedagogiem seksualności z ponad czterdziestoletnim doświadczeniem, wodził bezalkoholowych wesel, wielbicielem Jana Pawła II i założycielem jednego z pierwszych katolickich portali randkowych w Polsce. „Przystań Czystych Serc” powstała w 2009 r., czyli w czasach Naszej Klasy, na kilka lat przed Facebookiem.

– Dawniej, jak panny i kawalerowie szukali swoich drugich połówek, to szli do remizy na zabawę. Teraz zakładają konta w internecie. Wyszliśmy naprzeciw tej potrzebie. Już wtedy było jasne, że można w ten sposób ludziom służyć, a portal jest zbieżny z celami fundacji – mówi Gajewski. W jej credo napisano: „Podejmujemy działania, aby każde małżeństwo było sakramentalne. Małżonkowie odnosili zwycięstwa w walce o swoją miłość. Rodzice potrafili wychowywać swoje dzieci na dobrych i odpowiedzialnych ludzi. Nauczyciele stawali się autorytetami dla młodzieży w jej życiu uczuciowym i seksualnym. Jak największa liczba dziewcząt i chłopców rozpoczynała życie seksualne po ślubie”.

Jak to osiągnąć online?

– Tworzymy formularze i skrypty, jak to się mówi w języku informatycznym. Ustawiliśmy jeden kluczowy warunek, by zapisać się do portalu: każdy, kto ma zamiar założyć konto, odpowiada na pytanie, czy nie ma przeszkód do zawarcia małżeństwa sakramentalnego w Kościele katolickim. Nie pytamy o przekonania

ani poglądy, tylko o to. Chrystus umarł na krzyżu jako oblubieniec za swoją oblubienicę – wyjaśnia Gajewski. – To jest teologia, która opisuje stan faktyczny. Mówię o zdarzeniu, które miało miejsce i które dla każdej pary małżeńskiej jest ofertą zakorzenienia się w miłości.

Portal Gajewskiego jest niewielki. Nawet nie próbuje stawać w szranki z bardziej popularnymi, jak „Singlowanie”, „Przeznaczeni”, „Katolikus” czy „Zapisani Sobie”. Największy wydaje się międzynarodowy gigant „Eden – portal randkowy Chrystus”. Nowoczesna aplikacja randkowa, która działa jak katolicka wersja Tindera. Tygodniowa subskrypcja kosztuje 49,99 zł – wpisujesz imię, nazwisko, wzrost, wiek i wyznanie, do wyboru: protestant, katolik albo prawosławny. A potem przeglądasz galerie zdjęć pań i panów.

Prezes Fundacji Czyste Serca mówi, że z jego portalu korzystają najczęściej ludzie po trzydziestce. Sześć na dziesięć osób to kobiety. Większość wstydzi się zamieszczania swoich fotografii.

– Pamiętam historię Andrzeja, o którym ludzie z fundacji wiedzieli, że jest na portalu, że ma konto, ale długo szuka partnerki. W końcu znaleźli mu żonę w realu, Annę. Byłem wodziem na ich weselu, bezalkoholowym oczywiście. Potem dowiedziałem się, że są rodziną wielodzietną. Mają chyba czwórkę dzieci.

Internet oferuje także niezliczone fora katolickie i grupy na Facebooku, na których młodzi chrześcijanie i chrześcijanki reklamują swoje przymioty i wyznawane wartości. Najbardziej utkwili

mi w pamięci następujący wpis: „Kobieta słucha się mężczyzny. Mężczyzna miłuje kobietę. Dzieci słuchają się rodziców. Mężczyzna swoim zachowaniem nie zgorszy kobiety i dzieci. Może jest jakaś pani dla której wiara nie jest powierzchowna i chce ją zgłębiać i żyć w prawdzie”.

Samotne pokolenie

„Dlaczego w Polsce jest coraz więcej singli?”. „Epidemia samotności odbija się na gospodarce”. „Singli w Polsce jest więcej niż par?”. „Samotne pokolenie Z. Niepokojące wyniki badań”. „Ponad połowa młodych mężczyzn czuje się samotna”. To tytuły zaledwie kilku publikacji na temat samotności Polek i Polaków, które niemal codziennie ukazują się w prasie. Samotność w erze Tindera? Jak to możliwe?

– Paradoks polega na tym, że media społecznościowe i współczesna technologia ułatwiają kontakt, ale nie zastępują głębokich, realnych więzi – mówi psycholog i terapeuta dr n. med. Grzegorz Mączka. Jego zdaniem nadmierne używanie mediów społecznościowych może prowadzić do izolacji, wyobcowania i poczucia pustki.

– Ewolucja przygotowała nas do funkcjonowania w niewielkiej grupie społecznej, tymczasem na Facebooku, czy innych komunikatorach, mamy setki znajomych. Dla naszego systemu nerwowego to nie jest typowa sytuacja. Wyobrażam sobie, że ta ilość danych może być niekiedy przytłaczająca i trudniej w niej realizować potrzebę autentycznej intymności i przynależności. Do tego współcze-

Wolni, żonaci, zameżne

GŁÓWNY URZĄD STATYSTYCZNY nie liczy singli w Polsce. Podczas narodowych spisów powszechnych zbiera jedynie dane na temat zadeklarowanego stanu cywilnego (panna, kawaler, wdowa, wdowiec).

8 826 147

Liczba osób „stanu wolnego” w Polsce w 2021 r. (wg danych GUS)

Określony w ten sposób stan cywilny nie oznacza, że badana osoba jest singlem. Podczas ostatniego narodowego spisu powszechnego (2021 r.) jako osoby stanu wolnego zadeklarowało się 32,95 proc. dorosłych Polaków.

Odsetek ten jest wyższy wśród mieszkańców miast (33,57 proc.) niż wsi (22,86 proc.). Więcej jest też w naszym kraju kawalerów (35,75 proc.) niż panien (29,99 proc.).

W porównaniu do danych sprzed dekady odsetek osób niebędących w małżeństwie nieznacznie spadł. Podczas narodowego spisu powszechnego w 2011 r. stan wolny zadeklarowało 34,06 proc. Polaków (36,77 proc. panów i 31,12 proc. pań).

145 900

Liczba małżeństw zawartych w Polsce w 2023 r. (druga najniższa w okresie powojennym)

SPADA liczba zawieranych małżeństw. W roku 2023 było 145,9 tys. ślubów. Jest to druga najniższa liczba w okresie powojennym (niemal tyle samo, bo równe 145 tys. małżeństw zawarto w 2020 r.). Z tej grupy jedynie 47,6 proc. nowożeńców zdecydowało się na ślub kościelny – w 2023 r. sakramentalny związek zawarto 74 227 par. © EA/MW

Na tym samym fundamencie łatwiej się buduje.

W przeciwieństwie do Tindera, gdzie można z kimś fajnie popisać, ale potem, na żywo, przeżyć rozczarowanie.

sne społeczeństwa Zachodu kładą nacisk na indywidualizm, samorealizację i niezależność, co także mocno osłabia tradycyjne więzi społeczne – mówi Mączka.

Myślę o tezie ostatniej książki Tomasa Stawiszyńskiego pt. „Powrót fatum”, że w obliczu trudności współczesnego świata szukamy ratunku u trzech źródeł: w wierze w naukę, wierze w ezoterykę lub wierze w Boga i powrocie do Kościoła. Zdaniem Mączki poszukiwanie wsparcia w różnego rodzaju wspólnotach i grupach modlitewnych może być próbą reparacji tego, co utracone.

Czy stąd taki wysyp wszelkiego rodzaju inicjatyw Kościoła, pozwalających łączyć się w pary?

– Pomimo romantycznego wyobrażenia, że przeciwieństwa się przyciągają, to, co najczęściej wydaje się łączyć ludzi i budować bliskość, to poczucie podobieństwa, także w zakresie światopoglądu czy stylu życia. Wyobrażam sobie, że trend we współczesnym świecie, by szukać bliskości w grupie ludzi wyznających podobne wartości, może się nasilać – puentuje dr Mączka.

To nie pluszowy miś

– Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy wierzą, że jedną ze ścieżek realizacji ich drogi życiowej jest małżeństwo. I chcą budować na fundamencie głębokiej relacji osobowej, wiary i sakramentu, dzięki którym można otrzymać od Pana Boga łaskę jedności – mówi o. Mirosław Piłśniak, dominikanin, współprowadzący m.in. „Wieczory dla Zakochanych”.

– Pracuję teraz w Łodzi i mogę powiedzieć, że osób, które szukają małżeństwa sakramentalnego, jest coraz mniej. To nawet nie połowa szukających pary – dodaje.



Izabela i Sławek Cieszyńscy z Gdańska z dziećmi



Natalia i Józef Paskowie z dziećmi

„Wieczory dla Zakochanych” organizowane są przez ruch katolików świeckich Spotkania Małżeńskie w 28 ośrodkach w całej Polsce. Celem spotkań jest „pomoc w rozpoznaniu aktualnej sytuacji, odpowiedź na pytanie, czy relacja, w której jesteśmy, może być podstawą do zbudowania małżeństwa”. Dla wielu odpowiedź brzmi: „tak”, ale przecież zdarza się, że ludzie się rozchodzą. Uczestnikami „Wieczorów” są pary zdecydowane na zawarcie małżeństwa, które chcą porozmawiać na tematy dotąd zbyt dla nich trudne.

– Jedną z takich spraw jest relacja z rodzicami. W jaki sposób poradzić sobie z tym, kim dla ciebie są twoi rodzice? Czy mają zamiar wpływać na twoje dorosłe życie? W jaki sposób się od tego uwolnić? To jeden z tematów, który budzi masę kontrowersji – mówi o. Piłśniak.

Marysia i Mateusz mają po 25 lat i są zaręczeni. Poznali się w Fundacji Nowego Tysiąclecia, która wspiera zdolne dzieci z mniej uprzywilejowanych rodzin. Przez dziesięć lat byli jej stypendystami i – jak mówią – formowali się

w diecezjach: jeździli na wspólne obozy, modlili się.

– To był bardzo fajny czas nawiązywania przyjaźni. Znamy wiele par, które poznały się tak jak my i do dzisiaj są razem, zawarły małżeństwa, mają dzieci. Miło to wspominamy – mówi Marysia, dziewczyna o serdecznym usposobieniu i nieposkromionej chęci mówienia. Studiowała dietetykę w Krakowie, a Mateusz, jej narzeczony, cichy i poważny, inżynierię zarządzania w Warszawie. Są razem, ale na odległość. Tak będzie aż do ślubu.

– Czasami się kłócimy, ale wiara pozwala nam zachować równowagę – mówi Mateusz. – Czasem jest tak, że jedna osoba niedomaga i druga wyciągnie ją do góry, a czasem odwrotnie. Nawet jak coś ci nie wyjdzie, to ktoś cię zmotywuje.

– Znasz tę piosenkę? „Miłość to nie pluszowy miś ani kwiaty. / To też nie diabeł rogaty. (...) Ale miłość – kiedy jedno spada w dół, drugie ciągnie je ku górze”.

– Dokładnie, dokładnie. To bardzo dobre podsumowanie. Fajnie, jak masz takie oparcie.

© MARCIN WÓJCİK



JOHN MOORE / GETTY IMAGES

Wolontariusze podają posiłek osobom oczekującym na azyl w obozie dla imigrantów w przygranicznym mieście Matamoros w Meksyku. 8 grudnia 2019 r.

Porządek czy wymówka

PIOTR POPIOŁEK

Czym naprawdę jest teologiczny koncept *ordo caritatis* i dlaczego coraz częściej wykorzystuje się go w antyimigranckiej i antyspołecznej polityce?

Jest taka starodawna i – jak sądzę – bardzo chrześcijańska koncepcja, że najpierw kochasz swoją rodzinę, potem swojego bliźniego, potem swoją społeczność, potem współobywateli w swoim kraju, a dopiero potem możesz skupić się i nadać priorytet reszcie świata – mówił JD Vance, nowy wiceprezydent USA. W wywiadzie dla Fox News został zapytany, czy jego katolicka wiara (polityk niedawno przeszedł na katolicyzm) nie stoi w konflikcie z nowymi drakońskimi antyimigranckimi przepisami prezydenta Donalda Trumpa, które mają doprowadzić do deportacji milionów ludzi z USA (w tym, być może, 30 tys. Polaków mieszkających tam nawet od kilkadziesiąt lat).

Idea „porządku miłości” (*ordo caritatis* czy *ordo amoris*), której wiceprezydent Vance dał uproszczony opis, często powraca w katolickich debatach na temat pomocy obcym i wykluczonym – ostatnio w kontekście kryzysu migracyjnego. I zazwyczaj ma być argumentem zamykającym usta tym, którzy mówią o konieczności udzielania takiej pomocy.

Doktryna ponad podziałami

Nauczanie o „porządku miłości” usystematyzowane zostało dopiero w tomizmie, jest więc specyficznie katolickie. Nic dziwnego, że dla wielu osób wyrosłych na amerykańskich tradycjach protestanckich, czy w innych religiach, jest to koncepcja całkowicie nowa i obca. Stąd

liczne komentarze, np. brytyjskiego polityka Rory’ego Stewarta, że mamy do czynienia z doktryną bardziej pogańską czy plemienną niż chrześcijańską. Albo opinie chińskich użytkowników mediów społecznościowych, że Vance’owi bliżej jest do Konfucjusza niż Jezusa – w konfucjanizmie uznaje się, że zanim zaczniemy zajmować się państwem, powinniśmy uporządkować sprawy rodzinne. Można wręcz powiedzieć, że Vance wywołał ożywioną teologiczną debatę na temat mało znanej koncepcji katolickiej w świecie religijnie pluralistycznym.

W dyskusji tej nie chodziło jednak o argumenty na temat zgodności *ordo amoris* z doktryną chrześcijańską, a szczególnie z tradycją katolicką, ale o opowiedzenie się za lub przeciwko tej koncepcji ze względu na osobiste przekonania i preferencje polityczne. Zwolennicy polityki Trumpa zwracali uwagę, że „porządek miłości”, o jakim mówi Vance, jest sensowny i powinniśmy się nim kierować – przyznał to np. popularny amerykański komentator polityczny, ortodoksyjny Żyd, Ben Shapiro. Przeciwnicy polityki antyimigracyjnej, np. jezuita James Martin, zwracali uwagę, że przypowieść o miłosiernym Samarytaninie stoi w sprzeczności z tak rozumianą hierarchią miłości

(podobnie pisał o tym w Polsce Marcin Kędzierski).

Początki porządku miłości

Za ojca „porządku miłości” uważa się Augustyna z Hippony (354–430 r. n.e.). Wprawdzie nie przedstawił on usystematyzowanej nauki na jej temat, ale sformułował ogólną ideę w „De doctrina Christiana” (O nauce chrześcijańskiej).

„Sprawiedliwie i święcie żyje ten, kto właściwie ocenia rzeczy, to znaczy, czyja miłość jest na tyle uporządkowana, żeby ani nie kochał tego, czego nie należy, ani odwrotnie, nie zaniedbał miłować tego, co miłować trzeba” – czytamy w dziele. I dalej: „Wszystkich należy jednakowo kochać, lecz ponieważ nie wszystkim możemy pomóc, więc trzeba pomagać tym, którzy ze względu na miejsce, czas albo inne okoliczności niejako losem są z nami bliżej złączeni”.

Sformułowanie Augustyna jest, jak wiadać, o wiele mniej ostre niż jego współczesne, konserwatywne reinterpretacje. Nie ma tu zakazu miłowania obcych, pomagania im czy troszczenia się o nich. Przeciwnie – „wszystkich należy jednakowo kochać” – pisał starożytny filozof. Przyznając jednocześnie, że ze względu na okoliczności nie jesteśmy w stanie wszystkim pomóc, co było oczywiste zwłaszcza w jego czasach.

Dziś dysponujemy zupełnie innymi możliwościami i środkami (komunikacji i pomocy), dlatego okazanie troski osobie potrzebującej z innego miasta czy kraju jest dużo prostsze. Żyjemy też w czasach względnego dobrobytu, gdy całkiem spora liczba ludzi jest w stanie podzielić się dobrem z innymi.

Interpretacje i wypaczenia

Warto podkreślić, że „porządek miłości” nie jest nieodzowną częścią doktryny katolickiej, ani – tym bardziej – dogmatem. Jest jedynie teologicznym konceptem rozwijanym na przestrzeni dziejów, a więc nieposiadającym stałej definicji i podlegającym ciągłym reinterpretacjom (choć, oczywiście, zwykle spotykającym się z akceptacją).

Warto też zauważyć, jak łatwo ta koncepcja może być – i bywa – traktowana instrumentalnie i jak wiele osób wypacza ją w obronie własnych ideologii. W ostatnich latach nauczanie o „porządku miłości” było przywoływane głównie w kon-

tekście antyimigranckim. Ale w niektórych polemikach publicystycznych pojawiało się też jako uzasadnienie antyspołecznych i liberalnych polityk ekonomicznych, na przykład jako argument przeciwko transferom socjalnym (zamiast wydatkować podatki, np. na 500+, lepiej wprowadzić ulgi podatkowe, by podatnik nie utrzymywał ze swoich pieniędzy „obcych”, ale mógł je przeznaczyć na potrzeby swojej rodziny).

Plemienny nacjonalizm

Zwolennicy uproszczonej interpretacji idei *ordo caritatis* często dowodzą, że pomoc „obcym” jest niemożliwa, albo że pomagając im, szkodzimy „swoim”. Plemiennność, którą zarzucono Vance’owi, nie jest jednak cechą wewnętrzną doktryny o „porządku miłości”, a jedynie dowodem jej wypaczonego obrazu, służącemu politykom i konserwatywnym publicystom do własnych rozgrywek. Realna pomoc obcym, np. migrantom, jest przez nich uważana za obiektywne zaburzenie „porządku miłości”, jako że – twierdzą – obywatel i katolik winien na pierwszym miejscu stawiać rodzinę i interes narodowy.

Pojęcie narodu, który ma być ponad dobrem konkretnego człowieka, to kolejny, niebezpieczny element wypaczenia idei *ordo amoris*. Starożytna koncepcja odnosiła się bowiem przede wszystkim do tro-

ski o zbawienie „obcego”, która powinna być ważniejsza niż troska o własne materialne dobro, a nawet życie. Dziś natomiast, zamiast „porządku miłości” względem tych, których powinniśmy „jak siebie samych miłować” – mamy do czynienia z odzieraniem ich z godności i człowieczeństwa w imię „interesu narodowego”.

Widać to choćby w procesie wolontariuszy z Hajnówki, którzy nieśli pomoc wygłodniałym i wycieńczonym migrantom na granicy z Białorusią. W opinii konserwatywnych publicystów, w tym katolickich, powinni zostać za to potraktowani jak zdrajcy narodu, choć przecież z perspektywy katolickiej – i co do tego św. Augustyn z pewnością nie miałby wątpliwości – żaden „porządek miłości” nie został tu zakłócony.

Ordo caritatis nie jest pogańską, plemienną doktryną, w przeciwieństwie do nacjonalizmu (czy też abstrakcyjnej racji stanu), stawiającego interes narodu/państwa ponad życie konkretnego człowieka.

Jak mówił przed laty Benedykt XVI: „ci, którzy migrują, ufają, że zostaną przyjęci, otrzymają solidarną pomoc i spotkają osoby, które rozumiejąc trudności i tragedię swoich bliźnich, a także dostrzegając różne ich wartości i zasoby, będą gotowe okazywać sobie ludzką życzliwość i dzielić się dobrami materialnymi z potrzebującymi i poszkodowanymi”. ©

POZEGNANIE

Kasi Kolendzie-Zaleskiej

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Taty

Kasiu, całym sercem jesteśmy z Tobą

PRZYJACIELE

IWONA I PIOTR BEAUPRÉ

KASIA JANOWSKA

NINA I TOMASZ JANOWSCY

MAJKA I TOMEK LANGIEROWIE

AGNIESZKA I ROBERT MAKŁOWICZOWIE

IWONA I JERZY MEYSZTOWICZOWIE

MONIKA JANOWSKA-MLECZKO I ANDRZEJ MLECZKO

MARYSIA I WOJTEK ZIELIŃSCY

Przychodzi ksiądz do chorego

AGNIESZKA JANIĄK, KULTUROZNAWCA:

Czasami potrzebny jest ktoś, kto z nami po prostu będzie. Kto będzie chciał posiedzieć w tej ciemnej dolinie, nie ucieknie, nie odbierze nam prawa do żalu czy rozpacz.

ARTUR SPORNIĄK: Boimy się spotkania z ludźmi ciężko chorymi. Odruchowo przed nimi uciekamy, szukając powodów usprawiedliwiających: że sytuacja nas przerasta, że zamiast ich pocieszać, jeszcze bardziej ich przygnębimy.

AGNIESZKA JANIĄK: Uważam, że nie tyle uciekamy, co czujemy się właśnie bezradni. Kultura już nam nie podpowiada, co trzeba robić w sytuacjach niecodziennych. Wyzwoliliśmy się od determinizmu religii, a to ona regulowała, co należy zrobić, jak się urodzi dziecko, gdy człowiek zmienia przynależność rodzinną, osiąga dorosłość czy zbliża się do kresu życia. To są sytuacje niecodzienne, ale bynajmniej nie wyjątkowe. W kulturze tradycyjnej, w której większość identyfikowała się ze światopoglądem religijnym, wiedzieliśmy, co robić w tych ważnych momentach. Sąsiad przychodził do domu chorego i doił jego krowy, by odciążyć rodzinę. Nie zastanawiał się nawet, czy to będzie mile widziane, czy nie. Niestety, już nie mamy takiego religijno-kulturowego gotowca zachowań. Ale jako kulturoznawca obserwuję, że jesteśmy świadkami i beneficjentami zmiany kulturowej właśnie w odniesieniu do osób bezradnych, chorych, umierających. W przestrzeni społecznej pojawiło się dużo ogólnodostępnej wiedzy, gdzie możemy się nauczyć, jak odpowiedzieć na ich potrzeby, jak wspierająco towarzyszyć.

Czy taką wiedzę dysponują także osoby zawodowo kontaktujące się z chorymi, jak lekarze czy księża? Pani ostatnia książka „Młody ksiądz wobec wyzwań komunikacyjnych” pokazuje, jak duchowny powinien

rozmawiać z chorymi, by nie popaść w rutynę, ale też nie angażować się emocjonalnie, bo to grozi wypaleniem zawodowym.

Tak, „wchodzenie w cudze buty”, czyli podzielenie czyjegoś stanu emocjonalnego, potrafi być destrukcyjne. Ale istnieje coś takiego jak empatia poznawcza: nie podziałaj cudzych przeżyć, ale miej świadomość, co dana osoba przeżywa. Bo można się szybko zniechęcić, gdy chory jest agresywny albo mówi: „To ksiądz powinien tutaj na tym łóżku leżeć, bo po księdzu nikt nie będzie płakać”.

I jak ten ksiądz powinien na to zareagować?

Powinien wiedzieć, dlaczego ta osoba tak mówi. Że jest na takim etapie godzenia się z własną śmiertelnością, w którym pojawia się uogólniony gniew, bunt skierowany przeciwko sytuacji, chorobie, a nie przeciwko temu konkretnemu księdzu. On znalazł się jedynie pod ręką. Jeśli mam wiedzę, że po prostu tak jest, nie potraktuję tej reakcji personalnie. Nie powinienem podzielać tych emocji, zarażać się nimi, ale dawać przyzwolenie na ich ekspresję. Mogę powiedzieć: „Zajrzę do pana jutro”. A gdy mam większą odporność i doświadczenie, mogę próbować inaczej, np. zapytać: „A pozwoli mi pan tylko usiąść i odmówić przy sobie brewiarz?”. Czasami warto pozwolić się „przewentylować” podopiecznemu i zostać „chłopcem do bicia”, jeśli tylko ma się świadomość, że w rozżaleniu, złości, gniewie chorego nie chodzi o mnie.

Rozumiem, że w takiej sytuacji jest potrzebna dobra orientacja – na co pacjent choruje, w jakim jest stanie...

Poza wiedzą przydaje się także umiejętność obserwacji. Jeżeli idę pierwszy raz w odwiedzin do chorego, muszę zainwestować czas i chęci – a ta inwestycja zaowocuje! – po to, by zebrać podstawowe informacje, zrobić wywiad środowiskowy. Dowiedzieć się, czy podopieczny wie, w jakim jest stanie, jaka jest jego sytuacja rodzinna, kto się nim opiekuje, na kogo może liczyć. Czy są osoby, za którymi szczególnie tęskni, jaki zawód wykonywał, jakie są jego sukcesy życiowe.

A jeżeli nie zna swojego stanu?

Czy trzeba go o nim poinformować?

Na pewno to nie jest zadanie księdza. Rozmowa o stanie zdrowia i rokowaniach należy do lekarza i najbliższych. W kodeksie medycznym jest zapis, że lekarz powinien poinformować pacjenta o niekorzystnym rokowaniu. Ale zdarza się, że rodzina usilnie prosi o „niepozbywanie nadziei” chorego i doświadcza on zmowy milczenia. Gdy podopieczny jest zapewniany przez najbliższych, że zaraz wyzdrowieje, a czuje się coraz słabszy, może szukać potwierdzenia na zewnątrz i pytać: „Był ksiądz w zeszłym tygodniu i jak ksiądz myśli, lepiej wyglądam?”. Odpowiada się na takie pytanie: „A jak się pan czuje?”. Gdy ksiądz jest proszony przez chorego, żeby porozmawiać z rodziną o tym, że umiera, i zapytać, czy oni też mają tego świadomość, powinien się takiej misji podjąć. Ale kluczowa umiejętność księdza w byciu przy chorym polega przede wszystkim na słuchaniu.

Słuchanie jest jedną z czterech kompetencji komunikacyjnych, w której nie jesteśmy kształceni. Uczymy się mówić, czytać i pisać, a nie jesteśmy uczeni, jak słuchać. Ksiądz – i w ogóle każdy opiekun – powinien się tego nauczyć. My najczęściej mówimy o swoich potrzebach albo je pokazujemy. Mówił pan o onieśmieniu w kontakcie z chorym, tymczasem nie trzeba się skupiać na swoich emocjach, tylko bardzo uważnie słuchać, co mówi osoba, która jest ode mnie zależna. Niech ona będzie dla mnie przewodnikiem po swojej bezradności.

Podczas lektury książki zaskoczyło mnie, że duży nacisk kładzie Pani na znaczenie dotyku. Mamy czas unikania kontaktu cielesnego, a choroba obłożna to sytuacja bardzo delikatna...



GRZEGORZ NIKLAS / WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

AGNIESZKA JANIAK jest kulturoznawcą, pracuje na Uniwersytecie Merito WSB w Gdańsku. Prowadzi szkolenia komunikacyjne dla księży, lekarzy, pielęgniarek oraz pracowników socjalnych. Ostatnio wydała książkę „Młody ksiądz wobec wyzwania komunikacyjnych”.

cyjach międzyludzkich i buduje nasze poczucie godności oraz przynależności.

Nie jest dziwny dotyk kogoś bliskiego. Czy jednak jest wskazane, by ksiądz, który przychodzi z zewnątrz, także trzymał za rękę?

Nie powinien się bać, bo dotyk nie jest tylko i wyłącznie manifestacją bliskości relacji rodzinnych, ale w ogóle relacji społecznych, jak już mówiłam. Dotknięcie wierzchu dłoni, przedramienia, czoła to są gesty wsparcia, współczucia i współbycia przy drugim człowieku. Istnieje też coś takiego, jak terapeutyczne znaczenie dotyku. Ten temat pojawił się już w kształceniu lekarzy. W kształceniu pielęgniarek jest obecny od lat 60. XX wieku. Dotykanie powoduje wyrzut hormonów. Jeżeli będzie pan dotykał kogoś powyżej 6 sekund, doświadczy on wyrzutu i endorfin, i serotoniny, i oksytocyny, która działa m.in. przeciwbólowo.

A jak duchowny ma rozmawiać z chorymi? Zaleca Pani, by unikał teologicznego żargonu, nie pocieszał, nie doradzał, nie moralizował...

Ani nie powielał frazesów. Istnieją typowe pytania, które osoba bezradna, chora z dużym prawdopodobieństwem zada księdzu, bo wynikają one z cierpienia duchowego, np.: „Dlaczego akurat mnie to spotkało? Ja dobrze żyłem, a tu sąsiad pije i jest zdrowy”. Namaszczona odpowiedź – „Bóg tak chciał” – ani nie wspiera, ani nie buduje zaufania do Boga.

A jak ksiądz powinien odpowiedzieć?

Zamiast „Bóg tak chciał”, można powiedzieć: „To zapewne Boża tajemnica”. Najlepsza i najprawdziwsza jest jednak odpowiedź: „Nie wiem” – ona ustanawia pewną relację między chorym a księdzem, bliskości w niewiedzy, wobec tajemnicy. Ja nie wiem, jako chora i bezradna, i on także nie wie, jesteśmy wobec tego razem, wspólnie. Od księdza nie

Istotność dotyku jest dobrze udokumentowana badaniami naukowymi. Żyjemy w czasach taktylofobii, lęku przed dotykiem jako źródłem zagrożenia – covid ten lęk tylko utrwalił. Tymczasem dotyk jest zmysłem, który buduje relacje – oznaką bliskości, wsparcia, zaufania. To niezwykle zmysł, bo jako jedyny jest zmysłem dwustronnym – dotykając kogoś, równocześnie sami jesteśmy dotykani. Przytulając kogoś, sami na tym korzystamy. Cała nasza skóra jest jednym wielkim receptorem dotykowym. Jak można zrezygnować z dostarczania bodźców tak potężnemu zmysłowi? Dotyk buduje nasze poczucie własnej wartości – jeżeli nikt mnie nie dotyka, to znaczy, że nie zasługuję na to, ludzie się mną brzydzą.

Każda zależność – zwłaszcza choroba – marginalizuje nas, wyrzuca nas z dotychczasowego życia. Pan jest redaktorem, ja jestem wykładowcą, ktoś był dyrektorem, ktoś jest marynarzem – i nagle lądujemy w łóżku jako osoby bezradne, pozbawione sprawstwa i zależne. Stajemy się obiektem troski, opieki, pomocy w czynnościach fizjologicznych, godzącej w poczucie naszej godności. Tracimy swoje miejsce w społeczeństwie. A opiekunowie mogą nam na nowo przywrócić miejsce osoby potrzebnej, sprawczej i mającej godność. Zdarza się, że podopieczny zachowuje się nieprzyjemnie, jest np. agresywny czy intencjonalnie przykry. Powo-

dem może być rozpacz i niepokodzenie się z tym, że choroba zabrała mu dotychczasowe miejsce w życiu społecznym. Dotykając go, na nowo osadzamy go w relacjach społecznych, niejako mówimy: jesteś ważny, jesteśmy w relacji. Można by jeszcze wiele powiedzieć o dotyku.

Na przykład?

Dotyk to zmysł, który aktywizuje się jako pierwszy. Z badań wiemy, że już sześciotygodniowe płody odczuwają dotyk. Ale jest to także ostatni zmysł, który wygasza swoją aktywność, gdy umieramy. Na starych rycinach, przedstawiających sceny umierania w chłopskich izbach, łożo chorego otoczone jest przez ludzi, którzy go dotykają. Dotykało się głowy, wierzchu dłoni, stopy. Po co? Gdy wygaszają się po kolei zmysły – wzrok, odczuwanie smaku, zapachu – dwa ostatnie, które pozostają, to słuch i dotyk. Dlatego dawniej ludzie przy umierającym modlili się np. na różańcu czy odmawiając koronki albo litanie (to wszystko modlitwy, mające mantryczny rytm, który chory słyszy i czuje), po to, by miał poczucie, że nie jest sam. Ostatnim zmysłem, który jest ciągle aktywny – widać to na badaniach neuroobrazowych – jest zmysł dotyku. Do końca możemy czuć, że nie jesteśmy sami, że zasługujemy na to, by ktoś trzymał naszą rękę, towarzyszył nam. Dlatego zmysł dotyku tak mocno ustawia nas w rela-

→ oczekuje się nieomyślności. Od niego oczekuje się, że będzie człowiekiem komunii, czyli relacji. Najpierw relacji z Bogiem – on mi pokaże, jak ta relacja może wyglądać – ale też relacji z ludźmi.

W książce podsuwa Pani również odpowiedź: „Może to nie o pana chodzi”.

Cytuję ks. Jana Kaczkowskiego, który w konkretnej sytuacji zrozpaczonego pacjenta wielokrotnie zadającego pytanie, dlaczego go to spotkało, właśnie tak odpowiedział. Warto czasem przekierować uwagę cierpiącego: może chodzi o twoich najbliższych, żeby zrozumieli, jak wiele im dałeś. Co dla nich oznacza twoje odchodzenie?

W relacji z terminalnie chorymi najistotniejsze jest, by pamiętać, że oni wciąż żyją. Co z tego, że w cieniu śmierci? Każdy z nas żyje w jej cieniu. Im życie zdaje się krótsze, tym powinno być bardziej istotne, intensywne, przeżywane świadomie i ze smakiem – w hospicjum puckim mówi się o dbaniu o „kaloryczność życia” aż do ostatniej chwili.

Inne nieudolne i bynajmniej niepocieszające frazy to: „Czas leczy rany”; „Cierpienie uszlachetnia, cierpienie to dar”, albo popularna „Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła”. Jeśli tak jest, to ja bardzo dziękuję za taką miłość Pana Boga. Niech On sobie kocha kogoś innego! Cierpienie nie jest dobrem. Co najwyżej jest okazją do zrobienia dobra. Warto też nie nakazywać „Musisz być teraz silny”. Bo ja jestem kompletnie bezsilny i chciałbym, żebyś zechciał być w mojej bezsile ze mną.

Gdy osoba jest w fazie rozpacz i gniewu, często kieruje ten gniew

w stronę Boga. Ksiądz może wtedy mieć odruch obronny: „Proszę nie bluźnić!”, „Nie można się gniewać na Pana Boga!”. Jeżeli jednak wie, że chodzi o tę fazę, powinien ją po prostu przetrzymać – nie odbierać osobie chorej prawa do gniewu, pozwolić, by emocje się uwolniły. Po prostu być z nią. Czasami potrzebny jest ktoś, kto z nami po prostu będzie. Kto będzie chciał posiedzieć w tej ciemnej dolinie, nie ucieknie, nie odbierze mi prawa do mojego żalu czy rozpacz.

W podręczniku dzieli się Pani także własnym doświadczeniem.

Piszę podręczniki nie po to, żeby kogoś nauczać, ale żeby pokazywać istniejące i stosowane dobre praktyki. Uważam, że jesteśmy pełni współczucia, chcemy sobie towarzyszyć, chcemy pomagać i wspierać, tylko często nie wiemy jak. Paraliżuje nas poczucie bezradności, bo zwyczajnie nie wiemy, co i jak powiedzieć, jak się zachować, by realnie pomóc, a nie dodatkowo zranić. W podręczniku sięgam także po swoje doświadczenie, by pokazać, jakie gesty, których doświadczyłam w swojej żałobie, okazały się krzepiące, wspierające, niosły realną pociechę.

Pisze Pani, że ksiądz nie powinien podsycać nadziei chorego ani jej odbierać, tylko ją „podmienić”.

Podsyca nadzieję lekceważąc fraza: „Wszystko będzie dobrze”. Nie wiemy, jak będzie. Chodzi o to, żeby ten czas, który pozostał – czy to będą dwa tygodnie, dwa lata, czy dwadzieścia lat – był czasem świadome i sensownie przeżyty, właśnie takim „kalorycznym”. Mówiąc „będzie dobrze”, nie uspokajam chorego, tylko siebie samego. I mówię: będę z tobą wtedy, jak będzie dobrze. A przekaz powinien być taki: nie wiem, jak będzie, ale jakby nie było, będę z tobą.

jam chorego, tylko siebie samego. I mówię: będę z tobą wtedy, jak będzie dobrze. A przekaz powinien być taki: nie wiem, jak będzie, ale jakby nie było, będę z tobą.

Ksiądz ma możliwość przekierowania tej nadziei na szerszy zakres, np. na życie wieczne. Może też zapewnić, że w tym trudnym okresie będzie z bliskimi chorego, nie zostawi ich samych. Lęk przed śmiercią nie jest bowiem oczywisty. Warto najpierw zadać pytanie, czego tak naprawdę się boimy, czując strach przed śmiercią? Możemy bać się śmierci i bać się umierania. Jeśli boję się umierania, to czego właściwie się boję? Utraty godności, bo nie będę kontrolował swojej fizjologii? Czy tego, że będę obciążeniem dla swojej rodziny? Ludzie często boją się niekontrolowanego bólu. Jeśli rozpoznam źródło lęku, będzie można spróbować mu zaradzić. Opieka hospicyjna potrafi uśmierzać ból, wspomóc bliskich... Ale mogę też powiedzieć, że boję się właśnie śmierci, czyli niebytu...

Albo, co gorsza, że trafię do piekła.

To lęk, z którym właśnie ksiądz sobie wyśmienicie poradzi – on ma narzędzia, np. sakramenty, by z takim lękiem pomóc się zmierzyć. Ale trzeba najpierw rozpoznać, czy rzeczywiście o taki rodzaj lęku chodzi, by pomoc mogła być skuteczna.

Przy elementarnej odwadze i opanowaniu prostych kompetencji komunikacyjnych dla większości z nas umiejętność bycia z drugim jest dostępna, nawet w najtrudniejszych momentach. A przecież wtedy jest szczególnie potrzebne.

© P Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWÉ, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęły na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ochędowskiej z **MARGARET**



ZUZANNA

Radzik:

Relacja z wieży Babel



„GOEIEMORGEN, BONJOUR” – ZWRÓCIŁ SIĘ DO PASAŻERÓW KONDUKTOR, gdy maszyna znajdowała się jeszcze w Brabancji Flamandzkiej, w miejscowości Vilvoorde, między flamandzkąjęzycznym Mechelen a dwujęzyczną Brukselą.

Miły gest, ktoś pomyśli. Ale to Belgia, więc zrobiła się afera. Tu w końcu nawet Jan Paweł II nie ośmielił się ucałować ziemi po wyjściu z samolotu, by nie wywołać skandalu, że pocałował ziemię Flandrii, a nie Walonii. Prasa podała informację dopiero w połowie grudnia, choć wszystko działo się w październiku, ale rozeszła się błyskawicznie i w ciągu jednego dnia podchwyciły ją międzynarodowe tytuły. Cóż bowiem śmiesznieszego może się wydarzyć przed świętami niż spór językowy w małym kraju w środku Europy, na przedmieściach jej stolicy?

Skąd afera? Jeden z pasażerów zgłosił kolei skargę, bo technicznie rzecz biorąc, pociąg nie znajdował się jeszcze w stołecznym regionie, gdzie przedstawiciele publicznych zawodów muszą mówić dwujęzycznie, tylko wciąż we Flandrii. Konduktor powinien zatem mówić po flamandzku. Kolej tłumaczyła, chwając życzliwy gest swojego pracownika, że bezprawne byłoby użycie francuskiego bez towarzyszącego pozdrowienia po flamandzku, zaś wielojęzyczne pozdrowienie jest zwyczajnie sympatyczne. W podobnym tonie wypowiedział się minister transportu z partii Zielonych.

Czepialstwo pasażera pewnie nie spotkałoby się z takim zainteresowaniem, gdyby nie rosnące nastroje separatystyczne i nacjonalistyczne we Flandrii. Nawet przedstawiciel flamandzkiej partii chadeckiej nie zgadzał się z ministrem, twierdząc, że elastyczność reguł powoduje brak szacunku dla języka flamandzkiego. Tematem zajęła się państwowa Stała Komisja Kontroli Językowej, która rozpatruje skargi na naruszenie praw językowych, zwłaszcza w relacjach między administracją a obywatelem. Wydawać jednak może jedynie opinie, które mają autorytet moralny, ale nie są prawnie wiążące. Według statystyk 57 proc. Belgów mówi po flamandzku, a 42 proc. po francusku, 1 proc. po niemiecku i to są trzy oficjalne języki tego kraju. W 1962 r. wytyczono granicę językową, dzieląc kraj na językowe części: Walonię i Flandrię. W latach 80. stały się one autonomicznymi regionami, z dwujęzycznym Stołecznym Regionem Brukseli wciśniętym między nie.

Można się śmiać z obrony szacunku dla języka flamandzkiego, ale obie grupy językowe mają swoje na sumieniu. Pascal Smet z ugrupowania flamandzkąjęzycznych socjalistów opowiadał o swoich perypetiach z wprowadzaniem angielskiego lektora w autobusach w stolicy kraju. Ponoć frankofońscy parlamentarzyści regionu Brukseli blokowali zmiany, mówiąc: wy, Flamandowie, przegraliście językową walkę o Brukselę, ale chcecie osłabić wpływ francuskiego, wprowadzając angielski! Nie pomogły wyjaśnienia, że to nie flamandzki Kulturkampf i że ważne dla turystów nazwy przystanków podawane są po angielsku nawet w Paryżu. Językowy rygorizm ugiął się dopiero wobec pandemii, podczas której komunikaty po angielsku stworzono dla mieszkańców.

Życie bowiem swoje, belgijskie prawo swoje, a Bruksela swoje. Choć wszystko powinno być tu dwujęzyczne, więcej niż 55 proc. mieszkańców Brukseli nie urodziło się w Belgii, ale wciąż się integrują, ucząc się francuskiego, w którym mówi 81 proc. mieszkańców miasta. Kolejny jest angielski (prawie 47 proc.), flamandzki (22 proc.), hiszpański (14,5 proc.) i arabski (11,5 proc.) oraz wszystkie inne języki, które w tym jednym z najbardziej etnicznie różnorodnych miast świata można uświadczyc. Urzędnicy powinni mówić w obu językach. Kultura i jej instytucje prowadzone są w obu, często osobno. Na szczęście wielokulturowe miasto rozmiękcza te granice. I tak, przy ostatniej wizycie w gminnym dziale ewidencji ludności słyszałam, jak urzędniczka w okienku obok najpierw wyklada wszystko, co musi, po francusku, a potem już swobodnie przechodzi na swój i petentów rodzimy hiszpański.

Wielojęzyczność tutejszego świata uczy pokory. Dwa języki trzeba znać płynnie, nawet by obsługiwać kasę w warzywniej spółdzielni. Gdzie indziej przyjmująca zamówienie na zastony dwudziestoparolatka obsługuje nas po angielsku, innych klientów zaś po flamandzku i francusku, a wzdycha do siebie po arabsku. Czasem płynność, z jaką przechodzą między tymi językowymi światami, jest imponująca. Innym razem utykasz w językowym limbo, bo po flamandzku nie mówisz, po francusku kaleczysz głoski, a ktoś ostentacyjnie nie chce cię zrozumieć. Niestety, na szpitalną telefonistkę, która nie próbuje zrozumieć koślawej wymowy, nie da się złożyć skargi do Stałej Komisji Kontroli Językowej. Nie narzekam, choć płacę podatki, nie jestem u siebie, rozumiem.

©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

ŚWIAT

MIĘDZY BRAĆMI

Mówi się, że nie ma bliższych sojuszników i przyjaciół niż te dwa kraje i narody: Stany i Kanada. Skąd więc obecna „wojna północnoamerykańska”? Jej analiza może być przydatna także dla innych krajów sojusznicznych, które Trump weźmie na celownik.

MAŁGORZATA SIDZ Z EDMONTON (KANADA)



NIEZALEŻNIE OD TEGO, JAK TA HISTORIA potoczy się dalej, sobota 1 lutego 2025 r. zostanie zapamiętana na długo – przynajmniej w Kanadzie. Tego dnia Donald Trump wypowiedział północnym sąsiadom konflikt handlowy: zapowiedział wprowadzenie od 4 lutego wysokich, 25-procentowych cel na większość towarów importowanych do USA z Kanady; jedynie produkty naftowe miały zostać obłożone cłem niższym, 10-procentowym.

Cła miały obowiązywać, jak podał w komunikacie Biały Dom, do czasu rozwiązania problemu fentanylu – narkotyku, który jest jedną z przyczyn kryzysu opioidowego w Stanach, a jest tam przemycany zwłaszcza przez granicę z Meksykiem. W minimalnym zaś tylko stopniu z Kanady. Niemniej – takie było uzasadnienie administracji Trumpa.

Kanada nowym stanem?

Premier Justin Trudeau nie pozostał dłużny i zapowiedział odwetowe cła w podobnej wysokości. Potem obaj panowie rozmawiali telefonicznie, dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Trudeau obiecał uszczelnienie granicy. W ostatniej chwili Trump zdecydował, że zawiesza cła – na miesiąc.

Jeśli po tym czasie do wojny handlowej jednak dojdzie, będzie to druzgocąca wieść dla Kanady. Ekonomisci przewidują, że w takim przypadku jej PKB może

spaść o 2,5 proc., nastąpi natychmiastowa recesja, zagrożonych będzie kilkaset tysięcy miejsc pracy, może zacząć się inflacja i spadek wartości dolara kanadyjskiego. Stracą zwykli obywatele.

Może pół żartem, a może pół serio Trump rzucił przy okazji zdanie, które teraz odbija się echem po kanadyjskich przestrzeniach: że najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby, gdyby Kanada przyłączyła się do USA – jako kolejny, 51. stan. Wówczas nie byłoby żadnej głupiej granicy i wszyscy byłiby szczęśliwi.

Sympatycy na północy

Odkąd kilka lat temu Trump ogłosił, że będzie znów ubiegać się o urząd prezydenta USA, także w Kanadzie zaczęły pojawiać się tu i ówdzie oznaki sympatii dla niego. Zwłaszcza w prowincji Alberta, gdzie poparcie dla prawicy jest dziś największe i gdzie Partia Konserwatywna tworzyła lokalny rząd nieprzerwanie od roku 1971 do 2015.

Mieszkając w Albercie, obok tradycyjnych już banerów „*Fuck Trudeau!*” zaczęłam widywać więc także flagi amerykańskie i plakaty z podobizną Trumpa. A jadąc wówczas uberem, trafiłam na kierowcę pochodzącego z Pendżabu, który małymi flagami USA obwiesił swoje auto. Zapytałam, dlaczego imigrował do Kanady, skoro tak kocha Stany.

– Łatwiej dostać się do Kanady – odparł szczerze. – Przyjechałam tu jako student,

trochę popracuję, niedługo będę miał obywatelstwo. A z obywatelstwem Kanady łatwo przenieść się do USA. Dla większości moich znajomych Kanada to tylko przystanek i sposób na dostanie się do Stanów.

Wielu moich znajomych, rodzimych Kanadyjczyków, wyrażało wtedy poparcie dla Trumpa i wartości, które w ich odczuciu reprezentuje. Dla nich symbolizował walkę o bezpieczeństwo kraju, patriotyzm, ograniczenie imigracji i liberalnych tendencji w kulturze. Dla wielu był też przeciwwagą dla liberała Trudeau, przez wielu tu wręcz znienawidzonego.

Ich sympatia nie została jednak odwzajemniona. Pomysł Trumpa, by Kanada stała się częścią USA jako ich 51. stan, jest dziś dla większości z nich oburzający. Pokazuje, że Trump nie traktuje swojego największego – nie tylko gdy idzie o obszar (Kanada ma prawie 10 mln km²) – sojusznika jako równoprawnego partnera.

Trump: USA dotują Kanadę

Trump zaczął drugą kadencję, podpisując dziesiątki dekretów – wszystko pod hasłem „*America First*”. Jego administracja przyjrzała się też umowie USMCA (United States-Mexico-Canada Agreement, dawniej NAFTA), która reguluje zasady wolnego handlu w Ameryce Północnej. Cła byłyby naruszeniem reguł USMCA i zerwaniem z ideą wolnego handlu. ➔

*Nad rzeką graniczną
St. Clair między
Kanadą i Stanami
Zjednoczonymi
w Point Edward
w prowincji Ontario.
Kanada,
3 lutego 2025 r.*



→ Już w kampanii Trump zapowiadał nałożenie ceł na produkty z Kanady i Meksyku – dwa kraje, które należą (obok Chin) do ścisłej czołówki partnerów handlowych USA. Prawie trzy czwarte kanadyjskiego eksportu trafia do Stanów, a z USA pochodzi połowa importu Kanady. Statystycznie codziennie granicę przekraczają w obu kierunkach towary i usługi warte 2,5 mld dolarów amerykańskich.

Kanada ma w tej wymianie dużą nadwyżkę eksportu nad importem: w 2022 r. wynosiła ona prawie 54 mld dolarów amerykańskich. Rok później spadła wprawdzie do 41 mld, ale według wstępnych szacunków w 2024 r. miała wzrosnąć aż do 64 mld. Łącznie amerykański deficyt w obrotach handlowych z Kanadą i Meksykiem przekroczył w 2024 r. sumę 200 mld.

Ekonomiści tłumaczą ten deficyt różnicą w liczbie ludności (Stany: 330 mln, Kanada: 40 mln, Meksyk: 139 mln) i związaną z tym większą chłonnością amerykańskiego rynku. Jednak Trump widzi w tym wielką niesprawiedliwość, a amerykański deficyt w relacji z północnym sąsiadem nazywa „dotacjami dla Kanady”.

Obopólne zależności

Jaka jest prawda? Bogactwo Kanady oparte jest zwłaszcza na energetyce i ogromnych zasobach naturalnych – jest czwartym na świecie producentem ropy. Nawet do 60 proc. ropy importowanej do USA pochodzi z Kanady. To zaś 97-99 proc. całego kanadyjskiego eksportu tego surowca (ok. 3,5 mln baryłek dziennie).

Ale przecież także Stany na tym zarabiają. Z powodu ograniczonej liczby rafinerii i trudności w budowie ropociągów Kanada zmuszona jest skupować przetworzoną już ropę m.in. z USA. Jej zachodnie prowincje są tu niezależne, ale wschód kraju pokrywa rodzimą ropą najwyższej połowy swych potrzeb.

Rafinowanie kanadyjskiej ropy odbywa się w Stanach – Kanada sprzedaje zatem ropę do rafinerii w USA, aby potem kupować ją z powrotem. W ten sposób 20-30 proc. ropy sprzedawanej do Stanów trafia z powrotem do Kanady (to ponad 400 tys. baryłek dziennie).

Obok ropy Kanada eksportuje do USA auta i części do nich, maszyny przemysłowe, metale i minerały, drewno i żywność, chemię i papier, owoce morza i urządzenia elektryczne. Z ziemniaków rosnących na Wyspie Księcia Edwarda robi się frytki dla restauracji McDonalds – tak uwielbiane przez Trumpa.

Zależność działa w obie strony. Od handlu z Kanadą zależą co najmniej 2 mln miejsc pracy w USA. Wystarczyłyby tygodnie bez kanadyjskich dostaw, by branża motoryzacyjna w USA znalazła się w tarapatkach. Zresztą wiele branż w Stanach zależy od dostaw z północy.

„Fala” na granicy?

Granica między USA i Kanadą to najdłuższa lądowa granica na świecie: ciągnie się przez 8891 km. Ponad sto przejść czyni z niej też jedną z najczęściej przekraczanych. Jak również jedną z najbardziej przyjaznych: Kanada i Stany nie postrzegały się wzajem jako zagrożenie od

1815 r. Wówczas to oba kraje zawarły pokój, który kończył kilkuletnią wojnę (jej przyczyną były spory handlowe i terytorialne – rzec można, wstrząsy młodych państw).

Dziś jednak Trump mówi o niej tak, jakby Kanada zagrażała Amerykanom. Nałożenie lub zawieszenie ceł uzależnia od uszczelnienia granicy i zatrzymania, jak to ujmuję, „fali kryminalistów i narkotyków” docierającej tędy do USA. Zarzuca rządowi Kanady, że przepuszcza zbyt wielu migrantów i nie radzi sobie ze zwalczaniem przepływu półproduktów (pochodzących zwykle z Chin), które służą do produkcji fentanylu. Wini Kanadę za śmierć 300 tys. Amerykanów, którzy co roku umierają z jego przedawkowania.

W istocie szacuje się, że w Kanadzie przebywają nielegalnie ponad 4 mln ludzi (ponad 10 proc. populacji). Jednak to przede wszystkim problem Kanady – bo ogromna większość z nich tu zostaje. Tylko niecały jeden procent nielegalnych imigrantów, którzy rok w rok dostają się do USA, przybywa z północy. Także tylko jeden procent całego fentanylu, który co roku przemycany jest do USA, pochodzi z Kanady.

Tymczasem Chiny, z których sprowadzane są półprodukty do produkcji tego opioidu, Trump ukarał zaledwie 10-procentowym cłem. Jaki tu sens, pytają w Kanadzie.

Nie bliźniaki, lecz bracia

Mówi się, że nie ma dwóch narodów tak podobnych jak Amerykanie i Kanadyjczycy. Łączą ich język, historia pionie-

Nasza pomoc dla walczącej Ukrainy

Trafiły do ukraińskich obrońców, w tym także do kilkunastu szpitali polowych oraz do wojskowych służb medycznych wzdłuż całego frontu: od obwodu sumskiego przez Charków, Donbas i Zaporże po obwód chersoński – agregaty prądotwórcze, stacje zasilania i materiały medyczne podarowane przez czytelniki i czytelniczki „Tygodnika”, które zawieźliśmy w grudniu na Ukrainę. Łącznie były to trzy tony pomocy. W tym jeden potężny agregat o mocy 85 kVA, który dziś służy w obronie przeciwlotniczej we wschodniej Ukrainie (relacja o naszej akcji: powszech.net/pomoc-dla-ukrainy).

„Dziękujemy, że jesteście z nami” – to zdanie powtarzało się w rozmowach. Wraz z prośbą, aby to podziękowanie przekazać dalej. „Dziękujemy za Wasze braterstwo” – napisał starszy sanitariusz z frontu chersońskiego (jego szpital polowy otrzymał agregat). Wojna trwa, Ukraina broni się nadal – trwa więc także nasza akcja.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych:

20 1090 2590 0000 0001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywasasiedzka.org>

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

rów i migrantów z Europy, kultura i popkultura, góry i wielkie jeziora, a nawet ulubione marki na sklepowych półkach.

Jakob, który pochodzi z Alberta, ale przez 10 lat mieszkał w Kalifornii, tak porównuje oba narody: – Największa różnica to rozumienie patriotyzmu. Amerykanie są bardzo dumni z bycia Amerykanami. Kanadyjczycy kochają swój multikulturalizm, Amerykanie są bardziej rasistowscy. Miałem w Kalifornii przyjaciół z Meksyku, mówili, że odczuwają rasizm na co dzień. Amerykanie są bardziej bogobojni. Są też dumni ze swojej armii i wpływu na świat. Mówią: jesteśmy najlepszym krajem na świecie i kropka.

– Ale przede wszystkim widzę podobieństwa – dodaje Jakob. – Łączy nas naprawdę wiele. Co nie zmienia faktu, że nasza tożsamość oparta jest mocno na opozycji do tożsamości amerykańskiej: nasi południowi sąsiedzi są głośni, my jesteśmy uprzejmi i politycznie poprawni. Amerykanie rwą się do wojny, my nie siemy światu pokój. Amerykanie to zbiór indywidualności, my jesteśmy społeczeństwem.

Andrew Cohen, autor książki o tożsamości Kanadyjczyków pt. „The Unfinished Canadian” („Niedokończony Kanadyjczyk”; uchodzi ona za klasykę tutejszej politologii), pisze, że porównując się z Amerykanami, Kanadyjczycy bardzo szukają różnic, mimo dowodów na podobieństwa. Cohen uważa, że Kanadyjczycy są niepewni siebie i muszą „niszczyć Amerykanów, by podbudować samych siebie. To coś, co robisz, gdy czujesz się gorszym. (...) Nie ma znaczenia, czy różnice są niewielkie, czy wyolbrzymione, czy nawet nie istnieją. Wymyślanie i pielęgnowanie tych różnic podtrzymuje niepohamowany i niezastąpiony kanadyjski nacjonalizm. To najczystsza forma narcyzmu”.

Trudeau sięga do historii

W poniedziałek 3 lutego, na dzień przed tym, jak cła Trumpa miały wejść w życie, Kanadyjczycy odzegnawali się gremialnie od kupowania amerykańskich produktów. W sklepach spożywczych rodzime produkty eksponowano jako „*Made in Canada*” lub oznaczano liściami klonu (widnieje na flagie narodowej). Z półek sklepów monopolowych w Kolumbii Brytyjskiej, Ontario i Nowej Szkocji usunięto amerykański alkohol –



Justin Trudeau na kanadyjsko-amerykańskim szczycie w Toronto, 7 lutego 2025 r.

uczyniono tak na mocy rozporządzenia premierów tych prowincji.

Dwa dni wcześniej w orędziu do narodu Justin Trudeau prezentował się jako polityk twardy. Zapowiedział cła odwetowe, także 25-procentowe: „Cło za cło, dolar za dolar”. Dowodził, że w ostatnich latach o 89 proc. spadła liczba osób przekraczających nielegalnie granicę. Oraz że w 2024 r. jego rząd przeznaczył dodatkowe 1,3 mld dolarów na jej ochronę.

Odwołując się do historii, Trudeau przypomniał wojny, w których Kanadyjczycy oddawali życie, walcząc ramieniem z Amerykanami, a także katastrofy naturalne, w których pomagali Amerykanom. Wspomniał też 11 września 2001 r., gdy Kanadyjczycy przysięgnęli 7 tys. Amerykanów – pasażerów lotów, które skierowano po zamachach na World Trade Center i Pentagon.

Już wcześniej, na konferencji zwołanej 20 stycznia, w dniu zaprzysiężenia Trumpa – jakby ubiegając to, co się stanie – Trudeau mówił, iż Kanada jest „pewnym i niezawodnym partnerem w niepewnym świecie”. Oraz że sojusz obu krajów jest z korzyścią dla obojga.

Solidarnie wokół flagi

Także inni kanadyjscy politycy nie przebiegali w słowach, skupiając się „wokół flagi”. Doug Ford, premier prowincji Ontario i konserwatysta, groził, że Trump pożałuje swojej decyzji. Premier prowincji Kolumbia Brytyjska, centrolewicowy David Eby, nazwał cła „całkowitą zdradą” wobec zaufanego sojusznika i przyjaciela.

Z kolei Pierre Poilievre – lider Partii Konserwatywnej, który ma duże szanse, aby po zaplanowanych na ten rok wyborach objąć urząd premiera Kanady – wy-

głosił 2 lutego własne orędzie. Stwierdził w nim, że po odliczeniu ropy to jego kraj cierpi na deficyt w handlu z USA. Dodał, że Trump karze Kanadę 25-procentowym cłem, podczas gdy na Chiny nakłada 10-procentowe. „Fentanil pochodzi z Chin i zabija także naszych ludzi” – mówił.

Przy okazji Poilievre nie omieszkował skrytykować Trudeau, który na początku stycznia zapowiedział swą dymisję. Poilievre nazwał szaleństwem to, iż w takim momencie działania parlamentu są zawieszane decyzje premiera (parlament jest zawieszony do 24 marca, aż Partia Liberalna znajdzie nowego lidera na miejsce Trudeau; to taka kanadyjska specyfika).

Głos zabrał też Mark Carney, możliwy kandydat na lidera Partii Liberalów: powiedział, że Kanada nie da się zastraszyć „szkolnemu prześladowcy”, jakim są Stany, a Kanadyjczycy nie poddadzą się i wezmą odwet.

Alberta obłaskawia Trumpa

Z tego twardego frontu wyłamała się nieco Danielle Smith, prawicowa premierka wspomnianej Alberta – prowincji, której gospodarka oparta jest na ropośnych piaskach bitumicznych i ma najwięcej do stracenia. Smith podjęła samodzielnie negocjacje z Trumpem i jeszcze przed zaprzysiężeniem poleciała do jego rezydencji na Florydzie. Negocjowała do końca.

Teraz, jako jedyna z grona szefów rządów prowincji, Danielle Smith nie podpisała się pod porozumieniem o cłach odwetowych. Zamiast tego próbowała ułagodzić Trumpa propozycją utworzenia stanowiska pełnomocnika do spraw granicy.

Smith uważa, że to dzięki jej staraniom Trump opuścił cła na ropę do 10 procent. Jednak w przypadku jej wydobycia z piasków bitumicznych, które już dziś jest na granicy opłacalności, nawet zwiększenie kosztów o jedną dziesiątą może być wielkim problemem.

Pożytki z kryzysu?

Jest w tym pewien paradoks: groźby Trumpa mogą stać się impulsem, który pomoże Kanadzie uzależnić się od importu produktów ropopochodnych z USA. Podczas swoich rządów, trwających 10 lat, Trudeau stawiał na zieloną transformację i blokował rozwój branży paliw →

→ kopalnych. Teraz, bez współpracy z USA, Kanadyjczycy mogą być zmuszeni, by pociągnąć – oprotestowany przez ekoaktywistów – ropociąg z Monitoby do Quebecu.

Konserwatysta Poilievre, który należy do najostrzejszych krytyków idei realizowanych przez Justina Trudeau, widzi w obecnej sytuacji potwierdzenie dla swoich racji. Nazywa dotychczasową strategię rządu „ekonomicznym masochizmem”. Na konferencji prasowej dowodził: „Blokując budowę ropociągów i rafinerii, liberałowie zmusili Kanadyjczyków do sprzedaży prawie całej naszej energii USA, dając Trumpowi ogromną przewagę”.

Poilievre chce, aby Kanada stała się niezależną potęgą energetyczną, a także, by dzięki dostawom swojego gazu do Europy pomogła jej uniezależnić się od Rosji. Uważa też, że niezależność energetyczna, oparta na tradycyjnych surowcach, zjednoczy kraj.

Lekcja dla innych

Na razie sytuacja jest więc w zawieszeniu: wszyscy czekają, co prezydent USA uczyni na początku marca, gdy minie okres, na jaki zawiesił wprowadzenie ceł. Oraz co się stanie w międzyczasie. W Kanadzie powszechny jest pogląd, że nawet jeśli nie dojdzie do konfliktu handlowego, trzeba będzie renegocjować reguły handlu z USA. A jeśli jednak do niego dojdzie, to że raczej nie będzie tu wygranych, lecz stracą obie strony.

Media donoszą, że firmy z USA, słysząc zapowiedzi Trumpa, już od miesięcy gromadziły w magazynach kanadyjskie produkty, na zapas. Bo owszem, wyborcy Trumpa chcą silnej Ameryki, ale raczej nie za cenę jeszcze bardziej rosnących kosztów życia.

Inna sprawa, że przyglądanie się tej „wojnie północnoamerykańskiej pod flagą z liściem klonu” – i zarazem pierwszemu konfliktowi prezydenta Trumpa z, było nie było, państwem sojuszniczym – może być z pożytkiem dla innych krajów i organizacji, w tym dla Unii Europejskiej.

W końcu Trump obiecał już, że także Unię weźmie na celownik.

© MAŁGORZATA SIDZ

Tekst ukończono 5 lutego.

Strategia atomowa

MARTA ZDZIEBORSKA

Donald Trump najpierw groził Meksykowi wojną handlową, a potem dostał, czego chciał, czyli obietnicę uszczelnienia granicy USA-Meksyk. To nie pierwszy raz, gdy przypiera Meksykanów do ściany.

DWA DNI: TYLE WYSTARCZYŁO, ABY PO groźbie nałożenia 25-procentowych ceł na towary eksportowane do Stanów z Meksyku władze tego kraju ugięły się przed Trumpem. Prezydentka Claudia Sheinbaum, urzędująca od jesieni 2024 r., poinformowała 3 lutego na platformie X, że w zamian za odroczenie ceł o miesiąc wzmocni granicę USA-Meksyk.

Sheinbaum zobowiązała się wysłać tam 10 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej, by pomogli w uszczelnianiu granicy, przez którą przedostają się nielegalni imigranci i szmuglowany jest fentanyl – narkotyk będący źródłem fali uzależnień w Stanach. Pierwsi żołnierze trafili do przygranicznych meksykańskich miast już następnego dnia. Sheinbaum twierdzi, że w ramach ustaleń Amerykanie obiecali z kolei zaostrzyć walkę z przemytem broni do Meksyku, tej lądującej w rękach karteli.

To dopiero początek negocjacji. Oba kraje poświęcą najbliższy miesiąc dalszym rozmowom, w których Meksykanie zapewne zgodzą się na kolejne ustępstwa, by na stałe odsunąć perspektywę ceł – pierwotnie miały one wejść w życie 4 lutego. „To była bardzo przyjazna rozmowa” – tak Trump ocenił konwersację telefoniczną z prezydentką Meksyku, która wcześniej zapowiadała, że nałoży cła odwetowe na towary importowane ze Stanów.

STARA TAKTYKA | Nie jest to pierwszy raz, gdy Trump grozi wojną handlową, by zmusić Meksyk do ustępstw. Za jego poprzedniej kadencji, w czerwcu 2019 r. – tuż przed tym, jak Trump zamierzał zrealizować podobną groźbę – ówczesny prezydent Andrés Manuel López Obrador ogłosił, że uszczelni granicę Meksyku z Gwatemalą. To miejsce, które w drodze do Stanów muszą pokonać imigranci wędrujący z Ameryki Środkowej na północ.

Trump groził wtedy, że będzie „przydużać” Meksyk cłami do czasu, aż ten nie okiełzna sytuacji migracyjnej.

Podobnie było teraz. Ogłaszając 1 lutego wprowadzenie za trzy dni ceł na towary z Meksyku, Trump powołał się na sytuację nadzwyczajną związaną z napływem fentanyli i nielegalnych imigrantów. Jego administracja podbiła tę groźbę, oskarżając władze Meksyku o „nieakceptowalny sojusz” z gangami, które odpowiadają za przemyt narkotyków.

NA GRANICY | Trump wytoczył dziś ciężkie działa, choć pierwsze cztery miesiące urzędowania Claudii Sheinbaum pozwalają sądzić, iż będzie ona oczekiwać od swoich służb ostrzejszych działań wobec gangów niż jej poprzednik. Jeszcze przed objęciem urzędu przez Trumpa, w Meksyku przeprowadzono duże akcje konfiskaty fentanyli, co swoją drogą miało zapewne zmiekczyć prezydenta-elektę.

Jednocześnie kryzys opioidowy w USA ostatnio nieco zelżał. Według danych amerykańskich Centrów Kontroli i Prewencji Chorób, w ciągu półtora roku liczba zgonów wynikających z przedawkowania fentanyli spadła o jedną piątą.

Na granicy wyhamował też napływ nielegalnych imigrantów, co jest związane z restrykcjami azylowymi, które wprowadziła jeszcze administracja Bidena. Według doniesień „New York Timesa” liczba przekroczeń granicy jest najniższa od 2020 r. – choć faktem jest, że przez większość pierwszej kadencji Trumpa skala migracji była jeszcze mniejsza.

DWIE PIECZENIE | Gdyby Stany wprowadziły cła, dla meksykańskich firm byłby to naprawdę duży cios. Południowy sąsiad należy bowiem, obok Chin i Kanady, do największych partnerów handlowych USA.



DANIEL BECERRIL / REUTERS / FORUM

Ciężarówki czekające w kolejce do przekroczenia granicy ze Stanami Zjednoczonymi w pobliżu kontroli celnej na moście World Trade Bridge w Nuevo Laredo w Meksyku, 26 listopada 2024 r.

Pozycja lidera w gronie tych trzech państw zmieniała się w ostatnich latach, a obecnie to Meksyk jest na miejscu pierwszym. Według najświeższych danych podanych przez „New York Timesa”, w 2024 r. wartość eksportu z Meksyku do USA wyniosła prawie 506 mld dolarów. Wprawdzie wymiana handlowa USA-UE jest większa, ale tylko gdyby traktować Unię jako całość (bo już eksport z samych tylko Niemiec do USA był w 2024 r. ponad trzy razy mniejszy niż ten z Meksyku).

Groząc Meksykowi, Trump upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Nie tylko zaserwował sąsiadowi i światu pokaz siły, ale sygnalizuje, że jest gotów realizować obietnicę wyborczą (podczas kampanii przekonywał, iż nałożenie cel ożywi przemysł w USA, ochroni miejsca pracy i zwiększy wpływy do budżetu).

Trump wielokrotnie krytykował ujemny bilans w handlu USA z Meksykiem, który na przestrzeni ostatnich lat się pogłębia. Podczas gdy w 2019 r. wynosił on 106 mld dolarów, to cztery lata później było to już 161 mld. Dzieje się tak po części dlatego, że skutek trwającego od jakiegoś czasu konfliktu handlowego na linii Waszyngton-Pekin to Meksyk stał się eksporterem wielu towarów do USA, które wcześniej dostarczały Chiny – jak meble, laptopy, tekstylia i obuwie.

Z drugiej strony, w 2024 r. Meksyk był największym rynkiem zbytu dla amery-

kańskich towarów spożywczo-rolnych, m.in. kukurydzy, soi i wieprzowiny.

CHWILOWA ULGA | Odroczenie cel o miesiąc – z perspektywą, że w ogóle nie wejdą w życie, jeśli Meksyk pójdzie na dalsze ustępstwa – przyniosło ulgę po obu stronach granicy.

Ekonomiści ostrzegali, że wojna handlowa mogłaby doprowadzić w Meksyku do zamykania fabryk, utraty wielu miejsc pracy, a nawet recesji. Z kolei Stany szkowały się na wzrost cen niektórych produktów. W tym aut, gdyż wiele amerykańskich firm ma zakłady w Meksyku i Kanadzie.

Szacuje się, że ok. 40 proc. aut produkowanych w Ameryce Północnej przez General Motors, Stellantis, Toyotę czy Hondę „wychodzi” z fabryk w tych dwóch krajach. Jak ocenia cytowany przez „New York Timesa” Patrick Anderson z firmy konsultingowej w Michigan, w razie nałożenia cel koszt produkcji każdej ciężarówki eksportowanej stamtąd do USA wzrósłby o co najmniej 10 tys. dolarów.

Jeszcze 2 lutego Trump ostrzegał Amerykanów, że mogą odczuć „pewien ból” związany z cłami. Dzień później triumfował, że zmusił Meksyk do ustępstw. Podobnie jak inne kraje zachodniej półkuli: Kanadę i Kolumbię. Ta ostatnia w obliczu groźby wprowadzenia cel zgodziła się przyjmować deportowanych z USA imigrantów, swoich obywateli.

ZOSTAĆ W MEKSYKU | Kwestie migracyjne będą teraz jednym z głównych tematów rozmów między USA a Meksykiem. Trump potrzebuje południowego sąsiada, by wrócić do realizacji „Remain in Mexico” – swego sztandarowego programu z pierwszej kadencji. Zakłada on, że osoby starające się o azyl w USA mają czekać na rozstrzygnięcie procedury po meksykańskiej stronie granicy.

Inna kwestia to przyjmowanie deportowanych z USA migrantów, którzy nie są obywatelami Meksyku. To zresztą już się dzieje. Na konferencji prasowej pod koniec stycznia Claudia Sheinbaum przekazała, że w ciągu pierwszego tygodnia rządów Trumpa do Meksyku deportowano ponad 4 tys. osób – głównie Meksykanów, ale też obywateli innych krajów.

W tej kwestii Meksyk szedł już niekiedy Amerykanom na rękę. Na początku 2023 r. poprzednik Sheinbaum zgodził się, by miesięcznie przyjmować do 30 tys. obywateli Kuby, Nikaragui, Haiti i Wenezueli, którzy nielegalnie przekroczyli granicę USA. W dobie kryzysu migracyjnego administracja Bidena naciskała też na Meksyk, by przyspieszył deportacje imigrantów do ich krajów pochodzenia.

NA SZLAKU | Choć Trump wielokrotnie zarzucał Meksykanom, że nie radzą sobie z uszczelnianiem granicy, w rzeczywistości w ostatnich latach znacząco się w tym poprawili. Na szlaku migracyjnym z południa na północ Meksyku normą są dziś posterunki. Organizacja Human Rights Watch twierdzi, że szukając nielegalnych imigrantów meksykańskie służby robią inspekcje w autobusach, przeszukują hotele i zatrzymują ludzi na lotniskach. Władze Meksyku bardziej stanowczo niż za pierwszej kadencji Trumpa występują też wobec zjawiska tzw. karawan: migrantów, którzy zmierzają pieszo ku granicy z USA.

Po zmianie władzy w Białym Domu jedno się nie zmieniło: podobnie jak Biden, Trump – choć w swoim stylu, konfrontacyjnie – naciska na Meksyk, by pomógł Stanom w zduszeniu napływu imigrantów i przemytu fentanyle. Nowy prezydent zapewne wykorzysta groźbę cel, by w najbliższych tygodniach ugrać jeszcze więcej. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Wyprawa poza własną bańkę

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Kampanię wyborczą za Odrą zdominował temat imigracji. Hasnain Kazim, niemiecki publicysta pochodzenia pakistańskiego, mówi „Tygodnikowi” o społecznych lękach, błędach polityków i o tym, co lubi we własnym kraju.

ŁUKASZ GRAJEWSKI: Na potrzeby ostatnio wydanej książki „Deutschlandtour” przejechał Pan Niemcy wzdłuż i wszerz, wykręcił na rowerze ponad 3 tys. kilometrów. Jaki zakątek poleca Pan odwiedzić?

HASNAIN KAZIM: Po raz pierwszyjechałem wzdłuż Zalewu Szczecińskiego i dalej na południe wzdłuż granicy z Polską. Tamtejsza przyroda jest niesamowicie piękna. Po powodzi w latach 90. nie wszystkie tereny zostały zrekultywowane. Wiele pól, które kiedyś były wykorzystywane w rolnictwie, teraz znajdują się pod wodą. Różnorodność ptaków i roślin jest tam imponująca.

Oczywiście polecam również Ren. To najbardziej „niemiecka” ze wszystkich rzek, szczególnie na zachodzie kraju. To teren przepełniony historią i kulturą. Nadreńskie widoki co rusz pojawiają się w niemieckiej literaturze i malarstwie, jak choćby skała Loreley (120-metrowy uskok skalny nad brzegiem Renu, owiany legendami m.in. o mającym znajdować się tam skarbie Nibelungów – red.).

Takie rowerowe wędrówki na pewno wzmagają apetyt. Co warto spróbować, podróżując po Niemczech?

Tam, skąd pochodzę, na północy, zjadamy się daniami z jarmuzem. Tylko nie wiem, czy one się nadają na wycieczkę rowerową, gdyż zwykle są ciężkie i sycące. Jednak to źródło końskiej dawki energii. Poza tym zasmakowałem w kuchni saksońskiej. Kilukrotnie robiłem sobie przerwę na popularny w tym regionie deser *Eierschecke*, ich rodzaj sernika.

Próbowałem też *Saumagen* w Palatynie. To było ulubione danie kanclerza Hel-

muta Kohla. Na początku nazwa wydała mi się nieapetyczna (w dosłownym tłumaczeniu: żołądek wieprzowy – red.). Ale smakuje fantastycznie. Oczywiście nie polecam wegetarianom i weganom, ale reszta powinna koniecznie spróbować.

A „talerz taksówkarza”? Dla wielu Polaków Niemcy kojarzą się z kulturą wysoką, muzyką klasyczną, poezją. A tu coś takiego.

Ależ „talerz taksówkarza” to jak najbardziej część niemieckiej kultury wysokiej!

To danie popularne zwłaszcza w Zagłębiu Ruhry, z czego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Podczas podróży pytałem o lokalne specjały i polecono mi właśnie to: talerz z frytkami, kiełbaską w curry i gyrosem. Zacząłem dociekać, jak doszło do tej niezwyklej kombinacji. Popytałem i usłyszałem legendę o pewnym taksówkarzu. Zgłodniał i zachciało mu się gyrosu. Ale właścicielowi budki z jedzeniem kończył się gyros, więc dorzucił kiełbaskę w curry i frytki.

To proste danie dużo mówi o niemieckiej różnorodności. *Currywurst* to typowo niemiecka przekąska, choć przyprawa pochodzi z Azji Południowej. Gyros jest grecki, a frytki są z ziemniaków, które dotarły do Europy z Ameryki, a które obecnie wielu utożsamia z kuchnią niemiecką.

Niemieckie regiony różnią się nie tylko pod względem jedzenia. Wspomniał Pan, że pochodzi z północy, o której często mówi się, że ciągle tam pada, a ludzie są zdystansowani i mało mówni. Odczuwał Pan różnice, podróżując po innych regionach?

Zaskoczyło mnie, jak wiele stereotypów na temat różnych regionów znaj-

HASNAIN KAZIM (ur. 1974) jest niemieckim dziennikarzem pochodzenia pakistańskiego. Autor popularnych książek, w których przygląda się niemieckiemu społeczeństwu wielokulturowemu. W wydanej w 2024 r. książce „Deutschlandtour” opisuje miejsca i ludzi, których napotkał, podróżując po kraju rowerem. Na zdjęciu w Berlinie, lipiec 2023 r.



duje potwierdzenie w rzeczywistości. Przykładowo o mieszkańcach Nadrenii mówi się, że są weseli, gadatliwi i natychmiast zapraszają nawet obcych ludzi na kieliszek wina. I faktycznie, tam rozmawiało mi się najłatwiej. Albo że Bawarczycy lub mieszkańcy Badenii-Wirtembergii są znani z pracowitości. Te stereotypy potwierdzały się w trakcie mojej podróży.

Zaskoczyć może też różnorodność językowa. Na północy ludzie wciąż mówią w *Plattdeutsch* (język dolnoniemiecki – red.), a w Lesie Bawarskim z kolei to ja potrzebuję tłumacza.

Część Pana podróży prowadziła przez wschód Niemiec. O różnicach między wschodem a zachodem wciąż dużo się mówi i pisze. Jak wygląda to z Pana perspektywy?

Różnica między wschodnimi i zachodnimi Niemcami jest nadal bardzo zauważalna, choć od zjednoczenia minęło już prawie 35 lat. Największe różnice dostrzegam w mentalności. W Niemczech wschodnich część mieszkańców nadal uważa się za obywateli drugiej kategorii. Co gorsze, to poczucie jest przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Miałem 16 lat, gdy doszło do zjednoczenia kraju. Wtedy mówiono, że będą musiały minąć dwa lub trzy pokolenia, aby różnice się zatarły. Lecz ten czas po części już upłynął, a różnice wciąż istnieją.

Lejtmotywnym prowadzonych przez Pana rozmów, które przywołuje Pan w książce, jest migracja. To było Pana założenie, czy ludzie sami schodzili na ten temat?

Nie miałem żadnego ogólnego planu. Z drugiej strony zadawałem sobie pytanie, do jakiego stopnia ten temat będzie obecny. Sam pochodzę z rodziny migrantów. Moi rodzice pochodzą z Pakistanu i Indii, przyjechali do Niemiec na przełomie lat 60. i 70. XX w. Urodziłem się już w Niemczech, w 1974 r. Dlatego temat migracji odgrywa ważną rolę w moim życiu.

Czasem mam nawet wrażenie, że ten temat mi notorycznie towarzyszy. Również dlatego, że moje korzenie można łatwo rozpoznać po kolorze skóry i nazwisku. Ludzie często pytają: „Skąd jesteś?”. Kiedy odpowiadam, że pochodzę z północnych Niemiec, dopytują: „Tak, ale skąd naprawdę jesteś?”.

Mężczy to Pana?

Szczerze mówiąc, nie mam problemu z tym pytaniem. Choć to zawsze kwestia tego, kto i w jaki sposób je zadaje. Dla mnie to jednak przede wszystkim okazanie zainteresowania.

Czy podejście do migracji zmieniło się po 2015 r., gdy kanclerz Angela Merkel zdecydowała się wpuścić do kraju uchodźców i imigrantów z wielu krajów, zwłaszcza z Syrii, Afganistanu i krajów Afryki Północnej?

Na początku panowała euforia. „Damy radę” – podkreślała Merkel. Osobiście zawsze byłem zwolennikiem kosmopolityzmu i tolerancji. Tylko że popełniono szereg politycznych błędów i teraz trzeba się do tego przyznać. Zwykły człowiek czuje się zagrożony przez napastliwe grupki, wojny gangów i inne problemy mające źródło w imigracji. Temu poczuciu zagrożenia trzeba jakoś zaradzić, a politycy tego nie robią. Niestety za te kwestie zabierają się prawicowi populiści i pewnie dzięki temu też odnoszą sukcesy.

Wiele osób spotykanych podczas podróży – i to nie tylko na wschodzie Niemiec – narzekało, że politycy i media prowadzą dyskusje w bardzo akademicki sposób. Patrzą na sprawy z wielkomięskiej perspektywy Berlina. „Zapominasz, że większość niemieckiej populacji nie ma wyższego wykształcenia i mieszka w małych miastach lub na wsi” – usłyszałem od jednego z rozmówców. „Zapominacie o tym i później wszystko, o czym mówicie i piszecie, dzieje się ponad naszymi głowami”. To poczucie jest bardzo powszechne.

Przeprowadził Pan setki rozmów, ale tylko jedna osoba powiedziała Panu wprost, że nie jest Pan Niemcem, tylko Pakistańczykiem. Nie był to żaden neonazista ani członek AfD, tylko mieszkaniiec Zagłębia Ruhry pochodzący z Turcji.

Tak, i to nie jest odosobniony przypadek. Ten człowiek, Ömer, postrzega siebie jako Turka, mimo że mieszka w Niemczech. Ba, nawet się tu urodził, co nie zmienia faktu, że czuje silną więź z Turcją. Można to zauważyć u wielu osób pochodzących z Turcji, nawet w drugim lub trzecim pokoleniu. Urodzili się i dorastali tutaj, ale dalej pamiętają →



PETER RIGAUD / PENGUIN RANDOM HOUSE / MATERIAŁ PRASOWY

→ o korzeniach przodków, są dumni z Turcji i mówią głównie po turecku.

Język to część tożsamości. Ludzie mówią w Niemczech po arabsku, rosyjsku lub polsku. Myślę, że to świetne. Ale ciekawe jest to, jak turecki patriotyzm – choć może lepiej mówić tu już o nacjonalizmie – rozprzestrzeni się w Niemczech i Austrii.

Wiele rozmów z nimi sugeruje, że ci ludzie wciąż nie czują się tutaj „u siebie”. Bo choć są drugim lub trzecim pokoleniem, nadal są traktowani jak obcy. I wtedy pojawia się ktoś taki jak prezydent Turcji Recep Erdoğan, który mówi im: „Bądźcie dumni z tego, że jesteście Turkami!”.

Czy na to poczucie wyobcowania ma wpływ także wyznawana inna religia?

Tak, to ma duże znaczenie. Sam mam islamskie korzenie, rodziny obojga moich rodziców są szyitami. Oboje rodzice przeszli na chrześcijaństwo. To delikatna kwestia. Mieszkali w bardzo protestanckiej wiosce w północnych Niemczech. Dorastałem więc jako protestant, zostałem ochrzczony i bierzmowany. Jako dziecko w szopkach bożonarodzeniowych zawsze grałem rolę jednego z trzech króli, tego „ciemnoskórego”. Dziś jestem bezwyznaniowy. Niektórzy niemieccy muzułmanie, zwłaszcza Turcy, często pytają mnie: „Jak możesz nie być muzułmaninem? Jak możesz zdradzać własną religię?”.

Nie mam żadnego problemu z ludźmi religijnymi. Problem pojawia się, gdy religia zaczyna służyć do dzielenia ludzi na „Niemców”, „Almanów” (pogardliwy zwrot używany przez imigrantów wobec rdzennych Niemców – red.) czy „chrześcijan”. Jeśli ktoś chce chodzić do meczetu, to ma do tego pełne prawo. Jeśli ktoś mówi, że nie chce mieć już nic wspólnego z islamem i chce być chrześcijaninem, to jego wybór powinien być szanowany. Niestety często te różnice są wykorzystywane do tworzenia konfliktów.

Pisze Pan, że lubi swój kraj. Zwłaszcza w lewicowych kręgach słyszę często stwierdzenia typu: „Mam gdzieś Niemcy”. Jak imigranci mają się identyfikować z tym krajem, skoro sporo Niemców ma problem z własną tożsamością narodową?

Nie wiem, jak jest w innych krajach... Choć w sumie, gdyby się nad tym zastano-

Obawy ludzi dotyczące migracji trzeba traktować serio. Wolę, by zmiany wprowadziła tu chadecja, w sposób zgodny z prawem, **niz żeby AfD doszła do władzy.**

wić, to może mieć pan rację. Przykładowo w Pakistanie, który z racji rodzinnych korzeni dobrze znam, nikt nie wpadłby na to, żeby powiedzieć, że ma gdzieś własny kraj. Każdy jest w jakiś sposób dumny ze swojego kraju. A przecież w Pakistanie obiektywnie nie ma zbyt wielu powodów do dumy – jest wiele obszarów, które nie działają. Lecz mimo to ludzie są dumni i to ich w jakiś sposób jednoczy.

Uważam jednak, że w tym względzie każdy musi sam podejmować decyzje. Nie można nikomu mówić, co ma czuć do swojego kraju i rodaków. Szkoda jednak, że tak wielu Niemców nie docenia, jak dobrze nam się tutaj żyje. Demokracja to nie jest na całym świecie rzecz oczywista, wolność słowa i mediów również. Zapisy w ustawie zasadniczej to także nie jest oczywistość, podobnie jak nasza jakość życia i pokój. Nie sądzę, aby дума była właściwym słowem, ale na pewno możemy uważać się za szczęściarzy.

Z drugiej strony widzę, jak niebezpieczne jest to całe gadanie w wykonaniu polityków AfD, a teraz też Elona Muska, o „byciu dumnym”, o zerwaniu z historią, odejściu od „kultu winy”. Sam nie odczuwam osobistej winy. W czasie II wojny światowej mojej rodziny nie było jeszcze w Niemczech. Generalnie nie obarczałbym dziś winą nikogo z mojego pokolenia lub pokolenia moich rodziców.

Tu nie chodzi o indywidualną winę. Ale to, co łączy nas wszystkich, w tym także mnie z moimi imigranckimi korzeniami, to odpowiedzialność za to, by coś takiego się nie powtórzyło. Myślę, że taką odpowiedzialność ponosimy, gdy uczymy się historii, ale i gdy widzimy, do czego zdolni są ludzie. Powłoka cywilizacji jest cienka.

23 lutego w Niemczech są wybory parlamentarne. Populistyczna i anty-

migracyjna Alternatywa dla Niemiec może liczyć na ponad 20 proc. głosów. Uważa Pan, że ta partia zagraża niemieckiej demokracji?

Odrzucam tę partię z powodu jej ekstremizmu. Gdyby AfD ograniczyła się do prawicowych postulatów, ale jednocześnie trzymała się demokratycznych ram, to nie miałbym nic przeciwko. Jednak sposób, w jaki rozpowszechnia swoją ideologię, jest nie do przyjęcia. Mogę godzinami cytować polityków AfD, którym zdarzało się nazywać cudzoziemców „paszarytami”, których „należy rozstrzelać i zalać wapnem”. Dodajmy do tego rewizjonizm historyczny i w jakimś stopniu identytryzm głoszący wyższość białej rasy. To wszystko czyni tę partię nieakceptowalną.

Czy zatem słusznie postępuje prowadząca w sondażach chadecja CDU/CSU, która stara się przejmować antymigracyjne postulaty z rąk AfD, argumentując, że jeśli porządku nie zrobią ugrupowania demokratyczne, to sprawą zajmą się w końcu radykałowie?

Z grubsza uważam takie podejście CDU/CSU za słuszne. Ludzkie obawy trzeba w końcu potraktować na serio. Osiągnę wolę, żeby zmiany w tym obszarze w sposób zgodny z prawem przeprowadziła chadecja, niż żeby AfD w końcu doszła do władzy. Trudno mi sobie wyobrazić, co wtedy mogłoby się dziać.

Jaką główną naukę wyciągnął Pan ze swoich podróży, taką, która mogłaby się przydać Niemcom w tym gorącym okresie kampanii wyborczej?

Nauczyłem się, że warto rozmawiać z ludźmi, którzy niekoniecznie należą do mojego środowiska, którzy nie są z mojej „bańki”. Warto być ciekawym różnych ludzi z różnych miejsc, ze wsi i miast, po prostu szukać dialogu z ludźmi, którzy myślą zupełnie inaczej niż ja.

Warto też trochę docisnąć ludzi, gdy wygadują dziwne rzeczy, zarówno na prawicy, jak i na lewicy, choć to dotyczy także fanatyków religijnych. Trochę odczekać i dopytać: „Co chcesz przez to powiedzieć? Wy tłumacz mi to jeszcze raz innymi słowami”. Przy kolejnej próbie często ludzie się miarkują, nie są już tacy bojowi i zaczynają mówić z sensem.

© Rozmawiał ŁUKASZ GRAJEWSKI



Platforma
Słoneczna
w Almerii

Gdzie słońce spędza zimę

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISPANII

Hiszpania należy do najbardziej gorących miejsc na świecie. Na kilkaset stacjach można tu już tankować całkowicie odnawialne paliwo, a wkrótce kraj odejdzie od węgla. Zielona transformacja trwa, choć towarzyszą jej spory – w tym o przyszłość atomu.

BYŁO ICH BLISKO 10 TYSIĘCY. „TAK DLA Almaraz, tak dla przyszłości” – krzyczeli protestujący, z głównego placu miasteczka maszerując pod miejscową elektrownię jądrową. Takiego zgromadzenia półtoratysięczne Almaraz chyba nigdy nie widziało.

Przyszli w obronie elektrowni, która zatrudnia 3 tys. ludzi z okolicy, a w ciągu najbliższych trzech lat ma zostać zamknięta. „To oznacza wyludnienie okolicznych miejscowości, a w efekcie katastrofę” – mówił na demonstracji Fernando Sánchez Castilla, przewodniczący platformy „Tak dla Almaraz, tak dla przyszłości” i burmistrz pobliskiego miasteczka Belvis.

Protest ponad podziałami

Wśród manifestantów można było dostrzec różne barwy polityczne: od sympatyków centrolewicowej Partii Socjalistycznej (PSOE), przez zwolenników konserwatywnej Partii Ludowej (PP), aż po tych utożsamiających się ze skrajnie prawicową Vox.

Choć decyzję o zamknięciu elektrowni popierała ówczesna minister ds. transfor-

macji ekologicznej Teresa Ribera z PSOE (dziś wiceszefowa UE, gdzie odpowiada m.in. za transformację energetyczną), to dziś lewicowy rząd w Madrycie utrzymuje, iż to firmy energetyczne same chcą zamknięcia elektrowni jądrowych. Przyczyną takiego ich stanowiska miałyby być konieczność znacznych inwestycji, by spełnić wymogi bezpieczeństwa, które Unia Europejska nałożyła po katastrofie w Fukusimie. Z tego względu energetycy giganci mieliby preferować inwestycje w odnawialne źródła energii.

Elektrownia jądrowa w Almaraz pracuje od 1981 r. i zapewnia 7 proc. zapotrzebowania Hiszpanii w prąd. To jedna z pięciu hiszpańskich elektrowni atomowych, ale pierwsza na liście do zamknięcia.

Bez węgla i atomu

Choć Unia uznaje dziś atom za zielone źródło energii i chociaż w wielu krajach Europy otwiera się nowe elektrownie jądrowe lub planuje budowę kolejnych, Hiszpania ob staje przy zamknięciu swoich siłowni w ciągu 10 lat, aby w zamian postawić na energię z wiatru i słońca.

We wrześniu 2024 r. rząd w Madrycie wysłał do Brukseli aktualizację swojego planu klimatycznego. Zobowiązuje się w nim, że do 2030 r. odnawialne źródła będą stanowiły ponad 81 proc. jego miksu energetycznego (o 7 punktów procentowych więcej niż w poprzednim planie). Ponadto liczba aut elektrycznych ma zwiększyć się do 5,5 miliona.

Według tego planu kraj do końca 2026 r. ma całkowicie odejść od węgla, a do 2035 r. rozpisano projekt stopniowego zamykania elektrowni jądrowych.

Kto za, kto przeciw, kto pomiędzy

Jak pokazuje protest w Almaraz, nie jest to jednak perspektywa, którą wszyscy podzielają.

Skrajnie prawicowa Vox neguje w ogóle zmiany klimatu i uważa, że Hiszpania nie potrzebuje ani planu klimatycznego, ani transformacji. Z kolei Partia Ludowa, główna siła opozycyjna w parlamencie w Madrycie, opowiada się za wolniejszą transformacją z uwagi na interes przedsiębiorców. Konserwatyści sprzeciwiają się zamknięciu elektrowni nuklearnych; chcieliby też szybszego rozwoju biopaliw.

Natomiast jeszcze bardziej ambitnego planu klimatycznego chcą politycy dwóch formacji lewicy, Sumar i Podemos (sytuują się one „na lewo” od socjalistów). Opowiadają się nawet za likwidacją połączeń lotniczych na krótkich dystansach; ich zdaniem można je zastąpić połączeniami kolejowymi.

Jak wynika z badań prowadzonych przez Europejski Bank Inwestycyjny →

→ w sierpniu 2024 r., aż 95 proc. Hiszpanów popiera działania mające na celu dostosowanie się do zmian klimatu – to jeden z najwyższych wyników wśród państw Unii. Aż 89 proc. przyznało też, że doświadczyło przynajmniej jednego ekstremalnego zjawiska pogodowego (jak pożaru, powodzi, suszy czy upałów).

Z każdym rokiem cieplej

Spór o energetykę jądrową ma miejsce w szczególnym dla kraju momencie.

W ostatnim czasie na Półwyspie Iberyjskim regularnie dochodzi do intensywnych opadów i lokalnych powodzi, zwłaszcza w Andaluzji. Średnia roczna temperatura to już 15 stopni w Hiszpanii kontynentalnej i prawie 20 stopni na Wyspach Kanaryjskich – to wzrost o ponad jeden stopień w ciągu 30 lat. Z każdym rokiem coraz dotkliwsze stają się fale upałów; minionego lata w Walencji 40-stopniowy gorąc utrzymywał się przez ponad 50 dni.

W 2024 r. rekordowe opady skumulowały się pod koniec października w rejonie Walencji. Mijają więc trzy miesiące, odkąd tzw. DANA uderzyła w południowo-wschodnią Hiszpanię. Burze, intensywny deszcz (gdzieś spadło prawie 500 mm w ciągu ośmiu godzin), któremu towarzyszyły gradobicia, doprowadziły do powodzi, a w efekcie do śmierci ponad 220 osób. Zniszczonych zostało 500 km dróg i 20 km linii kolejowych.

DANA to termin używany przez meteorologów na określenie zjawiska, gdy masa polarnego powietrza zderza się z powietrzem ciepłym i wilgotnym znad Morza Śródziemnego. Zjawisko to występuje zwykle późnym latem, gdy temperatura morza jest najwyższa.

Teraz wystąpiło jesienią – i choć samo w sobie nie jest niezwykle, to w 2024 r. zaskoczyła jego intensywność. Zawiódł też czynnik ludzki: alarmy nie dotarły na czas zwłaszcza do mieszkańców Walencji, najbardziej dotkniętych przez powódź.

Fizyka ma głós

Carmen Álvarez Castro, fizyczka z Uniwersytetu w Sewilli, jest współautorką raportu wydanego przez ClimaMeter, który analizuje to zjawisko. Naukowcy prześledzili dane meteorologiczne z ostatnich 40 lat, tj. od kiedy mierzy się je z większą dokładnością dzięki satelitom.

– DANA występuje na Półwyspie Iberyjskim od zawsze i to się nie zmienia. Wiemy to, bo porównujemy ciśnienie atmosferyczne, temperaturę, opady deszczu i prędkość wiatru. Tym razem też szukaliśmy podobieństw i przeanalizowaliśmy 20 podobnych zjawisk w przeszłości. W naszym raporcie wykazaliśmy, że podczas ostatniej DANA-y było 15 proc. więcej opadów niż zwykle, a temperatura była wyższa o cztery stopnie – mówi Carmen Álvarez Castro w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Castro uważa, że to zmiany klimatu i wyjątkowo wysoka temperatura przyczyniły się do skali katastrofy z minionej jesieni: – To nie przypadek, lecz efekt działalności człowieka. Musimy przestać zależeć od paliw kopalnych, zmniejszyć emisję dwutlenku węgla. Trzeba przygotować się też na podobne zjawiska w przyszłości: budować nowe tamy i zbiorniki, zalesić tereny, a także, co najtrudniejsze, przesiedlić ludzi z terenów zalewowych.

Sześćset stacji

Konieczność zmian zaczynają dostrzegać też hiszpańskie firmy. I tak, koncern

Repsol, który zajmuje się przetwórstwem ropy i gazu, od roku stawia też na nowe, ekologiczne rozwiązania. W rafinerii w Escombreras wytwarza pierwszy na Półwyspie Iberyjskim w stu procentach odnawialny diesel. Paliwo nie jest jeszcze powszechnie dostępne, lecz jedynie w sześciuset stacjach – w rejonie Murcji, Alicante i Kartageny.

To tam, na jednej ze stacji, pytam, jak na nowe paliwo reagują klienci. – Początkowo są nieufni. Od lat tankują to samo paliwo i albo nie widzą sensu zmiany, albo się jej boją. Dopiero gdy mówimy, że jeśli mają aplikację, mogą zaoszczędzić 30 eurocentów na litrze, pojawia się zainteresowanie. Cena jest decydującym czynnikiem – mówi mi Juan José Sánchez, szef stacji paliw Repsol w Kartagenie.

W grupie zagranicznych korespondentów odwiedzamy rafinerię Repsol w Kartagenie, która powstała 75 lat temu. W ostatnich latach jeden z jej oddziałów przekształcono w miejsce produkcji paliw odnawialnych, nie tylko samochodowych, ale też lotniczego.

Proporcje zmieniają się w zależności od potrzeb rynku. Obecnie 80 proc. produkcji to odnawialny diesel dla samochodów, a 20 proc. to paliwo dla lotnictwa (ma ono zredukować emisję CO₂ nawet o 80 proc.). Wśród linii lotniczych, które korzystają z tego paliwa, są Iberia i Ryanair; jest to podyktowane m.in. wymogami stawianymi przez Unię.

Jak znaleźć zużyty olej

Antonio Maestra Gómez, dyrektor rafinerii Repsol w Kartagenie, pokazuje nam trzy słoiki: dwa z przezroczystymi cieczami (to paliwa odnawialne) i trzeci ze zużytym olejem roślinnym. To głów-

Rafineria Repsol w Kartagenie



nie z niego produkuje się odnawialne paliwo.

Na kilkuset stacjach w kraju są już specjalne stanowiska, gdzie można zostawić zużyty w kuchni olej. Za każdy litr oddający dostaje 30 eurocentów do wydania w aplikacji. Na razie kampanie informujące prowadzone są tylko w części kraju, zwłaszcza w Kastylii-La Manchy, Madrycie i Murcji.

W produkcji odnawialnego diesla znalezienie zużytego oleju gastronomicznego jest wyzwaniem i w efekcie tylko kilka procent materiału pochodzi od gospodarstw domowych.

– Wiem, że to wciąż kropla w morzu potrzeb, ale dobry początek. Większość odpadów do przetworzenia dostajemy od hoteli i restauracji, które muszą rozliczać się z ich utylizacji – mówi Antonio Maestra Gómez.

Szefostwo rafinerii uważa, że aby zwiększyć produkcję odnawialnych paliw, potrzebna jest edukacja społeczeństwa, a także przychylność władz. – Musimy zmienić myślenie, i to nie tylko klientów stacji paliw, ale też władz. Jaki sens mają strefy czystości w Madrycie, gdy ktoś tankuje benzynę, ma samochód z etykietą B i może wjechać do centrum Madrytu, a ci, którzy tankują w stu procentach odnawialnego diesla, nie mogą wjechać do centrum miasta, bo mają etykietę C? To powinno się zmienić – mówi Gómez.

Pustynna platforma

Hiszpania stawia też na energię słoneczną. Jestem w pobliżu pustyni Tabernas – to jedno z najbardziej nasłonecznionych miejsc w Europie.

Hiszpańskie powiedzenie mówi, że „słońce spędza tu zimę”. W Almerii jest bowiem około 320 słonecznych dni w roku – to dlatego w latach 80. XX w. tutaj właśnie powstało centrum do badań nad energią słoneczną.

Prof. Julián Blanco Galvez jest dyrektorem Platformy Słonecznej, jak nazywa się ten ośrodek.

– W 1973 r. za sprawą wojny na Bliskim Wschodzie doszło do globalnego kryzysu naftowego. W odpowiedzi na ten kryzys powstała Międzynarodowa Agencja Energetyczna i zaczęto szukać miejsca do stworzenia platformy słonecznej. W tamtych czasach w okolicy powstawało już obserwatorium astronomiczne. Stwierdzono, że skoro to miejsce jest dobre do obserwacji



Antonio Maestra Gómez, dyrektor rafinerii Repsol w Kartagenie, pokazuje trzy słoiki: dwa z przezroczystymi cieczami (to paliwa odnawialne) i trzeci ze zużyтым olejem roślinnym.

gwiazd nocą, to będzie nadawać się także do wykorzystywania promieni słonecznych w ciągu dnia – mówi Galvez, gdy oprowadza mnie po instytucji.

Ośrodek jest tak duży, że między jego poszczególnymi elementami trzeba poruszać się autem lub rowerem. Technologia, nad którą pracują tu naukowcy, w przyszłości mogłaby produkować prąd także w dni, gdy słońce jest skryte za chmurami.

Obecnie, jak mówi Galvez, już prawie wszystkie komercyjne instalacje słoneczne tworzy się z połączenia fotowoltaiki i energii termicznej. W ten sposób można produkować energię zarówno w ciągu dnia, jak też w nocy.

Skąd wziąć więcej wody

Dla Almerii, położonej w południowej Hiszpanii, słońce jest błogosławieństwem, ale też przekleństwem. Każdego roku region ten doświadcza suszy. Jest tu ogromny deficyt wody, a zmiany klimatu z każdym rokiem są bardziej widoczne. Woda, którą mam w kranie, niemal w całości pochodzi ze stacji odsalania wody.

Cała technologia polega na podgrzewaniu wody i przekazywaniu ciepła do wody morskiej. – Odsalanie staje się coraz popularniejsze na świecie, bo rośnie zapotrzebowanie na wodę pitną. Wzrasta populacja, intensywne rolnictwo, a zasoby wody pitnej są ograniczone. Tymczasem prawie 98 proc. wody na naszej planecie to woda słona – mówi mi prof. Guillermo Zaragoza, kierownik jednego z wydziałów Platformy Słonecznej.

W wydziale Zaragoza bada się też zastosowanie energii słonecznej w koncentracji solanki i możliwości uzyskania

cennych materiałów po krystalizacji oraz wykorzystania pompy ciepła do chłodzenia. Naukowcy pracują również nad metodami oczyszczania ścieków, tak aby wodę móc później wykorzystywać w rolnictwie. Trwają także prace nad technologią, która ma na celu wprowadzenie do obiegu większej ilości wody za sprawą jej parowania, co pozwoliłoby zmniejszyć temperaturę powierzchni ziemi.

Technologie z Platformy Słonecznej wdrażane są dziś w kilku krajach Afryki i w Chile.

Hiszpański hot spot

W Hiszpanii znajduje się też pierwsza na świecie wyspa w stu procentach samowystarczalna, uznana za Rezerwat Biosfery. To kanaryjska wyspa El Hierro, która czerpie wodę z zakładu odsalania, a energię z elektrowni wodno-wiatrowej.

Dziś Hiszpania należy do 20 krajów na świecie, w których najszybciej odbywa się proces transformacji energetycznej; liderem są tu państwa nordyckie (te, w odróżnieniu od planów rządu w Madrycie, nie rezygnują z atomu).

Naukowcy są jednak zgodni, że wysiłek pojedynczych państw to za mało, by zatrzymać zmiany klimatu. – Hiszpania należy do jednych z najcieplejszych punktów na świecie, określanych jako *hot spot*. To miejsca, które najbardziej odczuwają zmiany klimatu. Nasz kraj obrał dobry kierunek w polityce klimatycznej, każdy krok ma tu znaczenie – uważa fizyczka Carmen Álvarez Castro. – Jednak aby zatrzymać zmiany klimatu, potrzebna jest globalna mobilizacja.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

STATYSTYKA I KARTOGRAFIA

Pisał jak szalony. Samych opowieści o przygodach komisarza Maigreta, asa paryskiej policji, wydał ponad sto. Biografowie nazywają go „kontynentem”. Udajmy się w podróż śladami Georges’a Simenona, tytana rzemiosła pisarskiego.

DOROTA MALINA Z PARYŻA

NA CZYM, WEDŁUG STAREGO DOWCIPU, polega geniusz Austriaków? Otóż przekonali świat, że Adolf Hitler był Niemcem, a Beethoven ich rodakiem. A na czym miałby polegać geniusz Francuzów? Otóż na tym, że wynaleźli pojęcie „frankofonia”, oznaczające wspólnotę narodów posługujących się językiem francuskim, która ten język wspiera, pielęgnuje i promuje.

Idea jest piękna i skuteczna, tyle że w praktyce to Francja zgarnia laury. Ku wielkiej irytacji tych, którzy Francuzami nie są, lecz posługują się francuskim. Pamiętają to bez wątpienia widzowie popularnego serialu o przygodach Herkulesa Poirota: wąsaty jegomość co i rusz musi się tłumaczyć, że choć jego rodzimym językiem jest francuski, pochodzi z Belgii.

Podobnie rzecz ma się z twórcą postaci innego słynnego detektywa – Jules’a Maigreta. Pisarz Georges Simenon, który stworzył i rozpropagował postać paryskiego komisarza policji, małomównego i zawsze z fajką (również i ona trafiła potem na ekran), pisał po francusku. Był więc niewątpliwie artystą frankofońskim. Kto jednak pamięta, że urodził się w Belgii?

KSIĄŻKA W JEDENAŚCIE DNI | Powiedzieć, że Simenon pisał, to nic nie powiedzieć. Sprzedał ponad 500 milionów egzempla-

rzy książek na całym świecie. Dla promocji kultury francuskiej zrobił więcej niż Marcel Proust (ok. 20 milionów).

Dlatego teksty o Simenonie zwykle zaczynają się od wyliczania imponujących statystyk: ok. 400 powieści i opowiadań wydanych pod nazwiskiem i pseudonimami, przekłady na ponad 50 języków. Żeby w przerwach od pracy trochę pożyć, książkę kończył średnio w jedenaście dni (osiem na pisanie, trzy na korektę), co wymagało zmiany przepoconej koszuli trzy razy dziennie.

Później zwykle jest twist: można by pomyśleć, że ktoś taki prowadził żywot benedyktyńskiego mnicha. Nic z tych rzeczy. Simenon był spragniony – wina, kobiet (miał dwie żony oraz liczne kochanki) i w ogóle wszelkich uciech. Żył kolejno w kilku krajach i, przynajmniej pod koniec sybaryckiego życia, codziennie uprawiał sport.

Tu z reguły nasuwa się pytanie: kiedy znajdował na to czas? Zwłaszcza że, aby pisać tak jak on, trzeba wychodzić na świat, czerpać z niego garściami, badać ludzką naturę. Nie można zamknąć się w czterech ścianach i poświęcić stukaniu w klawisze maszyny.

Wiele stron później konkluzja biograficznego śledztwa zwykle brzmi: Simenon to zdyscyplinowany rzemieślnik z talentem artysty. Stąd uznanie, książki w prestiżowym wydaniu Plejady, dokto-

raty i konferencje na jego temat. Czytacie powieści, nie tylko kryminały! Owszem, są plamy na reputacji – kto już czytał, ten wie, jak przedstawiał Żydów czy imigrantów z Europy Wschodniej. Ale, argumentując w tym miejscu jego obrońcy, trudno mu wyrzucać, że był człowiekiem swoich czasów. Czytacie więc! Amen.

OSOBISTY WSTĘP DO SIMENONA | W takiej narracji, naszkicowanej powyżej, zamknęto wielkiego Belga, którego Francja z dumą podcina pod frankofonię.

Niestety tutaj też nie znajdą państwo nieoczekiwanych rewelacji. Nie znuansuję portretu i nie przeprowadzę dogłębnej analizy przyczyn porażającej produktywności (Belg zabiegający o poklask Francuzów, pisarz, który w przeciwieństwie do intelektualistów-rentierów musiał zarabiać).

Jestem dopiero w trakcie analizy obszernego materiału dowodowego: przeczytałam trzydzieści z siedemdziesięciu pięciu Maigretów, kilka „poważnych powieści”, odsłuchiłam piętnaście godzin wywiadów z autorem, przejrzałam książkę o Paryżu komisarza Maigreta oraz o gastronomii u Simenona.

Obejrzałam też parę ekranizacji, z których, ponieważ jestem staroświecka jak przecinek, podobają mi się te wczesne, z Bruno Cremerem, bo w Rowanie Atkinsonie nie potrafię odzobaczyć Jasia



Georges Simenon, 1950 r.

Fasoli. Poza tym, jak wiemy z „Maigreta i sprawy Nahoura”, komisarz nie znał ani słowa po angielsku, więc najnowsza ekranizacja brzmi fałszywie jak kiepskie alibi.

Autorzy wstępu do wydania Plejady piszą, że Simenon „był kontynentem”. Zamiast jednak przedstawiać jego szczegółową kartografię, skupię się na miejscach,

które mnie ciekawią. Jak sam komisarz Maigret, nie zastosuję żadnej sztywnej metody, tylko zdam się na intuicję.

I mam nadzieję, że ten subiektywny przewodnik zaostrzy państwa apetyt na własne eksploracje. Tekstów, także po polsku, nie brakuje, a rodzimym „simenonologiem” jest romanista i autor

wstępu do „Paryskiego ekspresu” Bogusław Panek.

LIÈGE: Z WALONII W ŚWIAT | Belgia dzieli się radykalnie: na Flandrię (gdzie w użyciu jest flamandzki) i Walonię, gdzie mówią po francusku. Stolicą Walonii jest Liège. Tu 12 lutego 1903 r. przychodzi na ↪

→ świat Georges Simenon. A naprawdę 13 lutego. Ponieważ jednak dzień jego urodzin wypadł w piątek, mama wolała nie ryzykować i antydatowała narodziny.

Fikcja od początku była mu pisana. Katolicy rodzice wysłali syna do jezuitów. Nauki pobierał krótko, bo już w wieku 15 lat uznał, że czas zacząć prawdziwe życie (kolejny dowód, że nie matura, lecz chęć szczerza...).

Najpierw miał się prostych prac. Potem, siłą charyzmy i determinacji, zdobył miejsce w redakcji „Gazette de Liège”. Zaczął od pisanie o dziurach w drogach, aby wkrótce zająć się zbrodniami, kulturą i właściwie wszystkim, czym żyło miasto. Później powie, że praca w dzienniku była szkołą życia, a obserwacje z sali sądowej pomogły mu zrozumieć ludzką naturę. Artykuły sygnował niezbyt tajemnym pseudonimem „Georges SIM”.

Ze zdjęć z tego okresu patrzył młokos przebrany w garnitur dorosłego, jak dzieci na starych obrazach. Tyle że już wtedy gustował w rozrywkach uznawanych za męskie – i był stałym klientem lupanarów. Równocześnie z pracą reportera publikuje w pismach satyrycznych, para się też fikcją, a w 1921 r. wydaje pierwszą humorystyczną powieść.

Osiemnastolatek po udanym debiucie postanawia spróbować szczęścia w stolicy. Jedynej, która wtedy (i zdaniem wielu, do dziś) liczy się dla francuskojęzycznego literata: rusza do Paryża.

Po jego śmierci to w Liège powstanie centrum badań twórczości Georges’a Simenona, gdzie zdeponowane zostaną wszystkie archiwa. Jest co badać: w latach 1988-93 ukazało się łącznie 27 grubych tomów jego dzieł zebranych.

PARYŻ: Z BIEDY DO LUKSUSU | O jego związkach z Paryżem – paryskich perypetiach i obrazie miasta w jego twórczości – powstały tomiszczą tak opasłe jak *oeuvre* samego autora. To tu rozkręciło się przedsiębiorstwo Georges Simenon Unlimited: żeby zarobić na chleb, w latach 1924-27 młody Simenon pisał do czasopism erotycznych, prasy rynsztokowej i pisemek rozrywkowych, publikując ponad 190 opowiadań i do dziś niepoliczonych do końca artykułów pod mnóstwem pseudonimów.

To tu toczy się akcja 63 z 75 powieści o komisarzu Maigrecie (do tego dochodzą jeszcze opowiadania). To tu odbył się



PHOTO12 / TE ART / ITV / BE&W

Rowan Atkinson w serialu „Maigret”,
2016-2017 r.

słynny bal antropometryczny, czyli premiera drugiego tomu przygód komisarza Maigreta, tak zmyślna i zabawna (zaproszenia na wezwaniach sądowych, zdejmowanie odcisków palców przy wejściu), że trąbiła o niej cała prasa, a Simenon okazał się geniuszem marketingu *avant la lettre*. To tu wziął też ślub z Reginą, którą potem nieustannie zdradzał.

Po kolejnych sukcesach finansowych zmieniał adresy. Zaczynał w obskurnych hotelikach przy Dworcu Północnym, potem przeniósł się do małego, a później dużego mieszkania przy Place des Vosges (dziś enklawa luksusu), aż wreszcie do podparyskiego burżujskiego Neuilly-sur-Seine, skąd wyemigrował do Ameryki.

PARYSKIE PRZYSTANKI | Dla fanów komisarza Maigreta na mapie Paryża jest kilka obowiązkowych miejsc.

Najpierw Quai des Orfèvres, siedziba Police Judiciaire (policji sądowej), gdzie komisarz ma biuro. Tu pisze sprawozdania, naradza się z podwładnymi, stoi w oknie i patrząc na Sekwanę, pyka fajeczkę. Na biurku ma ich całą kolekcję.

Dalej Place Dauphine: trójkątny plac, zwany „łonem Paryża”, to dla komisarza źródło innych niż cielesne uciech. To tutaj sam albo z podwładnymi (których

nazywa „dziećmi”) regularnie przychodzi na obiady czy kieliszek wina. Choćby się waliło i paliło, przerwa na posiłek jest święta, a nawet podejrzanym przysługują croissants i kawa przyniesione przez kellera z Brasserie Dauphine. Ulubione danie komisarza? *Blanquette de veau*, potrawka z cielęciny. Najlepiej w wykonaniu małżonki, ale restauracyjną też nie pogardzi.

Komisarz często zagląda do ulubionej brasserie, bo alkohol źłocie jak szwedzcy detektywi kawę. Uważni czytelnicy zauważą, że Maigret nigdy (prócz obowiązkowej kuracji w Vichy) nie pije wody: rano żona budzi go kawą podaną do łóżka, potem przez cały dzień nawilża się winem, do biura zamawia piwo (i kanapki), a w lokalach sący calvados czy wódkę.

Alkohol służy bowiem gaszeniu pragnienia. Dziś mogą dziwić zdania w stylu „Komisarz mocno się zdyszał, więc kazał sobie przynieść wina”. Albo moje ulubione: „Maigret był zakatarzony, więc dopił szampana, którego trzymał w biurze”. Alkohol w miejscu pracy jest na porządku dziennym, co polskiego czytelnika może dziwić.



Nie dla komisarza jednak herbatki i ziółka. Picie nigdy nie jest problematyczne (może dlatego, że ma szofera), co odzwierciedla ówczesne normy. I stosunek Simenona do alkoholu.

MADAME BIEGNIE Z KAWĄ | No i wreszcie Boulevard Richard-Lenoir, adres domowy. Tu, w Dzielnicy Jedenastej, rezydowali państwo Maigret. Nie wiemy dokładnie, gdzie, prawdopodobnie pod numerem 132. Ale warto przejść się całą aleją i pomyśleć, że tym samym chodnikiem tupała madame Maigret, udając się po codzienne sprawunki.

Dzisiejsze feministki nie zostawiłyby na Simenonie suchej nitki – i to nie tylko z tego powodu, jak traktował kobiety (pod koniec życia chwalił się, że miał dziesięć tysięcy kochanek), ale także za sprawą tego, jak je przedstawiał, choćby w książkach o komisarzu.

Życiową misją madame Maigret jest bowiem wyłącznie obsługa męża: rano parzy mu kawę (do łóżka), w południe i wieczorem serwuje czasochłonne domowe potrawy, a wszystko za uśmiechem i wyrozumiałością. Nie mają dzieci (smutny, wielokrotnie powracający wątek), więc cóż innego Louise Maigret ma do roboty? Kiedy trochę podupada na

zdrowiu i mąż proponuje zatrudnienie kucharki, żona protestuje: czym, jeśli nie gotowaniem, wypełni sobie dni?

PARALELE I RÓŻNICE | Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że komisarz małżonkę ceni, telefonuje, jeśli nie wróci na obiad (nie omieszkuje zapytać, co przyszykowała), i czasem zabiera ją do kina. Albo na spacer, podczas których omawiają śledztwa lub po prostu zgodnie sobie milczą.

Zaraz, zaraz, a czemu piszę o postaci, skoro miało być o pisarzu? Nie ja jedna. Już za życia autora utożsamiano z jego detektywem. Sam sobie winny: w wywiadach opowiadał, że nie potrafi nic wymyślić i wszystko czerpie z doświadczenia. Nawet do zdjęć na czwartej stronie okładki pozował z fajką.

Badacze jego twórczości wskazują na paralele między Simenonem a Maigretem. Są też oczywiście różnice (komisarz był wierny żonie), ale nie ja jedna popełniam błąd utożsamienia. Patrick Marnham zatytułował nawet swoją biografię Simenona dobitnym „The Man Who Wasn't Maigret” (Człowiek, który nie był Maigretem).

AMERYKA: SZYBKO I DUŻO | Najpierw Kanada, potem Nowy Jork, Nowy Brunswik, Floryda, Arizona. Częste przenosiny, żeby wciąż doświadczyć czegoś nowego.

Ameryka to dla Simenona okres intensywnej pracy, ale też nowych romansów i innych uciech, którym oddaje się kompulsywnie. Żarłoczność i pośpiech sam tłumaczył anegdotą o błędnej diagnozie choroby sercowej – lekarz zabronił mu wszelkiego wysiłku pod groźbą rychłej śmierci. Po kilku miesiącach okazało się, że medyk się pomylił, ale odtąd Georges postanowił żyć i pracować na pełnych obrotach.

W Stanach rozwodzi się z Reginą i bierze ślub z Denyse, swoją sekretarką. Ze Stanów jeździ na tournée po Europie. Za zasługi na polu literatury dostaje order Legii Honorowej w konsulacie francuskim, gdzie ambasador ze zdumieniem odkrywa, że Georges Simenon jest Belgiem i nie ma obywatelstwa francuskiego.

Mimo zasług dla promocji języka francuskiego nigdy nie zostanie wybrany do Akademii Francuskiej. Był za to członkiem jej belgijskiej odpowiedniczki: Académie royale de langue et de littérature françaises de Belgique (Królewskiej Aka-

demii Języka i Literatury Francuskiej w Belgii).

SZWAJCARIA: FIRMA SIMENON | W 1957 r. wraca do Europy i osiada w Szwajcarii, w okolicach Lozanny, gdzie jest pięknie, bezpiecznie i nie brak dobrego wina. Poświęca się pisaniu i rodzinie. Odnosi literackie sukcesy, ale głównie za kryminały, choć sam bardziej ceni swoje „poważne” powieści, czyli *romans durs*. Miał nadzieję dostać za nie Nobla. Nie dostaje, a do dziś najbardziej znany jest jako „ojciec” komisarza Maigreta.

Badacze jego twórczości z podziwem opisują finansową stronę przedsiębiorstwa Simenon: kolejne publikacje w stałym rytmie, stała sprzedaż tak zwanych long-sellerów, nieprzerwany strumień dochodów z tłumaczeń i adaptacji. No i pracowitość aż do emerytury, którą ogłosił w 1972 r. Porzucił wtedy swojego komisarza, ale do końca pisał i dyktował, zwłaszcza powieści autobiograficzne.

Zmarł 4 września 1989 r., w wieku 86 lat, w Lozannie.

PYTANIA I (SPRZECZNE) ODPOWIEDZI | Mimo natłoku artykułów i wywiadów, „kontynent Simenon” nadal jest pełen białych plam. Czemu francuskojęzyczny Belg spędza drugą połowę życia w Stanach i Szwajcarii? Czyby uciekał przed oskarżeniami o kolaborację z reżimem Vichy? Dlaczego jego 25-letnia córka Mary-Jo popełniła samobójstwo? Czy winą za obsesję tworzenia i kompulsywne życie erotyczne rzeczywiście, jak chcą psychoanalitycy (w Szwajcarii był sąsiadem Junga), był brak matczynej miłości w dzieciństwie?

Z licznych biografii i jeszcze liczniejszych książek autobiograficznych wyłaniają się wzajemnie sprzeczne odpowiedzi. Prawdy można szukać też w powieściach i kryminałach, bo jak powtarzał Simenon, w pracy zawsze bazował na własnym doświadczeniu.

Pewnie najważniejszym miejscem, do którego należy się udać, żeby zrozumieć Belga, jest zatem obszerne biblioteka jego dzieł. Ciekawym polecam więc pierwszą powieść z cyklu o paryskim komisarzu pod znamienym dla nas tytułem: „Maigret i przybysz z Krakowa”. Bądź, w starszym tłumaczeniu: „Maigret i goście z Europy Wschodniej”. *Bon voyage!*

© DOROTA MALINA

WOJNY O PŁEĆ

Jest jednym z najbardziej fascynujących
i przełomowych wynalazków ewolucji.
Wpływa na niemal wszystkie aspekty życia osobników.
Nic dziwnego, że o płęć ciągle się kłócimy.

ŁUKASZ KWIATEK

PŁYWAJĄCY WŚRÓD CZUŁEK UKWIAŁU błaznek plamisty dzięki wyrazistym, pomarańczowo-białym plamom na ciele i czarnym konturom płetw wygląda bardziej jak postać z disneyowskiej kreskówki niż prawdziwa rybka. Być może stąd pomysł na film o Nemo – błazniku uwięzionym w akwarium. Ale jasne kolory i układ z ukwiałem, któremu w zamian za schronienie błaznek oferuje zjadanie pasożytów i dostarczanie pożywnych odchodów, nie są jedynymi oryginalnymi cechami tej koralowej rybki.

U błaznika wyewoluowało bardzo rzadkie w świecie zwierząt tzw. obojactwo następcze, połączone z jeszcze rzadszą społeczną determinacją płci. Pierwszy z tych terminów oznacza, że osobniki mogą produkować zarówno męskie, jak i żeńskie komórki rozrodcze (gamety) – ale nie w tym samym okresie w życiu. Drugi, że typ produkowanych przez osobnika gamet zależy od struktury społecznej stada.

Błazenki żyją w grupach złożonych z dużej dominującej samicy i kilkorga mniejszych samców. Tylko najwyższy w hierarchii samiec zapładnia jaja samicy, z których rozwijają się wyłącznie kolejne samce. Gdy samica zginie, najwyższy rangą samiec przechodzi kilkumiesięczną przemianę w samicę. Rośnie, przebudowuje ciało, w tym mózg i narządy płciowe. Zmienia zachowanie. W końcu zamiast plemników produkuje komórki jajowe, które będzie zapładniał kolejny rangą samiec w stadzie. A gdy dni także tej nowej samicy wreszcie dobiegną końca, cała historia powtórzy się od początku.

Sposób reprodukcji błazneków to tylko jeden z przejawów tego, jak niezwykle zjawiskiem w przyrodzie jest płęć. Wpływa ona na każdy aspekt funkcjonowania osobników w środowisku i stadzie, odbija się w ich zachowaniu i budowie ciała. Na organizmy rozmnażające się płciowo działają specyficzne presje selekcyjne. Płęć jest przy tym bardzo starym tworem ewolucji, a jej początki są dla nas zagadkowe.

Może więc nie powinno nas wcale dziwić, że o płęć ciągle wybuchają wojny –

zarówno w środowisku naukowym, jak i w całym społeczeństwie.

Kapłani i bluźniercy

Czasem są to wojny religijne.

Pod koniec grudnia na blogu Fundacji Wolności od Religii (Freedom From Religion Foundation, FFRF), znanej ateistycznej organizacji, ukazał się artykuł Jerry'ego Coyne'a, profesora Uniwersytetu Chicagowskiego i popularyzatora nauki, zatytułowany „Biologia nie jest bigoterią”. Tekst Coyne'a był polemiką z artykułem Kat Grant, pracowniczką Fundacji, w którym Grant zastanawiała się, czy można podać biologiczną definicję kobiety.

Grant, identyfikująca się jako osoba niebinarna, omówiła krótko kilka definicyjnych problemów związanych z odwołaniem się do genetyki czy obecności narządów płciowych (bo można je modyfikować operacyjnie, zdarzają się też osoby interplciowe, czyli wykształcające cechy płciowe, których nie da się jednoznacznie określić ani jako „męskie”, ani jako „żeńskie”), ostatecznie dochodząc do konkluzji, iż kobietą jest po prostu „ta osoba, która się za nią podaje”.

Dla biologa ewolucyjnego, jakim jest Coyne, trudno o bardziej drażniącą „definicję”, ponieważ biologia wypracowała tyleż jednowymiarową, co jednoznaczną definicję płci. Zgodnie z nią płęć to rola, jaką osobnik odgrywa w rozmnażającej się populacji jako producent gamet. Osobniki wytwarzające plemniki są samcami, a te, które produkują komórki jajowe – samicami.

Zdaniem Coyne'a siłą tej definicji jest jej uniwersalność – z powodzeniem może stosować się do wszystkich rozmnażających się płciowo gatunków – w tym ludzi. Stąd, przykładowo, niezręczne jest według niego sformułowanie „osoba transpłciowa” – należałoby raczej mówić „osoba transgenderowa”, ponieważ tzw. tranzycja płci, możliwa pod wpływem kuracji hormonalnej czy operacji plastycznych, nie zmienia typu produkowanych komórek rozrodczych. Choć może się wiązać ze zmianą funkcjonowania tej osoby w społeczeństwie.

W swoim tekście Coyne przekonywał, że biologia nie powinna ustępować miejsca ideologii. A ponieważ w przyrodzie nie ma trzeciego typu gamet, nie należy mówić o tym, że płęć może być zjawiskiem niebinarnym. Nawet jeśli część

osób nie chce się identyfikować ani jako kobieta, ani jako mężczyzna, nawet jeśli istnieją osoby interplciowe i nawet jeśli zgodzimy się, że w naszej kulturze zbudowaliśmy wokół płci cały zestaw reguł, ról społecznych czy stereotypów, które można kwestionować. W końcu tekstu Coyne zganił władze FFRF za uleganie modzie na aktywizm genderowy, w skrajnym wydaniu traktujący płęć jako kulturową konwencję.

Krótko potem na stronie FFRF pojawił się tekst zapewniający o wsparciu ruchów LGBTQ+, a zniknął z niej artykuł Coyne'a, co wywołało awanturę: autor ogłosił, że wycofuje się z rady honorowej tej fundacji, to samo zrobiły dwie kolejne gwiazdy nauki i publicystyki – biolog Richard Dawkins i psycholog Steven Pinker. W upublicznionych listach do FFRF każdy z nich zarzucił władzom fundacji, że zamiast walczyć ze starymi religiami, tworzą nową – bo tym właśnie ma być aktywizm genderowy, posiadający swoich własnych kapłanów, święte pisma i bluźnierców, w poczet których natychmiast został zaliczony Jerry Coyne.

To znamienne, że o płci niemal jednym głosem mówią zatem abp Marek Jędraszewski i Richard Dawkins czy Jerry Coyne, mimo że światopoglądowo różni ich niemal wszystko. Dlaczego wiele osób religijnych broni binarnego pojmowania płci – na tych łamach wyjaśniać nie trzeba. Rozwińmy za to odpowiedź na pytanie, dlaczego większość biologów, zwłaszcza ewolucyjnych, nawet tych uznawanych za ikony ruchów antyreligijnych, myśli podobnie.

Żeby to zrobić, musimy się cofnąć w czasie – o przeszło miliard lat.

Wynalazek eukariontów

Geologicznie jesteśmy w czasach prekambryjnych. Ziemskie lądy tworzą jeden superkontynent, oblewany przez olbrzymi ocean. Życie jest prostsze – z początku wyłącznie jednokomórkowe. Małe organizmy rozmnażają się bezpłciowo, tworząc swoje niemal identyczne kopie (czasem zdarzają się mutacje genetyczne). Populacje są więc zbiorowiskami klonów podatnych na te same zagrożenia środowiskowe – zmiana warunków może doprowadzić do zagłady wszystkich osobników. Po jakimś czasie organizmy, w wyniku sekwencji przypadkowych mutacji, nauczyły się pewnej sztuczki: wymiany →

Błazenki plamiste (Amphiprion ocellaris) przychodzą na świat jako samce. Osobnik, który zostanie samcem alfa, zmieni płęć na żeńską, jeśli w stadzie zabraknie samicy.

→ materiału genetycznego z innymi osobnikami. Ten tzw. horyzontalny transfer genów nie jest reprodukcją, bo nie prowadzi do powstania potomstwa, ale gwarantuje większą różnorodność osobników. Część z nich będzie miała szansę przetrwać kryzysy, na które wcześniej była narażona cała populacja.

Dzięki temu wynalazkowi ewolucja mogła przyspieszyć – a życie z czasem się skomplikowało. Kluczowym ewolucyjnym krokiem było powstanie jądra komórkowego, przechowującego materiał genetyczny. Nie wiemy, jak do tego doszło, ale to właśnie organizmy posiadające jądro komórkowe (eukarionty) wynalazły płęć.

Wiemy o tym, ponieważ płęć występuje wyłącznie u eukariontów – i to powszechnie, nawet u 95 proc. gatunków. Mówimy tu o tak zróżnicowanych organizmach jak zwierzęta, rośliny, grzyby i protisty. Łączy je także identyczny mechanizm podziału jądra komórkowego (tzw. mejoza), redukującego o połowę ilość materiału genetycznego, który trafia do komórek rozrodczych. Powszechność płci i mejozy u eukariontów sugeruje, że zjawiska te mogły być obecne u wspólnego przodka zwierząt, roślin, grzybów i protistów, żyjącego przeszło miliard lat temu.

Powstanie płci wymagało wielu kroków, których w szczegółach nadal nie rozumiemy. Domyślamy się jednak, jak z grubsza ten scenariusz wyglądał. Najpierw organizmy nauczyły się tworzyć nie swoje kopie, ale komórki rozrodcze zawierające połowę materiału genetycznego. Takie komórki nie były w stanie normalnie się rozwijać, dopóki nie połączyły się z komórkami posiadającymi drugą połowę materiału genetycznego. Ponieważ dwie gamety mogły pochodzić od różnych organizmów, w populacji pojawiały się zupełnie nowe kombinacje genów. Jej poziom zróżnicowania rósł.

Na tym etapie wszystkie gamety wyglądały identycznie – biolodzy powiedzieliby więc, że występowała tylko jedna płęć. Ale z czasem zaczęły się eksperymenty: część organizmów zmniejszała rozmiar komórek rozrodczych, dzięki czemu mogła ich produkować więcej. Ponieważ nie każda mała gameta mogła stworzyć udany organizm, drugiej grupie zaczęło się oplać tworzyć mniejszą liczbę, ale większych komórek roz-

J. WALKER / B&E



Ryby są na świecie od pół miliarda lat.

Miały dużo czasu, żeby się zróżnicować.

Także pod kątem reprodukcyjnym.

rodczych – to te gamety miały większe szanse na stworzenie organizmu (kolejność mogła być także odwrotna: możliwe, że najpierw niektóre organizmy stworzyły większe gamety, na czym inne zaczęły pasożytować, zmniejszając swoje). Początkowo różnice w wielkości komórek rozrodczych mogły być niewielkie, z czasem jednak procesy selekcyjne je wyolbrzymiły. Dziś te małe komórki nazywamy plemnikami, duże – komórkami jajowymi. Od tego momentu w ewolucji można mówić o dwóch płciach i działaniu doboru płciowego.

Nie tylko geny

Oczywiście, to nie koniec ewolucyjnej opowieści o płci – to sam jej początek. Na dalszych etapach ewolucji coraz bardziej złożone organizmy coraz bardziej specjalizowały się w produkcji coraz bardziej zaawansowanych gamet – wykształcały specjalne struktury skupione na tym zadaniu (gonady), a także ich transporcie w ciełe i na zewnątrz (genitalia). Wyewoluowały też u nich metody poszukiwania i selekcji partnerów seksualnych, rywalizacji o nich, opieki nad potomstwem. To wszystko wymagało odpowiednich instrukcji genetycznych, regulujących rozwój i zachowanie organizmów za pośrednictwem hormonów i układu nerwowego. Płęć zyskała wiele nowych wymiarów.

Te wymiary mogą być niezwykle złożone, o czym świadczy choćby mechanizm determinacji płci. U gatunków płciowych każdy osobnik ma dwoje rodziców, ale może odziedziczyć płęć tylko jednego z nich – którego? Natura wymyśliła wiele sposobów rozwiązania tego problemu. Czasem to, w kierunku jakiej płci organizm będzie się rozwijał, zależy od genów (jak np. u ludzi). Czasem od warunków otoczenia – zwykle temperatury (jak np. u krokodyli) czy długości dnia i nocy. Czasem od kontekstu społecznego (jak u błazenków).

W przyrodzie nawet blisko spokrewnione gatunki mogą mieć różne systemy determinacji płci. Ba, różnice pod tym kątem mogą nawet występować w obrębie jednego gatunku! Scynk śnieżny to jaszczurka z Australii i Tasmanii, której część populacji zamieszkuje bardziej różnorodne tereny położone na niższych wysokościach – u nich płęć zależy od temperatury, w jakiej rozwija się zarodek w jaju. W populacjach zamieszkujących górzyste regiony, gdzie panują surowe warunki i jest chłodniej, płęć determinują geny.

Wśród niektórych zwierząt (np. ryb *Salaria pavo*) wyewoluowało zjawisko mimikry płciowej – część samców upodabnia się wyglądem do samic, dzięki czemu może oszukać dominujących samców, zakraść się do samic lub złożonych przez nie jaj i bezkarnie płodzić potomstwo.

Cały ten ambaras

Biologiczny sens płci wiąże się przede wszystkim z większą różnorodnością osobników w populacjach, dzięki czemu są one lepiej dostosowane do zmieniających się warunków środowiska. Ale płęć ma też swoje koszty – związane chociażby z koniecznością znalezienia partnera i rywalizacją o niego, czy nawet utrzymaniem części ciała potrzebnych do płciowej reprodukcji.

W niektórych liniach ewolucyjnych eukariontów, gdy warunki życia się stabilizowały, płęć zanikała. Wszystkie osobniki produkują wówczas jeden rodzaj komórek rozrodczych, choć nie zawsze każda z tych komórek jest w stanie połączyć się z dowolną inną. Biolodzy mówią wówczas o tzw. „typach płciowych”. Zjawisko to występuje np. u niektórych grzybów.

Innym rodzajem rozmnażania bezpłciowego jest partenogeneza (dzieworództwo) – samice (m.in. niektórych ryb, gadów czy płazów) produkują komórki jajowe posiadające kompletny zestaw materiału genetycznego, z których, bez zapłodnienia plemnikiem, może rozwinąć się dorosły organizm (kolejna samica, będąca klonem swojej matki). Ten sposób reprodukcji redukuje koszty związane z koniecznością poszukania partnera. Podobny jest sens obojactwa, w którym jeden osobnik produkuje (w tym samym czasie lub po koniecznym przeobrażeniu) oba rodzaje komórek płciowych – zarówno te małe (męskie), jak i te duże (żeńskie). To popularny sposób rozmnażania się np. roślin.

O tym, że utrzymywanie płci jest kosztownym zjawiskiem, świadczy też wiele sytuacji, gdy rozwój płciowy osobnika zostanie zburzony. W praktyce może się to zdarzyć na każdym możliwym poziomie: genów, gruczołów płciowych, genitaliów, hormonów. W takiej sytuacji osobniki mogą stać się interplciowe – rozwinąć cechy obu płci.

Fakt, że u jednego osobnika cechy płciowe mogą być wymieszane, a w świecie zwierząt istnieją osobniki zmieniające płeć czy podszycujące się pod inną, nie zmienia poglądu ogromnej większości biologów na to, że płeć jest zjawiskiem binarnym, bo na najbardziej podstawowym poziomie dotyczy ona komórek rozrodczych. Biolodzy upierają się przy tym podejściu z kilku powodów.

Po pierwsze – w biologii perspektywa ewolucyjna jest kluczowa (bo wszystkie funkcje organizmów mają ewolucyjny rodowód), a różnice w skuteczności rozmnażania się – i zmienność, którą rozmnażanie się powoduje – są motorem napędowym ewolucji.

Po drugie, powstanie płci było jednym z najważniejszych zdarzeń w historii życia. Pojawienie się u wczesnych eukariontów związanej z płcią asymetrii w wielkości gamet do dzisiaj tłumaczy wiele zjawisk w świecie przyrody czy zachowań organizmów. Np. w związku z tym, że jedna płeć ponosi mniejsze koszty wyprodukowania potomstwa (u ogromnej większości gatunków samce; różnice w inwestycjach rodzicielskich pojawiają się już na poziomie kosztów pojedynczej komórki rozrodczej), ta druga płeć (inwestująca więcej) utrzymuje przywi-

lej wyboru partnera. To nie przypadek, że w świecie zwierząt „płcią piękną” są samce. Ich kolorowe upierzenie czy artystyczne popisy mają zaimponować samicom. Samce mogą sobie pozwolić na takie ekstrawagancje, bo ponoszą mniejsze koszty płodzenia dzieci.

Po trzecie, jednowymiarowa definicja tak ważnego pojęcia w biologii jak płeć jest raczej kojącym wyjątkiem, a nie regułą. Biolodzy muszą dzisiaj myśleć w kategoriach spektrum choćby o tak fundamentalnym zjawisku jak... życie (istnieje szara strefa pomiędzy organizmami a materią nieożywioną, w której lokują się np. wirusy); nie mają też ścisłej definicji choćby osobnika (czy symbiotyczne bakterie, które żyją w moich jelitach, to moje ciało? A co z mitochondriami w moich komórkach, wywodzącymi się od prastarych bakterii?) ani gatunku (kiedy jeden gatunek przechodzi w inny?).

Dyskusje akademickie

Sprowadzanie płci wyłącznie do rodzaju wytwarzanych gamet, także u człowieka, można jednak postrzegać jako uproszczenie, co zresztą jest podstawą sporów, które wybuchają w środowisku akademickim, zwłaszcza między biologami a psychologami. Tych ostatnich mniej obchodzi to, jakie komórki rozrodcze produkuje, produkował lub spróbuje wyprodukować konkretny człowiek – a bardziej to, jak rozumie samego siebie jako członka społeczeństwa. Dla biologów ewolucyjnych, takich jak Dawkins czy Coyne, te zagadnienia dotyczą obszaru płci psychologicznej czy kulturowej, o których można myśleć w kategoriach spektrum. Części sporów o płeć można by zatem uniknąć, gdyby ich uczestnicy wyraźniej mówili, który aspekt płci mają na myśli.

Ale jednak tylko części. Otwartym pytaniem, które zresztą dotyczy raczej neurobiologii niż biologii ewolucyjnej, pozostaje to, w jakim stopniu u ludzi biologiczne uposażenie wpływa na płeć psychologiczną i kulturową. Żadne ze skrajnych stanowisk – iż ten wpływ jest zerowy lub całkowity – nie daje się obrobić. Spora część kłótni o płeć dotyczy tego tematu.

Temperatura tych kłótni – także w świecie akademickim – zdaje się wzrastać, a spory naukowe łatwo mieszają się ze światopoglądowymi. Awantury wy-

buchają nie tylko w internecie – także na salach wykładowych, konferencjach naukowych i w specjalistycznej prasie. Przykładowo, w 2023 r. Amerykańskie Towarzystwo Antropologiczne odwołało sesję poświęconą biologii płci, powołując się na potrzebę zapewnienia „bezpieczeństwa i godności” wszystkim członkom tego towarzystwa. Niektórzy naukowcy – jak neurobiolożka Debrah Soh, obecnie publicystka i zajadła krytyczka aktywizmu gender – tłumaczyli odejście z akademii reakcjami społecznymi na swoje poglądy. O toczącym USA „raku kultury unieważniania” związanym z poglądami na temat płci, przypominającym polowania na domniemanych rosyjskich szpiegów wśród naukowców, urzędników i artystów podczas zimnej wojny, pisał niedawno w czasopiśmie seksuologicznym James Pfaus, neurobiolog z Uniwersytetu Karola w Pradze.

Prymatolog i antropolog Agustín Fuentes zapowiedział na maj książkę zatytułowaną „Płeć to spektrum. Biologiczne ograniczenia binarności”. Z jej opisu wydawniczego wynika, że będzie mówić o ewolucyjnych początkach płci, bogactwie sposobów determinacji płci w przyrodzie, a także o zjawisku obojactwa i interplciowości. Autor zabierze też głos w sprawach społecznych – dotyczących sposobu traktowania osób transpłciowych (transgenderowych) w społeczeństwie, m.in. sporcie. Nie sądzę, by Jerry Coyne czy Richard Dawkins dowiedzieli się z niej czegokolwiek nowego. Chyba że tego, iż nauka nie dostarcza jednoznacznych rozwiązań sporów światopoglądowych.

■ ■ ■

Pośród wszystkich kręgowców najbardziej zróżnicowane systemy rozmnażania płciowego wykształciły ryby. W porównaniu z nimi my, ssaki, jesteśmy żenująco konserwatywni. U ssaków nie zaobserwowano dzieworództwa ani obojactwa, a nawet innego systemu determinacji płci niż ten oparty na genach. Ewolucyjne wyjaśnienie tego zjawiska jest proste: ryby są na Ziemi od pół miliarda lat, ssaki – przeszło połowę krócej. Ryby miały znacznie więcej czasu na to, by się zróżnicować, także pod kątem reprodukcyjnym.

Ale może to dobrze – gdyby było odwrotnie, wojen o płeć nigdy byśmy nie skończyli. © © ŁUKASZ KWIATEK

BIAŁA CZAROWNICA

Jest jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem, przekraczającym granice aktorstwa, płci i społecznej przynależności.

Tilda Swinton odbierze na otwarciu tegorocznego Berlinale Honorowego Złotego Niedźwiedzia za całokształt pracy.

ANITA PIOTROWSKA

NIKT NIE WIEDZIAŁ, KIEDY SIĘ POJAWI ani kiedy zniknie. Wiosną 2013 r. zwiedzający nowojorskie Museum of Modern Art mogli trafić na szklaną gablotę, w której przez kilka godzin dziennie drzemała Tilda Swinton. Była to instalacja „The Maybe” zaprzyjaźnionej artystki wizualnej Corneli Parker, pokazująca wcześniej w Londynie i Rzymie.

Znaczeniowo – *tabula rasa*, podobnie jak twarz i filmowa osobowość brytyjskiej aktorki. Któż inny z taką elastycznością ucieleśniałby na ekranie cierpiącą córkę i oziębłą matkę, zbuntowaną arystokratkę i wieczną punkówkę, kosmitkę i wiedźmę, anielicę i „humanitarną wampirycę”, a wreszcie – najsłynniejszą queerową postać w historii kina?

Tożsamości

Gdyby Virginia Woolf jakimś cudem do czekała weneckiej premiery „Orlanda” w 1992 r., można przypuszczać, iż pomimo adaptacyjnej swobody filmu byłaby nim zachwycona. A już na pewno odtwórczynią głównej roli. Tytułowa postać, wzorowana na Vicie Sackville-West, kochance pisarki, zmienia kostiumy z męskich na kobiece, wędruje przez kraje i epoki, od czasów elżbietańskich aż po koniec XX w., uosabiając przy tym ideał androgynicznego piękna, wiecznej młodości i ar-

tystycznej pasji. Jako niepasująca nigdzie istota, przez całe wieki poszukuje spełnienia w miłości i w twórczości.

Trzydziestodwuletnia wówczas Swinton, która udzielała się przy filmie od jego poczęcia, doskonale oddała ten niepokój, porównując gotowe dzieło, jak i pracę nad nim, do ekstatycznego tańca. A wymowne spojrzenia Orlanda wprost do kamery (i poniekąd w nas) były nie tyle figlarnymi przebiciami „czwartej ściany”, ile zatrzymaniem się na dojrzewającej samoświadomości bohatera/bohaterki. Punktowały one kolejne wyzwolenia z płciowych stereotypów, społecznych ram czy wewnętrznych ograniczeń.

To nie pierwszy raz, kiedy aktorka wciełała się w częściowo męską rolę. Sally Potter, reżyserka „Orlanda”, wypatrzyła ją w spektaklu „Man to Man”, potem sfilmowanym, gdzie Swinton zagrała kobietę podszywającą się pod zmarłego męża, ażeby przetrwać wojnę, i z czasem ztracającą poczucie tożsamości. Grała też na scenie Mozarta czy niebinarnego anioła w horrorze „Constantine” (2005) i po dziś dzień, także prywatnie, lubi pogrywać swoim ponadpłciowym wizerunkiem. Mówi, że nie wierzy w twarde tożsamości. →

Tilda Swinton w filmie Pedro Almadovara
„W pokoju obok”, 2024 r.

MATERIAŁY PRASOWE GUTK FILM





→ W lipcu 2013 r., solidaryzując się z prześladowaną w Rosji mniejszością LGBTQ+, rozwinęła przed pałacem kremlowskim wielką tęczową flagę. Od lat pielęgnuje pamięć po Dereku Jarmanie, zmarłym na AIDS przyjacielu, który jeszcze przed „Orlandem” uczynił ze „Swildy” swoją żonę. Nakręcili wspólnie aż osiem filmów, pochwyceni od jej debiutu w „Caravaggiu” z 1986 r. Pięć lat później, za rolę Izabeli Francuskiej w „Edwardzie II”, aktorka otrzymała nagrodę w Wenecji.

Świat z góry

Decyzję o wyborze życiowej drogi podjęła obejrawszy „Na los szczęścia, Baltazarze” (1966) Roberta Bressona, który przyglądał się naszemu okrutnemu światu z perspektywy osiołka. To spojrzenie outsiderki zobaczymy potem w wielu jej wcieleniach. Być może z podobnym zdziwieniem przyglądała się swojemu arystokratycznemu otoczeniu – jest córką Australijki i brytyjskiego oficera ze szlacheckim tytułem, a niemal każdy jej biogram przypomina o udokumentowanym szkockim rodowodzie sięgającym głębokiego średniowiecza.

Będąc dzieckiem klasowego przywileju, zaliczyła prywatne szkoły dla dziewcząt, w tym placówkę z internatem, gdzie o rok wyżej uczyla się przyszła księżna Diana, bliską koleżanką z klasy była zaś przyszła reżyserka Joanna Hogg. W 1986 r. ich przyjaźń zaowocowała pierwszym wspólnym projektem. W kolejnych filmach, jak dwuczęściowa „Pamiętka” (2019, 2021), Swinton i przede wszystkim sama Hogg przerabiała swoje „wysokie” pochodzenie.

Córka aktorki, Honor Swinton Byrne, wcieliła się tam w studentkę reżyserii, próbującą wybić się na suwerenność, ale ciągle uwikłaną w rodzinne zależności, zwłaszcza wobec dominującej matki. W tej roli wystąpiła sama Tilda, co znalazło potem dopełnienie w „Odwiecznej córce” (2022), kameralnym i dowcipnym horrorze, gdzie zagrała – co stało się jej zawodową specjalnością – dwie postacie naraz. Tym razem była i tytułową córką, która w „gotyckim” hotelu na odludziu zmagą się z kryzysem twórczym, i jej wyimagującą rodzicielką, niegdysiejszą dziewczynką tego zamczyska.

Już będąc kilkulatką, zadawała niewygodne pytania w rodzaju: dlaczego nasza rodzina podczas niedzielnej mszy zaj-

muje te lepsze miejsca i może patrzeć na innych z góry? W latach 80. nabrała cech lewicującej buntowniczką, wykształconą socjologicznie, politologicznie i literaturoznawczo na Cambridge. Otrzymałszy angaż w Royal Shakespeare Company, mogła rozwijać się w duchu najlepiej rozumianej teatralnej tradycji, nie mieściła się jednak w tych ramach.

Jako zaangażowana krytyczka Thatcherowskiej Wielkiej Brytanii była jedną z twarzy i najbardziej rozdzierającym głosem w „Ostatnich Anglikach” (1987) Jarmana, poetyckim i zarazem oskarżycielskim poemacie filmowym wymierzonym w państwową przemoc, homofobie i postępujący upadek rodzimej kultury. Nie tylko zewnętrzne podobieństwo sprawiało, że widziano w Swinton bliźniaczą siostrę innego brytyjskiego „kosmity”, Davida Bowiego, a i dziś mówi się, że najlepiej oddała tę postać w ewentualnym filmie biograficznym.

Twórcy bloga Tilda Stardust twierdzą wręcz (i mają swoje memiczne dowody), że Swinton i Bowie są tak naprawdę tą samą osobą. Drogi obojga artystów przecinały się zresztą nie raz, na przykład w teledysku do utworu „The Stars (Are Out Tonight)” z 2013 r. Dwójka androgynicznie-eterycznych albinosów odgrywa tam przeciętne małżeństwo w średnim wieku (i z klasy średniej), nawiedzane przez swoje młodsze, glamrockowe wcielenia.

Zakładniczka charyzmy

Charakterystyczna sylwetka i fizjonomia bez wyraźnie zarysowanej płci czy wieku, nie mówiąc o szlachetnym akcencie, na ogół dyskwalifikują „Swildę” w odtwarzaniu szaraczek czy szaraczków. Zdaje się zawsze wystawać ponad swoje role i często też ponad inne postacie, a regularne i niepokojąco „neutralne” rysy twarzy stają się surowym płótnem, gotowym na daleko posunięte transformacje.

W rankingach króluje zazwyczaj campowy horror „Suspiria” (2018) Luki Guadagnino, z potrójną (!) rolą Swinton: posagowej madame szefującej zachodniobrytyjskiej szkole tańca, zdeformowanej matriarchalnej wiedźmy i doktora psychoanalizy w starszym wieku. Ale owe kreacje zawdzięczamy w dużej mierze charakteryzatorom – mistrzom filmowej protetyki („Snowpiercer: Arka przyszłości” Bonga Joo-ho, 2013), ekranowego postarzania („The Grand Budapest

Hotel” Wesa Andersona, 2014) czy, dla odmiany, daleko posuniętego minimalizmu (jak pozbawiona makijażu i włosów Starożytna z superbohaterskiego „Doktora Strange’a” Scotta Derricksona, 2016). W poczet tych ról, tworzonych w ramach bardziej rozrywkowego emploi, wpisuje się także Biała Czarownica, rasowy czarny charakter, i jadowita Jadis z trzech odsłon zekranizowanych „Opowieści z Narnii” (2005-2010). Filmowe zło rzadko bywało aż tak ponętne, dlatego w kulturze popularnej ta inkarnacja Tildy Swinton zapisała się najwyraźniej.

Czasami można mieć wrażenie, że aktorka stała się zakładniczką swojej charyzmy, a twórcy filmowi różnej maści próbują uszlachetniać obecnością „Swildy” swoje kino, jak choćby George Miller we wtórnej orientalistycznej baśni „Trzy tysiące lat tęsknoty” (2022). Zwłaszcza że wydaje się wszytkożerna. Chociaż bycie aktorską osobowością i osobliwością daje jej wiele swobody, porównuje się skromnie do najmniej żolnierki czy modelki.

Uważa się za aktorkę instynktowną i nie podejmuje specjalnych przygotowań do roli. Nie odmawia zarówno offowym braciom Safdie (słysząc ją w „Nieoszlifowanych diamentach”, 2019), europejskim mistrzom rangi Béli Tarra („Człowiek z Londynu”, 2007) i tajskim geniuszom w rodzaju Apichatponga Weerasethakula. Ostatni z wymienionych zobaczył w niej uosobienie tego, co nazywa się dziś wysoką wrażliwością – bohaterka „Memorii” (2021), szkocka botaniczka przebywająca w Kolumbii, obdarzona jest wyczuleniem na dźwięk i zarazem szczególnym nasłuchem na rzeczywistość, dzisiejszą i minioną. Rzecz by można, że to podobnie działający wewnętrzny radar, a nie ponadprzeciętna fotogeniczność i plastyczność decydują o geniuszu samej Swinton.

Stany splecione

Preferuje zatem twórców, którzy potrafią uruchomić w niej optymalne nastroyenie, jak Luca Guadagnino w „Jestem miłością” (2009) i „Nienasyconych” (2015), błahych na pozór dramatach z życia uprzywilejowanych sfer. Aktorka wniosła do tych filmów swój osobisty wkład. W jednym z wywiadów włoski reżyser przyrównywał jej obecność na planie do pracy autora zdjęć – ona nie tylko występuje przed kamerą, lecz nieomal zdalnie steruje jej mechanizmem.

„Swilda” jest zawsze gotowa na transformacje



■ **ORLANDO** (1992) reż. Sally Potter
Film o podróżującym w czasie androgynicznym młodzieńcu, który obiecał Elżbiecie I, że nigdy się nie zestarzeje, sam nie zestarzał się na pewno. Po 18 latach powrócił do amerykańskiej dystrybucji, stał się też inspiracją dla spektakli, wystaw i innych filmów.



■ **MUSIMY POROZMAWIAĆ O KEVINIE** (2012) reż. Lynne Ramsay
Adaptacja powieści Lionel Shriver, wydanej również w Polsce, to w dużej mierze mroząca krew retrospekcja, w której główna bohaterka rozpamiętuje, jak to jest wychowywać dziecko zdradzające psychopatyczne cechy.



■ **SUSPIRIA** (2018) reż. Luca Guadagnino
Jedną z trzech ról zagranych w tym filmie przez Swinton jest Doktor Klemperer, ale w napisach końcowych rzekomo gra go niejaki Lutz Ebersdorf. Niektórym trudno było uwierzyć, że pod tym nazwiskiem kryje się znana aktorka.



■ **MEMORIA** (2021) reż. Apichatpong Weerasethakul
Po rolach w kinie fantasy przyszła pora na inny rodzaj filmowej magii, z elementami medytacji, głosami przodków i śladami pamięci zbiorowej. Za sprawą głównej bohaterki zanurzamy się w świecie kolumbijskiej natury i kultury.

„Nienasyceni” byli pod tym względem przypadkiem wyjątkowym, bo Swinton, grająca gwiazdę rocka na włoskich wakacjach, początkowo odmówiła udziału z powodu niedawnej śmierci matki. Potem jednak wyszła z pomysłem, ażeby jej bohaterka pozostała w tej historii od początku do końca niema. Utrata głosu przez filmową wokalistkę miała być znakiem jej bycia całkowicie poza, z dala od sensacyjno-erotycznego zgiełku, i pomysł okazał się doskonały.

Skądinąd to nie oryginalna, wymownie milcząca rola przyniosła oscarowe uznanie, ale rozgadana i bezwzględna prawniczka z „Michaela Claytona” (2007) Tony’ego Gilroya. Bardzo wyważonymi środkami udało jej się nieco uwolnić postać zimnej funkcjonariuszki na usługach

nieetycznego biznesu. Na szczęście, aktorka umie bawić się rolami sztywnych służbistek, czego dowodem groteskowa Opieka Społeczna w filmie „Kochankowie z księżycą. Moonrise Kingdom” (2012) Wesa Andersona. U tego reżysera czuje się zawsze jak kolorowa ryba w wodzie, by przypomnieć „Kuriera Francuskiego z Liberty, Kansas Evening Sun” (2021) czy „Asteroid City” (2023). Do każdej z tych zwiariowanych menażerii wносиła rys wypsiarskiego sarkazmu, czy to jako snobistyczna krytyczka sztuki, czy astronomka z wymyślonych lat 50. Podobnie było w filmach braci Coenów, w roli niewiernej żony agenta CIA w „Tajne przez poufne” (2008) czy bliźniaczek z plotkarskiej prasy w „Ave, Cezar!” (2016).

Za to u Jima Jarmuscha ten dystans ma zupełnie inny wymiar – podszyty jest pięknie wykreowaną tajemnicą, zwłaszcza w „The Limits of Control” (2009) i „Tylko kochankowie przeżyją” (2013). Blondynka z pierwszego tytułu zjawia się nagle cała na białą, by w ciągu ledwie kilku minut swego czasu ekranowego pogrążyć ten wystarczająco już ekscentryczny film w jeszcze większej nieprzejrzystości. A zmęczona wampiryzm z drugiego tytułu wzrusza kruchością i melancholijną dekadencją, niepasującą do dzisiejszego mocno podupadłego świata. I choć to niejedyna wampiryczna postać w bogatej filmografii Swinton, hipnotyzuje tutaj każdym spojrzeniem, ruchem, słowem. Jarmusch porzucił pełnokrwistą, *nomen omen*, psychologię, uwodząc nastrojem i wyrafinowaną zabawą, w której ulotne, jakby przymglone aktorstwo Tildy paradoksalnie błyszczy najjaśniej.

Jeśli ktoś poszukiwał psychologicznego realizmu w jej wykonaniu, zawsze może liczyć na Pedro Almodóvara, który latami marzył o pracy ze Swinton i poniekąd dla niej odważył się wreszcie na film po angielsku. W krótkometrażowym „Ludzkim głose” (2020), w scenariuszu dla jednej aktorki i jej kameralnym *tour de force*, wygrywa ona wszelkie możliwe „stany splecione” doświadczane przez porzuconą kobietę. Jej dwudziestominutowy monolog do telefonu mieni się przeróżnymi odcieniami emocji, nic więc dziwnego, że hiszpański reżyser poszedł za ciosem.

Kolejny ich wspólny tytuł, „W pokoju obok” (2024), czyli historia przyjaźni dwóch dojrzałych kobiet, wystawionej na próbę, kiedy jedna z nich udręczona terminalną chorobą postanawia zakończyć życie, była krytykowana za przeestetyzowanie i wydumany koncept. Lecz właśnie maksymalnie powściągliwa rola Swinton wniosła tu najwięcej autentyzmu. A zbliżenia jej twarzy, całkowicie nagiej, to znów przeciętej jaskrawo czerwoną szminką, wpuszczały trochę życia w tę fantazję o dobrej śmierci.

Poetką się bywa

Najciekawiej bywa wtedy, gdy ma odwagę, żeby całą tę swoją charyzmę wziąć w gruby nawias albo po prostu narażać na szwank. Kiedy bywa kimś dużo więcej niż chłodną doskonałością czy niepoahamowanym aktorskim zwierzęciem →

→ i balansuje na granicy ludzkiej potworności.

W „Musimy porozmawiać o Kevinie” (2011) szkockiej reżyserki Lynne Ramsay wkroczyła na teren szczególnie grząski – macierzyństwa jako źródła cierpień. Nie wiadomo, kim jest jej postać: tak zwaną matką wyrodną, która stworzyła potwora, czy może ofiarą, skazaną na życiową rolę ponad jej siły i ponad wszelkie ludzkie możliwości. Temat wydał się aktorce na tyle prowokujący, że zaangażowała się w produkcję tego filmu, zanim przyjęła główną rolę. Za sprawą jej interpretacji dramat rodzinny i psychologiczny dreszczowiec co chwila zamieniają się miejscami, wpędzając widza w bezustanne poczucie dyskomfortu.

Należy bowiem Swinton do tych aktorek, które nie próbują wygodnie się ułożyć, również w swoich aktorskich niszach. W 2008 r. zorganizowała festiwal filmowy w rodzinnej Szkocji, występowała na scenie ze swą idolką Patti Smith, recytując ważne teksty kultury, a w ubiegłym roku zadebiutowała jako współreżyserka dokumentalnego esaju, gdzie analizuje uniwersalne mechanizmy uczenia się. Szykując się w tym roku do swoich sześćdziesiątych piątych urodzin, nadal pielęgnuje w sobie duszę poetki, jaką była przed wejściem na aktorską ścieżkę.

Kultywuje też ducha zabawy w dobrej sprawie, jak w grubo przerysowanej komedii „Problemista” (2023) debiutanta Julio Torresa. Swinton raz jeszcze znalazła przestrzeń, by zamieszać w swoim wizerunku, tym razem tworząc postać hałaśliwej i prostackiej nowojorskiej artystki. Czyli całkowite przeciwieństwo tego, z czym ją zazwyczaj kojarzymy: charyzmatycznych czarnych charakterów, posągowych wampiryzm i wyrafinowanych performerów z MoMA.

© ANITA PIOTROWSKA



MATERIAŁ PRASOWY

Roma Gąsiorowska i Borys Szyc w filmie „Wojna polsko-ruska” na podstawie książki Doroty Masłowskiej, reż. Xawery Żuławski, 2009 r.

Wszystko zostało zapisane

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI, LITERATUROZNAWCA:

Żyjemy w opowieściach. To one porządkują rzeczywistość społeczną, nadają sens działaniom. To one popychają do wojen. Granice wyznaczają dziś nie racje, lecz narracje. Nie fakty, ale afekty.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy literatura ma jeszcze moc zmieniania świata?

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI: Najpierw zapytałbym: kto w ogóle dysponuje taką mocą? Kto, lub co, może dziś sprawić, że rano obudzimy się w innym świecie niż ten, w którym zasypialiśmy? Uproszczona odpowiedź brzmi: prawo, pieniądze, klimat.

Ta trójka rządzi dziś światem?

Do klimatu pewnie jeszcze wrócimy, na razie zostanmy przy pierwszych dwóch czynnikach. Co może prawo? Może przeprowadzić interwencję zbrojną w obcym państwie. Zamknąć granice. Otworzyć granice. Obniżyć podatki. Zaostrzyć ustawę antyaborcyjną... Pieniądz działa inaczej:

przenosi fabrykę z jednego kraju do drugiego, zmuszając ludzi do szukania pracy; pozwala założyć farmę hodowlaną, która zmieni lokalny ekosystem; pozwala otworzyć sklep wielkopowierzchniowy, który wytłucze okoliczny mały handel.

Na pewno coś je łączy.

Obie siły łączy to, że stawiają nas przed faktami dokonanymi. Zmieniają świat, stanowią naszą rzeczywistość. Żadna inna siła poza pieniądzem i prawem nie potrafi w dzisiejszym świecie tak skutecznie i szybko zmieniać naszego życia.

Gdzie tu miejsce na literaturę?

Jest pomiędzy. Pomiedzy władzami, które stanowią rzeczywistość. Czyli

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

tam, gdzie rozciąga się coraz węższy obszar sfery publicznej. W tej sferze istnieją nauka, kultura, media, ruchy obywatelskie. W tej sferze zrzeszamy się, protestujemy, manifestujemy, badamy, dyskutujemy. W mniejszej skali praktykujemy sposoby wybierania władz i stanowienia prawa. Szukamy innych zasad wymiany. Spieramy się o granice nauki i metody wywierania wpływu na środowisko naturalne.

Nadal nie widać literatury.

Jest w tej samej przestrzeni publicznej, co pozostałe aktywności – obywatelskie, społeczne, kulturalne. I podobnie jak te aktywności, sytuuje się opozycyjnie względem władzy politycznej i ekonomicznej. Władza stawia nas przed faktami dokonanymi, literatura przeciwstawia temu kontrfaktualność.

Czyli co?

Literatura może mieć charakter propagandowy, komercyjny, kontestatorski i wszelaki inny. Ale w każdej odmianie stanowi niebezpieczną grę z rzeczywistością, ponieważ literacki sposób powoływania światów do istnienia zdradza, że nasz świat istnieje na tych samych zasadach i podstawach: jest stwarzany przez różne konwencje.

Żyjemy w opowieściach. To one porządkują rzeczywistość społeczną, nadają sens działaniom, dają iluzję spójności. To one popychają do wojen. To one decydują o wyniku wyborów parlamentarnych czy prezydenckich. To z nich wyłaniają się konflikty między państwami czy między grupami społecznymi. Granice w dzisiejszym świecie wyznaczają nie racje, lecz narracje. Nie fakty, ale afekty.

Narracje rządzą. Co im może zrobić literatura?

Może ujawnić radykalnie nietrwały charakter naszej rzeczywistości. Ale niewiele dzieł czyni z tego dalszy użytek, czyli podejmuje grę z narzędziami stwarzania świata społecznego. Tak dzieje się w tekstach, które wymieniają całe słowniki, demontują dyskursy publiczne, proponują alternatywy w świecie rzekomo bezalternatywnym. W takich dziełach widzimy reguły powoływania światów do istnienia – widzimy, jak ze słów rodzą się państwa, klasy społeczne, rasy, płcie, tożsamości seksualne czy religie.

Wracamy do pytania, od którego zaczęliśmy...

Odpowiadam: nie, literatura nie zmienia świata. Zmienia opowieści, poprzez które możemy świat zmieniać. Proponuje inne porządki symboliczne, wprowadza alternatywne historie, rekonfiguruje mapy, nadaje nowe tożsamości jednostkowe i zbiorowe. Wpływa na rzeczywistość, wpływając na sposób opowiadania o rzeczywistości.

W czym ten wpływ się przejawia?

Zaczyna się od awantur o literaturę. Najważniejszą książką całego okresu po roku 1989 są „Sąsiedzi” Jana Tomasz Grossa. W sporze, który liczył dobrze ponad pół tysiąca artykułów i kilkanaście książek, nie wspominając o seminariach, konferencjach czy rozmowach medialnych, nie chodziło o zwykłą różnicę zdań, lecz o różnicę między ocaleniem i obaleniem całego porządku symbolicznego. Spierano się o kluczowe elementy polskiej tożsamości zbiorowej: o postawę wobec Żydów w trakcie Holokaustu, o małą ojczyznę, w której rzekomo harmonijnie współżyły społeczności polska i żydowska, o mit polskiej niewinności, o wpływ nacjonalizmu i katolicyzmu na zachowania zbiorowe. Z tego sporu wzięło się oficjalne, wdrożone przez IPN śledztwo, które potwierdziło zasadniczą zawartość książki Grossa. A zatem od książki do debaty, od debaty do procedury prawnej.

Więcej takich dzieł?

Pod względem siły rażenia nic chyba nie dorówna „Sąsiadom”. Ale tekstów wywrotowych znajdziemy więcej. Cofnę się do lat 70. i 80. i przywołam książki, które wywołały spory fundamentalne: „Zdążyć przed Panem Bogiem” i „Sublokator” Hanny Krall, „Cesarz” Ryszarda Kapuścińskiego, antologia „Nikt nie rodzi się kobietą” pod redakcją Teresy Hołówkó, „Biedni Polacy patrzą na getto” Błońskiego, „Nowoczesność i Zagłada” Zygmunta Baumana, „Weiser Dawidek” Pawła Huellego, „Rudolf” Mariana Pankowskiego.

O co się spierano?

Spór o książki Krall dotyczył nierówności polskiego i żydowskiego losu w czasie II wojny i po niej; debata dotycząca reportażu Kapuścińskiego krążyła wokół

słabnącej idei postępu i zależności każdej władzy od własnej formy estetycznej; dyskusja wokół książki „Nikt nie rodzi się kobietą” pokazywała, jak społeczeństwo konstruuje tożsamość kobiety; debata wokół eseju Błońskiego podważała mit naszej niewinności i skupiała się na polskiej obojętności, która w czasie Holokaustu pomogła Niemcom wymordować Żydów; dyskusja o powieści Huellego odsłaniała pustkę po nieobecnych Żydach, a także tajemnicę wyparcia z pamięci ich wcześniejszej obecności; spór o powieść Pankowskiego potykał się o skandaliczny przypadek niemieckiego żołnierza-dezertera czasów II wojny, homoseksualisty, który uwolnił się od normatywizmu narodowego i seksualnego i który żył pełnią życia.

W tym zestawie widać trzy kluczowe figury historii polskiej emancypacji – trzy podmioty pozbawione równych praw i społecznego szacunku: Żyda, kobietę i mniejszości seksualne. A ta moja lista nie wykroczyła poza lata 80...

Na czym polega emancypacja – pojęcie, które pojawia się w tytule Pańskiej książki?

To zbiorowe bądź indywidualne wyzwalanie się spod niesprawiedliwej władzy, kontroli i dyscypliny. W latach 70. w Polsce wyłoniły się różnorodne ruchy emancypacyjne, obejmujące zarówno sferę polityczną, jak i kulturową. To okres, w którym społeczeństwo zaczyna wyraźnie akceptować swoje wewnętrzne zróżnicowanie i poszukiwać metod koegzystencji w różnorodności.

A w polityce?

W polityce emancypacja objawiła się jako sprzeciw wobec systemu PRL-owskiego. Pojawiły się niezależne organizacje, a także autonomiczne formy komunikacji, takie jak niezależny obieg wydawniczy funkcjonujący poza państwową cenzurą. Równoległe do tych form rozwija się – patologiczna, wynikająca z rosnących niedoborów na rynku – gospodarka poza gospodarką, czyli handel towarowo-wymienny.

To historia dobrze znana.

Ale jeśli zmienimy nieco perspektywę na mniej centralną, okaże się, że lata 70. to także dekada emancypacji seksualnej. Rozgrywała się ona w ramach

→ heteronormy, nie przekraczała granic wyznaczanych przez „Sztukę kochania” Michaliny Wisłockiej, przybierała postać goliżny koncesjonowanej przez państwo, ale stopniowo z okładek czasopism i ekranów kin wkraczała do domów. W skromnym zakresie społeczeństwo zaczynało mówić o seksie, wyrażać swoje potrzeby, a także uzgadniać je po partnersku. Rozmiar apetytu na jawne mówienie o seksie można było dostrzec w roku 1983, kiedy erotyczna powieść Zbigniewa Nienackiego „Raz w roku w Skiroławkach” stała się lekturą ponad podziałami politycznymi.

Tu już jesteśmy blisko popkultury.

Bo na uboczu emancypacji wielkiej w latach 70. i 80. przebiegało również wyswobadzanie się kultury popularnej spod protekcyjnej kontroli kultury wysokiej. Sporą rolę odegrała tu państwowa polityka kulturalna, coraz obficiej nasycająca programy telewizyjne rozrywką. Ale na tamtą dekadę przypada również ciekawy proces osiągania autonomii przez polską fantastykę. Miłośnicy fantastyki tworzyli kluby czytelnicze, organizowali dyskusje o książkach, sporządzali własne tłumaczenia i rozprowadzali kserokopie. W kręgach „fantastów” już w latach 70. myślano o czasopiśmie i nagrodzie literackiej. Czasopismo „Fantastyka” powstało w roku 1982, a nagrodę ufundowano w roku 1985. Stworzono więc warunki, które pozwalały samodzielnie nadawać prestiż literaturze SF – bez oglądania się na kulturowe centrum.

Intensywna dekada.

Krótko mówiąc: lata 70. i 80. to wielość procesów emancypacyjnych. Miały różną widzialność i siłę. I napotykały różne reakcje: protesty przeciw ustrojowi politycznemu były brutalnie pacyfikowane przez władzę, żądania emancypacyjne kobiet były delegitymizowane. Jedne działania miały charakter masowy, inne – skromny. Ale istotna wydaje mi się ich równoczesność i zróżnicowanie.

Co stało się później z tym zróżnicowanym ruchem?

W połowie lat 80. nastąpiła kulminacja. Polegała ona na tym, że niemal wszystkie dążenia emancypacyjne wypracowały sobie środki komunikacji, mniejsze czy większe płaszczyzny dysku-



ADRIAN WYKROTA / MATERIAŁY PRASOWE UAM

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

(ur. 1962) jest jednym z najwybitniejszych współczesnych krytyków literackich. Wykładowca Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, laureat Nagrody im. Kościelskich i Nagrody im. Kazimierza Wyki. Właśnie wydał kolejną panoramę literatury polskiej – „Rozbieżne emancypacje” Wydawnictwa Literackiego.

Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976-2020

Przemysław Czapliński to zarówno podręcznik historii literatury ostatnich 40 lat, jak i krytyczny esej, który zmienia nasze spojrzenie na współczesną polską prozę. Podobnie jak we wcześniejszych publikacjach („Efekt bierności”, „Powrót centrali”, „Polska do wymiany”), autor traktuje twórczość pisarską przede wszystkim jako działalność społeczną. Według niego literatura odbija konkretne zjawiska i procesy historyczne, a jednocześnie reaguje na nie, tworząc nowe przestrzenie dla działań społecznych – stąd tytułowe emancypacje (np. wyzwolenie polityczne spod systemu PRL, emancypacja seksualna przełamująca tradycyjne

schematy, walka o równouprawnienie kobiet oraz mniejszości etnicznych i seksualnych, a także wyzwolenie kultury popularnej spod protekcyjnej kontroli). Jak pisze we wstępie, „literatura to nieustanna (choć rzadko skuteczna) interwencja w społeczną komunikację”.



Od sporów o definicję prawdy z końca lat 70. po współczesne debaty geopolityczne, Czapliński pokazuje, że literatura jest kluczowym medium do zrozumienia naszej rzeczywistości. © PWS

sji i metody działania. Antykomunizm, feminizm, antyklerykalizm, ruch punkowy, anarchizm i inne działały niezależnie od siebie, ale współtworzyły ważny moment historyczny – moment anomii. Różne grupy z różnych pozycji kwestionowały podstawy dotychczasowego porządku.

Spółczesność rozpoznawała zatem swoje zróżnicowanie i związane z tym nierówności – przede wszystkim między światem męskim i kobiecym, polskim i żydowskim, hetero- i homoseksualnym. A dzieła kultury kontestowały dotychczasowe warunki, pokazując, że polskie społeczeństwo, niezależnie od reżimu politycznego, było opresyjne w stosunku do kobiet, mniejszości etnicznych i seksualnych.

Coś z tego wynikało?

Literatura stawiała w ten sposób czytelników przed koniecznością wymyślenia innego dalszego ciągu. Bo dotychczasowe przebiegi historyczne nieodmiennie kończyły się podtrzymaniem dyskryminacji albo paroksyzmem przemocy wobec podmiotów mniejszościowych. To bilansowanie polskiej nowoczesności trwa mniej więcej do połowy lat 90. Umownie: od „Sublokatorów” Hanny Krall do „Absolutnej amnezji” Izabeli Filipiak, od „Początku” Andrzeja Szczypiorskiego do „Hanemanna” Stefana Chwina, od „Rudolfa” Mariana Pankowskiego do „Al fine” Grzegorza Musiała, od „Ciała niczyjego” Krystyny Kofy do „Tao gospodyni domowej” Kingi Dunin. Był w tych tekstach coś z zachęty do poszerzenia komu-

nikacji, do złamania reguł dyskursu, do zakłócenia mechanizmów reprodukcji system niesprawiedliwej przewagi.

Jednak w pierwszej połowie lat 90. wyobrażenie innego społeczeństwa – domagającego się równych praw dla wszystkich grup mniejszościowych – zaczyna słabnąć. Ścieżki emancypacyjne zaczynają się rozchodzić.

Kto to sprawił?

Pomiędzy rokiem 1989 i 1993 r. powstał w Polsce bardzo wąski wariant demokracji liberalnej. Wyznaczały go cztery siły: Kościół, prawo własności, norma heteroseksualna i stosunek do środowiska naturalnego. W stosunku do Kościoła katolickiego pojawił się cały pakiet preferencji: podpisano konkordat, wprowadzono religię do szkół publicznych, uchwalono funkcjonowanie komisji ds. zwrotu majątku kościelnego, której decyzje nie podlegały zaskarżeniom. W odniesieniu do własności prywatnej uruchomiono ustawę reprivatyzacyjną, natomiast ciało kobiece poddano zwiększonej kontroli przegłosowując zaostrzoną ustawę antyaborcyjną. To ostatnie nastąpiło wbrew najpotężniejszej fali protestów społecznych – w 1993 r. zebrano ponad milion podpisów przeciwko inicjatywie sejmowej. Agnieszka Graff w książce „Świat bez kobiet” napisała, że młoda demokracja wybrała ciało kobiece jako obszar samostanowienia władzy.

Historia stanęła?

W ciągu czterech lat ustanowiono porządek quasi-demokratyczny. Zakrycie PRL-u pozwoliło wyprzeć plebejskie pochodzenie większości i uzasadniło osłabienie opiekuńczych funkcji państwa;

Literatura potrafi łączyć zjawiska:

zmiany klimatu, masowe migracje i nierówności ekonomiczne. Ułożyła z nich taki scenariusz: końca świata nie będzie, tylko postępujący rozpad państwa i społeczeństwa.

fetyszycyzacja własności prywatnej doprowadziła do ograniczenia praw pracowników; konkordat zagwarantował Kościołowi uprzywilejowane miejsce w walce politycznej i ekonomicznej; ustawa antyaborcyjna zredukowała prawa kobiece, a w dalszej perspektywie zablokowała możliwość legalizacji związków partnerskich nawet w przypadku par hetero, więc tym bardziej par jedнопłciowych. Natomiast brak prawnych zabezpieczeń natury prowadzi do dewastacji środowiska – do eksploatacji ziemi, przekształcania zwierząt w mięso, zatrutowania wód, ziemi i powietrza.

To właśnie rozdrabnia emancypację?

Desolidaryzuje społeczeństwo we wszystkich kierunkach. Nie od razu było to widać, ale w połowie lat 90. słabnie nadzieja na stworzenie porządku ustrojowego, w którym równość praw i szans obejmie obie płcie, różne tożsamości

seksualne, różne tożsamości etniczne, a także pracowników. Rozpad tej nadziei powoduje, że poszczególne ruchy emancypacyjne działają osobno: ruch na rzecz praw pracowniczych, na rzecz świeckości państwa, ruch feministyczny, niehetero, ekologiczny... nie maszerują razem. Żaden z tych ruchów nie może też liczyć na poparcie trwałej większości społecznej.

Możliwy jest jeszcze powrót do wspólnej wyobraźni?

Obawiam się, że nie. I obawiam się, że tak.

Czyli?

Pierwsza obawa związana jest z tym, że w polskiej kulturze – podobnie zresztą jak w kulturach innych społeczeństw europejskich – rozpadła się większość wyobrażona. Nie chodzi o większość mającą identyczne myśli i marzenia. Chodzi o większość wyobrażającą sobie i akceptującą własne zróżnicowanie. Zarys takiej większości wyobrażonej wyłonił się na przełomie lat 70. i 80. Było to wyobrażenie społeczeństwa, które coraz pełniej zdaje sobie sprawę z własnej niejednolitości. Wyobrażenia przekraczała różne interesy i tożsamości, opowiadając się po stronie stopniowego wyrównywania praw wobec grup mniejszościowych. Ta większość wyobrażona rozpadła się, ponieważ znaczna część społeczeństwa nie akceptuje dziś równouprawnienia, a coraz większa część społeczeństwa kwestionuje demokrację. Nietrwałość władzy sprawowanej przez najsilniejsze ugrupowania polityczne w Polsce wywodzi się stąd, że partie mogą odwołać się wyłącznie do własnych elektoratów, a nie do większości wyobrażonej.

→

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. MSN W WARSZAWIE

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK SPECJALNY

Bezformie Przenicowany świat Tworzywa sztuczne Realizm i sztuka zaangażowana

Jedyny taki przewodnik po kolekcji Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 19 LUTEGO



→ A obawa druga – że wspólna wyobraźnia jest jednak możliwa?

Jeśli potraktujemy literaturę poważnie, to okaże się, że takie uwspólnienie wyobraźni nastąpi dopiero w warunkach katastrofy. Wiele lat temu Fredric Jameson powiedział, że łatwiej wyobrazić sobie koniec świata, niż koniec kapitalizmu. Sprawy uległy jednak pogorszeniu: dziś łatwiej wyobrazić sobie koniec kapitalizmu niż dowolną przyszość bez katastrofy.

O jakiej skali mówimy?

Nie, nie chodzi o katastrofę ostateczną – apokalipsę, koniec świata, zagładę planety. To, co najgorsze w przyszłości, polega właśnie na tym, że końca świata nie będzie. Czekają nas coś gorszego od końca świata. Czyli odwrócony Hitchcock: najpierw nie dojdzie do katastrofy, a potem napięcie będzie rosło.

Co to za niekatastrofa gorsza od końca świata?

Przewlekły rozpad struktur życia zbiorowego. Czyli społecznych zasad współżycia i publicznych instytucji.

Wcześniej rozmawialiśmy o społeczeństwie, teraz przechodzimy do państwa. Odległe wątki zaczynają się łączyć.

Idę tu za polską prozą, która dość wcześnie zaczęła dodawać kryzys klimatyczny do słabnięcia więzi społecznych. Stąd wyłoniła się arcyciekawa hipoteza fabularna, która mówi, że skutki zmian klimatycznych są zależne od społecznych zdolności samoorganizacyjnych i sprawności instytucji państwowych. Czyli: rozmiary katastrofy są zależne nie od siły trzęsienia ziemi (długotrwałości suszy / wielkości opadów...), lecz od więzi społecznych i stabilności państwa.

Kto w polskiej literaturze to opisał?

Odwołać się tu można do wielu tekstów: „Blackout” Marca Elsberga, „WySPA” islandzkiej pisarki Sigríður Hagalín Björnsdóttir, „Czarne słońce” Jakuba Żulczyka, „Polska 2.0” Jacka Ingłota, „Plankton” Mariusza Sieniewicza, „Ale z naszymi umarłymi” Jacka

Dehnela, „Siwy dym” Ziemowita Szczepka, „Potop” Salci Hałas.

Kiedy ci prozaicy dodali wątek postępującej desolidaryzacji do kryzysu klimatycznego, wyszło, że 1+1 nie daje 2. Więcej albo mniej, ale nigdy 2. Czyli: solidarne społeczeństwo rozpadnie się pod naporem klęsk żywiołowych w przypadku niewydolnego państwa, a sprawne państwo zamieni się w dyktaturę, jeśli kłopoty klimatyczne dotkną niesolidarnego społeczeństwa.

Czyli dobrych wariantów nie ma.

Raczej nie. Najistotniejsze jednak wydaje mi się, że z literatury wyłania się hipoteza nowego ustroju politycznego. Nazwałbym go demokracją stanu wyjątkowego. Polega on na tym, że władza równocześnie utrzymuje legitymację demokratyczną i sięga po prerogatywy stanu wyjątkowego. Czyli rząd nie wprowadza stanu wyjątkowego, ale korzysta z jego uprawnień do ograniczenia praw obywatelskich, a jednocześnie manipulując wolnościami odwołuje się do woli społecznej. Dysponuje poszerzonym zakresem władzy, ale nie podlega kontroli konstytucyjnie przewidzianej dla stanu wyjątkowego.

Aż głupio byłoby teraz pytać o nadzieję.

Wartością literatury, która przedstawia takie scenariusze nieodległej przyszłości, jest łączenie zjawisk. Pisarze uwzględniają zmiany klimatu, masowe migracje z globalnego południa, utrzymujące się bądź rosące nierówności ekonomiczne. I wychodzi im właśnie to: końca świata nie będzie. To, co się pojawi, będzie postępującym rozpadem państwa i społeczeństwa. Proces ów silniej uderzy w kraje globalnego Południa niż w kraje Północy, w ludzi uboższych bardziej niż w majątnych, w kobiety silniej niż w mężczyzn, w dzieci mocniej niż w dorosłych.

Jeśli nie uczynimy natury częścią republiki, natura rozwali republikę. I wtedy demokracja liberalna zamieni się w demokrację stanu wyjątkowego, która będzie powoływać się na pandemię jako rację dla manipulowania prawami obywatelskimi.

© TP Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Kwas dla mas

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

W teatrze miała być rewolucja, która polskie symbole zrówna z ziemią. Nic z tego. Zamiast niej mamy osobistą politykę, którą możemy uprawiać na własną odpowiedzialność, bez oglądania się na władzę. Oto jej najlepsze przykłady.

PUNKTEM ZWROTNYM W DZIEJACH najnowszego teatru polskiego wydawała się najpewniej premiera „Kłątwy” Olivera Frljicia w Teatrze Powszechnym w Warszawie, 18 lutego 2017 r. Tyle że po ośmiu latach nie jestem wcale pewien, na czym ten zwrot polegał.

Kiedyś myślałem, że po wszystkim, co się wokół tego spektaklu wydarzyło, otworzą się nowe perspektywy polskiego teatru politycznie zaangażowanego. Dziś myślę, że stało się odwrotnie – po wywołanej przez to przedstawienie burzy polski teatr wycofał się na z góry upatrzone pozycje. Mniejszą rolę w tym odwrócenie odegrały gwałtowne protesty i gniewne reakcje konserwatywnej części sceny politycznej, a większą – obawy samego środowiska przed mocnymi środkami, szarżami i szturmami, oraz związaną z nimi przemocą, choćby tylko symboliczną. „Kłątwa” eksplodowała i wysadziła w powietrze teatr demonstracyjny prowokacji, krzyku, ekspresjonistycznego ekshibicjonizmu i pił łańcuchowych dokonujących egzekucji na symbolach.

Agnieszka Jakimiak i Mateusz Atman znajdowali się w samym oku tego cyklonu. Ona była jedną z trojga osób odpowiedzialnych za dramaturgię „Kłątwy”, on pracował jako asystent reżysera. Dziś, po latach, obserwując ich wspólną pracę mam wrażenie, że to oni właśnie wyciągnęli z tego doświadczenia najciekawsze i najdalej idące wnioski. Zamiast podkładać ogień i inicjować wybuch, ich teatr ma działać jak swoista krioterapia.



HAWA / MATERIAŁ PRASOWY TEATRU IM. JARACZA W OLSZTYNIE

Scena ze spektaklu „Susan Sontag”, reż. Agnieszka Jakimiak i Mateusz Atman, Teatr im. Jaracza w Olsztynie, premiera 18 października 2024 r.

Krioterapia

Jako dramaturżka i dramatopisarka Agnieszka Jakimiak już wcześniej, zwłaszcza w przedstawieniach zrealizowanych z Weroniką Szczawińską, z którą współpracowała stale przez kilka lat, stworzyła charakterystyczny, mocno intelektualny i konceptualny styl o obniżonej temperaturze emocjonalnej. Cechowało go analityczne podejście do tekstów i tematów, powiązane z precyzyjną choreografią.

Ten charakter w pewnym stopniu zachowują i rozwijają ostatnie przedstawienia duetu Jakimiak-Atman, które choreograficzną eseistykę łączą z zaangażowaniem w głęboko rozumianą politykę. Spektakle takie jak „Chamstwo” według Kacpra Pobłockiego (Wrocławski Teatr Współczesny, 2023) mierzą się z procesami i zagadnieniami, które istotnie kształtują relacje i sposoby postępowania w przestrzeni publicznej, a którymi nie zajmują się nasze tragifarsy w postaci partyjnych wojenek. W przypadku „Chamstwa” chodzi nie tyle o wypartą pamięć państwu, ile o wypracowane pod jej batem taktiki współpracy i solidarności, które sprawiają, że możemy z powodzeniem przetrwać nawet najgłupszy sezon partyjnego sitcomu, odgrywanego na scenie państwa. My, chamy, i tak wiemy, że „król jest nagi”.

Ich teatralne przypomnienie, a wręcz – sceniczne badanie i rekonstrukcje mają nie tylko dać możliwość innego spojrzenia na przeszłość, ale też zachęcić do wprowadzania jej w obszar własnej, czasem intymnej codzienności. Takim przypomnieniom poświęcone były dwa łódzkie przedstawienia Jakimiak i Atmana: „Miła robótka”, wyprodukowana wprawdzie przez Teatr Fredry w Gnieźnie, ale we współpracy z festiwalem Łódź Czterech Kultur (2022), oraz „Mój pierwszy rave” (Teatr Nowy, 2023). Oba zwracały się ku latom 90., by w ich przedziwnym płataninie kulturowej odnajdywać tak zaskakujące alternatywy dla współczesności, jak raczkujący przemysł pornograficzny czy imprezy techno. W obu słowo i ciało spotykają się w zaskakujących miejscach, oświetlają wzajemnie ze zdziwieniem i zaczynają dostrzegać niespełnione a fascynujące możliwości.

Zdjęcia

Nazwiska Susan Sontag i Aldousa Huxleya, patronujących dwóm nowym premierom zrealizowanym przez duet w tym sezonie, wytyczają nowy kierunek poszukiwań.

W przypadku „Susan Sontag” z Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie (2024) materiałem podstawowym jest oczywi-

ście biografia tytułowej bohaterki, ukazywana w zestawionych ze sobą wersjach: oficjalnej i nie. Ostentacyjnie stereotypowo. Pierwsza wersja jest przedstawiana jak prezentacja przygotowana na seminarium licencjackie z głównych zjawisk kultury współczesnej: kolejne szczyble kariery, tytuły najlepiej znanych książek, kilka cytatów, szybko zainscenizowane formy aktywności publicznej pisarki: od protestów przeciwko wojnie w Wietnamie po czynne wsparcie dla oblężonego Sarajewa.

Biografia intymna, rzeczywiście długo ukrywana przez Sontag, jest wprawdzie opowiadana wolniej i dokładniej, ale też z jakimś rodzajem wymuszenia – jawnie inscenizowana przez prowadzącą całość reżyserkę-narratorkę (Marta Markowicz), pod której kierunkiem zespół na czele z grającą Sontag Mileną Gauer aranżuje kolejne sekwencje odwołujące się do fotografii pisarki od jej nastoletniej młodości do zdjęć pośmiertnych, przejmująco komentowanych przez Agnieszkę Gize-Gradowską, wcielającą się na ten moment w Annie Leibovitz, życiową partnerkę Sontag.

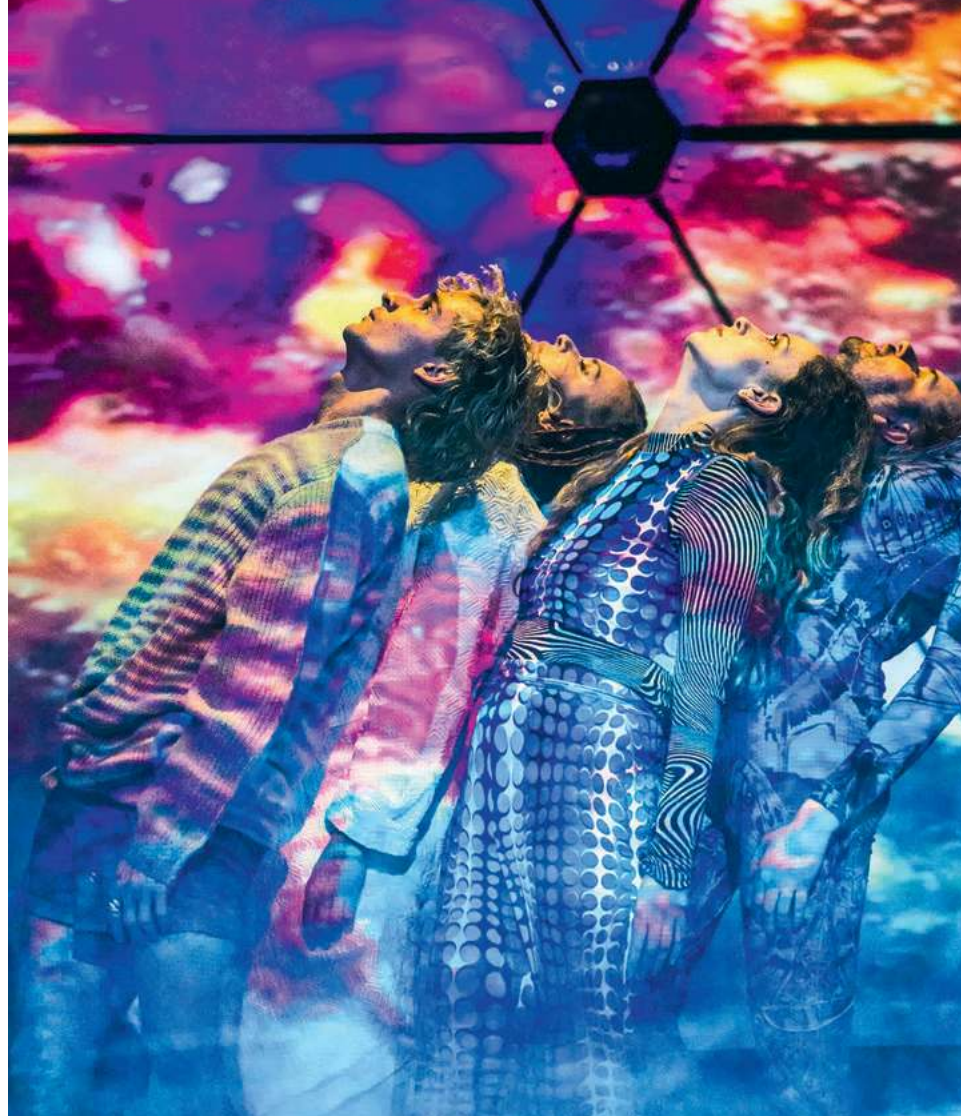
Szkielet kompozycyjny przedstawienia wyznaczają właśnie zdjęcia, klisze pamięci, uwieczniające i uśmiercające to, co żywe. Takie ich rozumienie i teatralne

→ użycie to oczywiście nie jest żadne odkrycie – Roland Barthes, Georges Didi-Huberman (sama Sontag oczywiście też) i Tadeusz Kantor już wiele lat temu wyprawiali z przemyslenia fotografii daleko idące konsekwencje intelektualne i sceniczne, rozpracowali i rozegrali jej specyfikę z niedościągłą subtelnością i mistrzostwem. Tego nie da się już użyć jako inspirującej i zaskakującej nowości. To da się tylko zacytować jak pewien zestaw gotowych chwytów.

W efekcie krytyczno-biograficzne zderzenie nie stanowi spodziewanej konfrontacji oficjalnego ze skrytym. Prezentacja spotyka tu prezentację – naiwnością byłoby twierdzenie, że druga niesie jakąś prawdę, którą zestawienie z pierwszą ma odsłonić, jednocześnie kompromitując to, co „oficjalne”. Cały ten zestaw strategii, dobrze znanych, wielokrotnie wykorzystywanych w licznych w teatrze ostatnich dekad przedstawieniach biograficznych, jest w olsztyńskiej realizacji wzięty w nawias jawnej sztuczności.

W najważniejszych scenach „Susan Sontag” – tych, w których okazuje się, że tak naprawdę nie chodzi o biografię amerykańskiej intelektualistki, ale o ludzi znajdujących się tu i teraz – na scenie i na widowni. Wówczas do głosu dochodzi ciało – zarówno mówiące, jak i poruszające się, pozujące, także pozujące do fotografii. Twórcy w nocy o przedstawieniu proszą, żeby nie uprzedzać, co się w nim wydarza, nie opowiadać i nie opisywać tych właśnie najważniejszych scen. W pełni rozumiem tę prośbę i stosuję się do niej, bo nie o suspens tu chodzi i nieuprzedzanie wypadków, ale o to, żeby nie formatować doświadczenia bezpośredniego słowami, które nieuchronnie będą moje, a wypowiedziane i zapisane wezmą, co bezpośrednie, w cudzość. Powiem więc tylko i aż tyle, że to, co i jak robią na scenie osoby aktorskie, budzi najwyższy szacunek. I dodam jeszcze, że cały eseistyczno-seminaryjny zestaw wypowiedzi na temat twórczości i życia Sontag służy zespołowi jako scenografia, w której zaistnieć mogą zrywające całkowicie z powierzchowną pośpiesznością sekwencje zdjęcia kostiumów, ról i wizerunków. To one są w tym spektaklu najważniejsze, to ku nim ono prowadzi.

To w tych scenach przejawia się najważniejsze przesłanie przedstawienia: po-



trzeba nam alternatywnej polityki osobistej. Alternatywnej właśnie dlatego, że osobistej. Polityka ta nie zdejmuje z nas odpowiedzialności za życie i jego kształt. Przeciwnie – nadaje jej szczególną wagę, niezależnie od tego, jak silna jest opresja dominującej narracji zbiorowej. Wyłamać się z jej reguł, stworzyć własną przestrzeń, nie usprawiedliwiać się niemocą i nie zwalniać z prawa do siebie i swojego sposobu przeżywania życia i realizacji pragnień – to właśnie cel nowej polityki osobistej, dzięki której odświeżonych znaczeń i wartości nabiera i ten wyświechtany komunał – że teatr jest przestrzenią wolności.

Chór grzybków

W najnowszej premierze duetu, „Drzwi percepcji” (Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach), przedstawienie przemienia się wręcz w rodzaj pozasłownego doświadczenia pozytywnego, uspokajającego i afirmatywnego. Odnosi się ono do psychodelii, czyli (jak przypomina się ze sceny) ujawnienia ducha, wymagającego

oderwania od tego, co zwykliśmy nazywać rzeczywistością.

Przedstawienie zaczyna się niespodziewanie i wspaniale – tak wspaniale, że znów nie powiem jak, żeby nie popsuć komuś przyjemności. Po wywołującym entuzjazm początku zostajemy zabrani przez prowadzącego całość, znakomitego Marcina Bernacika w podróż przez coraz konsekwentniej rozmywane konwencje. Jej pierwszy etap to zabawna, choć dość przewidywalna parodia debat na „kontrowersyjne tematy”. Tym razem dyskusja dotyczy psychodelików, związanych z nimi pożytków i zagrożeń oraz pytania o możliwość ich legalizacji. Debatę jest dynamiczna, uczestniczą w niej osoby reprezentujące wyraziste typy, których odgrywanie sprawia czwórce aktorskiej (Ewelina Gronowska, Anna Antoniewicz, Dagna Dywicka, Mateusz Plata) stosunkowo mało trudności i wyraźną frajdę. Przy okazji zaś udaje im się przekazać całkiem sporo informacji na temat tej grupy środków psychoaktywnych i połączyć zabawę z pedagogiką.

Z czasem jednak emocje narastają, konwencje i konwenanse trzeszczą, aż prowadzący debatę traci kontrolę nad przebiegiem zdarzeń. Po gniewnym wyjściu pozostałych zostaje na scenie sam, załamany swoją nieudolnością i rozpoczyna monolog wewnętrzny, który stopniowo coraz bardziej się od niego odkleja i oddala, przechodząc od słowa do ciała i przemieniając się w proces psychodelicznej terapii. W części trzeciej poddawani jej jesteśmy wszyscy. Nie, nikt nikomu nie serwuje żadnych grzybków. Zamiast nich teatr zamienia się w sztuczny (czyli stworzony środkami sztuki) raj – choreograficzno-wizualny seans na aktorskie ciała, wielobarwne projekcje, muzykę, zakończony wspólnym graniem na grzybach, do którego zapraszana jest też widownia.

Przedstawienie jest lekkie, miękkie i ciepłe jak szalik z kaszmiru. Nie atakuje, ale zaprasza, a przede wszystkim – zdaje się starać o to, żeby stało się lepiej, żeby odpuścić, wyłuzować, otworzyć, co zaciśnięte. Takie doświadczenie rozwijane w azylu czasu, który jest możliwy dzięki najprostszym konwencjom teatralnym, gromadzącym w jednym miejscu i czasie ludzi gotowych coś przeżyć. Zapewne część z nich była skonfundowana brakiem akcji, historii, charakterów i innych atrakcji, jakich zwykle oczekuje się od miejsca, w którym „wystawia się sztuki”. Ale wiem też, że były osoby, którym ta próba z teatru transformacji przyniosła radość i ukojenie tak im potrzebne, że zaraz po wyjściu z sali obiecywali sobie przyjść jeszcze raz.

Komentując swoją pracę, Jakimiak i Atman przewrotnie przerabiają znany slogan Lenina o religii jako opium dla ludu, na definicję sztuki jako „kwasu dla mas”. Nie ucieczki, ale uwolnienia – z żelaznego uścisku rzekomo twardej rzeczywistości, która chce nas przekonać, że nic nie możemy na nic poradzić. Jest przy tym znaczące i ważne, że duet instaluje taki teatr osobście polityczny w miejscach dalekich od Warszawy. Nawet jeśli to wynik okoliczności, a nie wyboru, to bezkompromisowość, z jaką Jakimiak i Atman pracują na scenach niemetropolitalnych, nadaje ich przedstawieniom szczególne znaczenie. Powoduje to wprawdzie, że trzeba się nagimnastykować, by zobaczyć ich kolejne realizacje, ale dzięki temu przestrzeń zaskakującej wolności zostaje zaszczerpiona właśnie tam, gdzie nie zamienia się w towarzyskie pogawędki, gdzie jest po prostu szczególnie skuteczna.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Lektor: Literatura w przemianach



■ Jacek Łukasiewicz
KROK I RYTM. WYBÓR SZKICÓW

Wybór opracowanie i posłowie
Paweł Mackiewicz.

Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2024,
ss. 576. Seria Sztuka czytania.

BYŁ JEDNYM Z NAJSUMIENIEJSZYCH I NAJUWAŻNIEJSZYCH krytyków literackich po Październiku '56 – a równocześnie wybitnym, choć chyba niedocenionym poetą. Wnikliwą lekturę poszczególnych tekstów – niestrudzenie przecież recenzował nowości, zwłaszcza na łamach wrocławskiej „Odry”, a także „Tygodnika”, z którym współpracował od schyłku lat 50. – Jacek Łukasiewicz (1934–2021) łączył z umiejętnością syntezy, opisu przemian społecznych poprzez literaturę, a także oddziaływania na nią polityki, z szerokością widzenia wspólnoty, jaką tworzy polska kultura, z nieoczywistym rozumieniem znaczenia tradycji.

Książka teraz wydana pokazuje właśnie przede wszystkim Łukasiewicza-eeseistę o rozległych horyzontach, a przy tym mistrza lapidarnego i trafnego definiowania pewnych zjawisk w samym już tytule. Świetnym przykładem jest „Republika mieszańców” – napisany przez 23-letniego (!) autora i opublikowany w inauguracyjnym numerze „Więzi” szkic o Teodorze Parnickim. Wielki pisarz, którego dzieło wznosi się w pejzażu polskiej literatury niczym monumentalna i trudno dostępną budowlą (*nota bene* oficyna Noir sur Blanc wznosiła właśnie „Tylko Beatrycze”), był dla Łukasiewicza jednym z najważniejszych punktów odniesienia.

„Zagłoba w piekle”, „Szmaciarze i bohaterowie”, „Laur i ciało”, „Rytm, czyli powinność”, „Oko poematu” – jakież to świetne zapowiedzi tego, co w omawianych książkach znajdziemy! „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka, odwilżowa bomba zdetonowana latem 1955, i „Sztuczne oddychanie” Stanisława Barańczaka, krążące w odpisach w latach 70., to rzeczywiście utwory-oczy, dające wgląd w swój czas. Podobnie zresztą jak szkic samego Łukasiewicza „Jeden dzień w socrealizmie”...

Są w tym tomie pisarze, do których autor często wracał, a czasem poświęcał im większe prace: Mieczysław Jastrun, Tadeusz Różewicz, Zbigniew Herbert, Miron Białoszewski, przyjaciel Łukasiewicza Stanisław Grochowiak (w szkicach o nim mocno wybrzmiewa ton autobiograficzny). Zamknięciem jest fragment nieukończonej książki o Mickiewiczu. Stanowi więc „Krok i rytm” przegląd dorobku krytyka i historyka, a zarazem ilustrację metody, jaką stosował, by uchwycić istotne przemiany w literaturze się dokonujące. Był bowiem obserwatorem czujnym i wytrwałym. © TP

HAWA / MATERIAŁ PRASOWY TEATRU IM. ŻEROMSKIEGO

Scena
ze spektaklu
„Drzwi
percepcji”,
reż. Mateusz
Atman,
Agnieszka
Jakimiak, Teatr
im. Żeromskiego
w Kielcach,
premiera
1 lutego 2025 r.

OLGA

Drenda:

Trzymaj się, Działdowo



MIAŁAM NARESZCIE POJECHAĆ DO DZIAŁDOWA. Wiedziałam, że łatwo tam dotrzeć, bo często podróżowałam pociągiem z Warszawy do Gdańska. W Działdowie zatrzymywało się nawet pendolino. Przyglądałam się z daleka miastu, które z okna pociągu przypominało bajkową ilustrację albo scenografię w teatrze lalek, i cieszyłam się, że je zupełnie niezobowiązująco zobaczę.

Teraz nie będzie to już takie proste, bo postój na stacji Działdowo wypadł z planu połączeń ekspresowych. Nie słyszę już znajomego komunikatu „planowany postój na stacji Ciechanów, Mława, Działdowo”. Co gorsza, nie słyszą tego komunikatu przede wszystkim regularni pasażerowie podróżujący tą linią, nie tylko przygodna wycieczkowiczka, jak ja. Psuje to radość z niedawno opublikowanych badań, w których polska kolej znalazła się w europejskiej czołówce.

Oczywiście wiem, że w takich sytuacjach powtarza się tyle mgliste i magiczne, co bezwzględne zakłęcie „rentowność”, i że decyzję dyktują liczby. Z punktu widzenia pasażera czy potencjalnego użytkownika kolei brzmi to jednak niestety jak „Warszawiak i gdańszczanin muszą zaoszczędzić trzy szczerzłote minuty na swoje bezcenne sprawy, działdowianin może poświęcić swój czas i nerwy”. Takich miejscowości, uznanych za niewarte inwestycji, jest więcej. W generalnym zamieszaniu ostatnich tygodni nietrudno przegapić takie informacje, jak protest mieszkańców Makowa Podhalańskiego.

skiego przeciwko wycofaniu postojów pociągów dalekobieżnych, choć wciąż jeżdżą one tą trasą. To zdumiewająco krótkowzroczne, bo takie ruchy, koniec końców, decydują o tym, na kogo oddaje się głosy.

Tak, jesteśmy krajem kierowców i entuzjastów motoryzacji. Sama lubię podróżować samochodem i ich wygodę; mają swoją jakość, której nie da się znaleźć w innych środkach lokomocji. Ale miarą rozwoju jest możliwość dotarcia, a potem wydobycia się z rodzinnej miejscowości na różne sposoby. Powiedzmy, że w rodzinie mamy jeden samochód, i tego samego dnia ojciec musi jechać z jakąś sprawą w jednym, a matka w innym kierunku. Z połączeniem kolejowym to żaden problem; bez – wyższa szkoła kombinowania. Oczywiście, ludzie będą sobie radzić, bo zawsze sobie jakoś radzą; będą wydawać setki na korzystanie z aplikacji taksówkowych, brać kredyty na kolejne auta, grać w szachy 5D, próbując opanować kolejne niewygodne i czasochłonne przesiadki. Ale naiwny jest ten, kto sądzi, że skoro sobie radzą, to się na to godzą, i że „jakoś” to to samo, co „do zaakceptowania”.

Skupienie się na kilku największych miastach, nawet nie szesnastu wojewódzkich, ale może połowie z nich, uważam za fatalny błąd kolejnych ekip politycznych, w który uparcie brniemy. Pozostałe miejscowości, uznane za mniej ważne, dosłownie znikają z pola widzenia. Nie chodzi jedynie o kolej. Nowoczesna Polska jest wspaniała, cyfrowa, lśniąca i ekspresowa, ale powstała dla największych. Te właśnie miasta połączone są linią kolejową z coraz mniejszą liczbą postojów oraz autostradami, z których nie widać nic oprócz stworzonego od zera krajobrazu, pustych przestrzeni, mostów, ścian gabionów. Autostrada czy kolej wielkomiejska mają nas doprowadzić do celu szybko, pomijając skreślone, wyrzucone na aut mniejsze miasta. Interesować się nimi będą tylko ci, którzy już tam mieszkają, albo raczej ci, którzy jeszcze się nie wyprowadzili.

Gdy w wielu powiatach uruchamiano ponownie połączenia wygaszone w koszmarnych dla infrastruktury wczesnych latach zerowych, ludzie świętowali, tłumnie przychodząc na stacje. Wcale się nie dziwię, i nie będę się dziwić również wtedy, gdy skreślą odpowiedzialnych za wycofanie połączeń. Próby odebrania odzyskanej godności wybaczyć się nie da. Rządzący będą kręcić głową ze zdziwieniem, że Polska nazywana lekceważąco „prowincjonalną” (interesujące, żywe, mające wiele do zaoferowania miasta, w tym były miasta wojewódzkie) już ich nie lubi. W tym wyborcy ekswielskiej, którzy w pandemii zainwestowali w spokojniejsze życie poza centrum i widzą, że dali się nabrać.

Tymczasem trzymaj się, drogie Działdowo.

©

Najbliżej
Działdowa
do tej pory
(czyli Mława)



OLGA DRENDA

Olga Drenda jest etnologką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo: Heretyckie kluski



OŚMIU ICH BYŁO, STRACHU NIE ZNALI, pycha wszechwiedzy trawiła ich trzewia. Ruszyli podobno upiornym korydorem do Rzymu, na zmianę dźwigając dymiący kocioł. Jednak na cesarskim szlaku przez Alpy, gdzieś po drodze w lodowatych górach, słuch po

nich zaginął, więc nikt nie będzie się wtrącał babciom na Zatybrzu, gdy pewną ręką kładą *cacio e pepe* na talerze wnucząt. Obowiązkowo bosych, w podartych portkach, bo tego oczekują goście odwiedzający skansen imienia Vittoria De Siki. Kradzież roweru wliczona w cenę biletu.

Ale wróćmy na północ. Towarzystwo im. Maksa Plancka to jedyna europejska instytucja łapiąca się do poważnych światowych rankingów. Kiedy jeszcze sto lat temu nosiło imię kajzera Wilhelma, w jego władzach zasiadali ludzie pokroju Alberta Einsteina i Fritza Habera. Jego instytuty to szanse, gdzie ludzki umysł będzie się dłużej bronił przed sztuczną inteligencją. Na przykład „fizyka złożonych systemów” wciąż potrzebuje żywych geniuszy. Zatrudnia ich placówka w Dreźnie.

Zdaje się, że zrozumieli całą złożoność systemów Wszechświata, skoro w godzinach pracy zajęli się modelowaniem termodynamicznym makaronu *cacio e pepe*. To danie jest metaforą naszych niespełnień. Przepis niby prosty, składniki ledwo trzy i łatwo dostępne, narzędzia banalne, kilka nieskomplikowanych ruchów. Tylko, do jasnej rzymskiej cholery, granica między jedwabistym, sycącym daniem a glutem, który będzie się długo odbijał, jest nieuchwytna, nawet doświadczenie czasem zawodzi.

Dlatego ośmiu fizyków pod egidą Plancka postanowiło rozpracować złożony system kluskowy. Że sekret tkwi w stabilnej emulsji z sera i skrobi, już dawno mówili kucharze o zacięciu analitycznym. Ci z Dreznia – sami Włosi, dumni dziedzice Leonarda – zakupili pół kilo pecorino oraz paczkę spaghetti, po czym zbudowali laboratorium z garnka, deski, aparatu do *sous vide* oraz tekturowego pudła i prywatnego smartfona na stojaku do selfie. Zaczęli w nim rejestrować zachowanie drobin sera zanurzonych w wodzie w zależności od jej temperatury oraz zawartości skrobi w teście. Kolejne etapy rozwijania się łańcuchów białek serwatkowej i kazeiny (co profani zwą topieniem się sera) oraz

ich nagłe łączenie – czyli powstawanie glutów, zobrazowali na tzw. wykresie fazowym.

Na takich wykresach, jeśli pamiętacie ze szkoły, znajduje się tzw. obszar współistnienia (przepiękna nazwa! szkoda, że termodynamika nie rządzi polityką), i tam, w wąskim jak nitka makaronu paseczku zbiegają się wszystkie parametry idealnego *cacio e pepe*. W obawie, by ich praca nie przepadła w piwnicach instytutu, badacze wyłożyli konkluzje prostym językiem. Skrobi musi być od 2 do 3 proc. wagowo w stosunku do sera, to podstawa.

Jak w domu zmierzyć, ile skrobi mamy w garnku (co zależy np. od gatunku makaronu) i ile jej przejdzie do sosu, gdy będziemy mieszać kluski z serem? Na końcu artykułu jest „naukowy”, niezawodny przepis. Emulsję badacze radzą przygotować osobno, nie na patelni z kluskami. Odmierzyć wodę do garnuszka, dosypać określoną dawkę mąki ziemniaczanej (jest wzór), podgrzać i dodać ser. Taka emulsja po ponownym podgrzaniu dania nie zwarzy się ani nie zgęstnieje.

Nie pierwszy to raz, gdy nauka obiecuje przeprowadzić nas ku świetlistej łące, a potem idziemy ścieżką na skróty przez boczną furtkę do śmietnika. Robienie sosu w garnuszku, w dodatku z „obcą” skrobią, nie tą z klusek, jest herezją! Nie zakładam, że to niejadalne. Skrobia czyni cuda i jest skrytą kochanką każdego kucharza, ale zwykle zamula smak. Nie dziwota, że magicy z Dreznia nie mieli na razie odwagi pokazać się z tymi sztuczkami w ojczyźnie.

Udawane purée ziemniaczane



Psst, chcecie zrobić *cacio e pepe* po bożemu, ale się boicie? Oto chemiczna sztuczka: dodajcie cytrynianu sodu, to skuteczny antykoagulant. Ale ostrożnie, bo kwaśny! My tymczasem, skoro tyle było o skrobi, zajmijmy się inną herezją: purée ziemniaczanym bez masła i mleka!

Składniki: 0,5 kg ziemniaków

▪ skórka z 1 cytryny ▪ liść laurowy

▪ rozmaryn i/lub jałowiec ▪ pieprz ▪ oliwa

Ocieramy ziemniaki i kroimy na małe kawałki, tak by dało się je ułożyć bardzo ściśle w garnku, zalewamy zimną wodą, żeby tylko je przykryć: chodzi o to, by wody było jak najmniej. Dodajemy sól, skórkę z cytryny, liść laurowy, gałązkę rozmarynu, ziele angielskie albo parę rozgniecionych jagód jałowca – czy co wam pasuje. Gotujemy pod przykryciem do pełnej miękkości.

Wycinamy wszystkie przyprawy i skórkę, trzepaczką rozkręcamy energicznie ziemniaki w garnku z pozostałą wodą, powoli dolewając dobrej oliwy, żeby konsystencja była bardziej aksamitna. Nigdy nie wyjdzie taka jak w prawdziwym purée. Ale jest to miła, lekkostrawna alternatywa np. dla wegan. ©®



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

WENUS LUBI WINO

W seksie zalecano osiągnięcie całkowitego spełnienia.
Najlepiej wiosną i po południu, gdy kochankowie nie są ani głodni,
ani przejedzeni, lecz po strawieniu posiłku i po wypróżnieniu się.
Tak uważano w średniowieczu.

MAGDALENA ŁANUSZKA

DLA NAS DZIŚ LUTY JEST MIESIĄCEM ZAKOCHANYCH, ZE względu na przypadające w jego połowie wspomnienie św. Walentego, biskupa i męczennika, skądinąd patrona epileptyków i chorych psychicznie. W średniowiecznej kulturze natomiast miesiącem zakochanych był maj, zaś czasem postrzeganym jako idealny do romansów – wiosna, i to raczej późna. W Europie Środkowej z kolei często mówi się o „słowiańskich walentynkach” przy okazji przesilenia letniego (tzw. Noc Kupały).

Czy jednak zima naprawdę nie sprzyja miłości?

Bez chleba i wina Venus mrozem ścina

„Sine Cerere et Libero friget Venus” to cytat z 5. sceny IV aktu sztuki „Eunuch” (161 r. p.n.e.) autorstwa rzymskiego komeidiopisarza Terencjusza – tłumaczony jako „Bez chleba i wina Venus mrozem ścina” (tłum. Ewa Skwara, Warszawa 2005), lub „Gdy nie ma Libera i zniknie Cerera, to nawet Wenera od razu zamiera”.

Cerera (Ceres) była rzymską boginią wegetacji, z czasem utożsamioną z grecką Demeter; Liber był staroitalskim bogiem rolniczym, m.in. patronującym winu, którego kult powiązano z Bachusem (Dionizosem). Stąd też bardziej znana wersja cytatu z Terencjusza brzmi „Sine Cerere et Baccho friget Venus” – i pod takim tytułem w wielu muzeach znajdziemy obrazy ukazujące owe bóstwa (IL. 1). Ceres z rogiem obfitości uosabia pożywienie, które daje nam Matka Ziemia; Bachus z kielichem jest patronem wina, zaś Venus (Wenera), której może towarzyszyć Amor, to rzecz jasna bogini miłości.

Głęboka prawda starożytnego cytatu pozostaje aktualna i dziś: namiętność ziębnie, gdy brak jedzenia i picia. Inaczej rzecz ujmując: bez zaproszenia na kolację nie ma co liczyć na seks.

W średniowiecznych kalendarzach początek roku ilustrowały uczty – po grudniowym świniobiciu, styczeń był

miesiącem karnawałowego obżarstwa. Rzymski bóg początków Janus (patron m.in. drzwi, bram i przejść), od którego wzięła się nazwa miesiąca (łac. *Ianuarius*), miał dwie twarze: patrzył w przeszłość i w przyszłość. Co za tym idzie, mógł jeść i pić za dwóch, co też ukazywano w ilustracjach kalendarzy (IL. 2).

Jeśli zaś chodzi o wino, to już starożytni Grecy zimą obchodzili jedno po drugim kolejne święta ku czci Dionizosa: w okresie od naszego grudnia do początków marca były to kolejno Lenaje (nazwa od greckiego określenia tłoczni do winogron), Małe Dionizje (zwane też Wiejskimi, gdy po raz pierwszy pito młode wina z nowego rocznika) i Antesteria (gdy otwierano nowy rocznik win dojrzałych). Zimowe obżarstwo i opilstwo niewątpliwie można było z powodzeniem uzupełniać wzajemnym ogrzewaniem się w ramach miłosnych uniesień. W końcu w chłodku obłapia się znacznie przyjemniej niż w czasie upalnych letnich nocy.

Gdzie tylko sięgały granice Cesarstwa Rzymskiego, tam już w starożytności uprawiano winorośl; później zaś Kościół, dla którego wino jest niezbędnym elementem Eucharystii, przyniósł wraz z chrześcijaństwem kulturę spożywania wina nawet na ziemie północnej Europy, których klimat był dla winiarstwa nieco zbyt surowy. Zresztą na średniowiecze w Europie przypadł okres tak zwanego optimum klimatycznego (ok. 800-1300), gdy winorośl miała odpowiednie warunki do uprawy na większej części kontynentu. Nic zatem dziwnego, że w średniowiecznej literaturze europejskiej, wyrosłej na tradycjach grecko-rzymskich, kochankowie nie piją piwa, miodu czy destylatów, ale właśnie wino.

Graal i podstęp córki Króla Rybaka

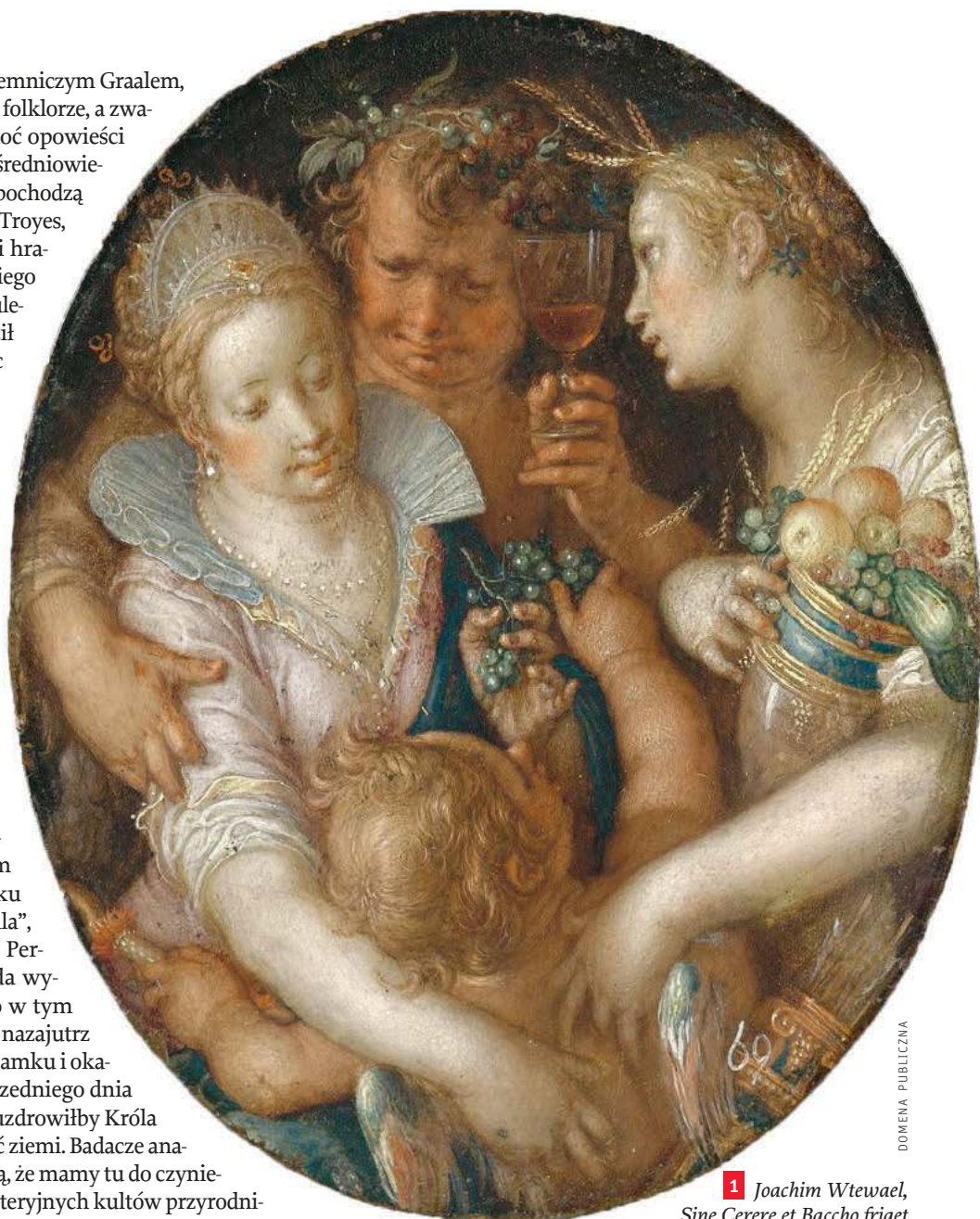
Historie miłosne z winem w tle znajdziemy w wielu średniowiecznych rycerskich romansach. Niektóre z najsłynniejszych należą do zbioru legend związanych z królem Arturem, Ry-

cerzami Okrągłego Stołu i tajemniczym Graalem, zakorzenionych w celtyckim folklorze, a zwanych materią bretońską. Choć opowieści te wywodzą się z wczesnego średniowiecza, najstarsze spisane pieśni pochodzą z XII wieku. Poeta Chrétien z Troyes, działający na dworach Marii hrabiny Szampanii i Filipa hrabiego Flandrii w 2. połowie tegoż stulecia, jako pierwszy wprowadził motyw Graala – nie traktując tej nazwy jako własnej, lecz jako określenie przedmiotu. Nie był to nawet kielich, ale raczej czara, albo nawet misa, używana do jakichś tajemniczych misterii wraz z włócznią.

Wszystko to znajdziemy w dziele „Percewal z Walii, czyli Opowieść o Graalu” Chrétiena, które niestety jest dość niejasne i zagmatwane, a co gorsza – niedokończone. Pojawia się tam wątek Króla Rybaka, którego choroba sprawia, że ziemia staje się jałowa; rycerz Percewal jest świadkiem tajemniczej procesji na zamku tego króla: panna niesie „graala”, a giermek włócznię. Młody Percewal myślał, że nie wypada wychylać się z pytaniami, o co w tym wszystkim chodzi – niestety nazajutrz obudził się w opustoszałym zamku i okazało się, że gdyby tylko poprzedniego dnia zadał odpowiednie pytanie, uzdrowiłby Króla Rybaka i przywrócił płodność ziemi. Badacze analizujący tę opowieść zgodni są, że mamy tu do czynienia z echem prądawnych misteryjnych kultów przyrodniczych, a czara i włócznia stanowią symbole seksualne.

Graal stał się kielichem – i to kielichem z Ostatniej Wieczerzy – w późniejszych tekstach, zwłaszcza w poematach Roberta de Boron, który na przełomie XII i XIII wieku stworzył wersje arturiańskich legend mocno osadzone w tradycjach chrześcijańskich. Panna z kielichem, czyli dziewica niosąca Graala (a zarazem córka Króla Rybaka) została natomiast określona jako Elaine z Corbenic w tekście francuskim z pierwszej tercji XIII wieku, opowiadającym całą podstawową legendę, zwanym „Lancelotem Prozą”, lub „Cyklem Wulgaty” ze względu na swą wielką popularność (do dziś zachowało się około 150 rękopisów lub fragmentów).

Ale kielich, który stał się atrybutem Elaine, to nie tylko Święty Graal, lecz także symbol kobiecej przebiegłości i sztuki uwodzenia. Oto bowiem Elaine użyła wina do tego, by uwieść rycerza Lancelota, kochanka żony króla



1 Joachim Wtewael, „Sine Cerere et Baccho friget Venus”, ok. 1600-1605, prywatna kolekcja

Artura, czyli królowej Ginewry. Z pomocą więdzmy, która dała jej pierścień Ginewry oraz wino (zapewne z dodatkami), Elaine zwiodła Lancelota – rycerz spędził z nią noc, przekonany, że jest w łóżu ze swoją ukochaną królową. Kac o poranku był dotkliwy, a sytuację pogorszył fakt, że Elaine w wyniku uwiedzenia Lancelota zaszła w ciążę (II. 3). Urodziła późniejszego bohatera – Galahada, najdoskonalszego z Rycerzy Okrągłego Stołu, i tego, któremu udało się dotrzeć do Świętego Graala.

Tristan, Izolda i magiczne wino

Wśród różnych legend arturiańskich jest też opowieść o romansie Tristana i Izoldy – podobnie jak rycerz Artura Lancelot został kochankiem żony króla Ginewry, tak Tristan

→ cudzołożył z żoną swego władcy i wuja, króla Kornwalii Marka.

Zaczął się od tego, że matka zaręczonej z Markiem Izolda dała służącej o imieniu Brangien wino z ziołowymi dodatkami, które miało spowodować, że małżonkowie pokochają się nawzajem miłością dogonną, jeśli wypiją je we dwoje. Tristan eskortował narzeczoną do swego wuja; niestety, służka nie schowała porządnie bukłaka, i na statku, którym podróżowali, Tristan i Izolda spragnieni wypili trunek, nieświadomi jego magicznej mocy. Zakochali się i rzucili się w wir namiętności; zostali kochankami, a ich związek trwał dalej po tym, jak Izolda posłubiła króla Marka.

Historia o Tristanie i Izoldzie była znana w średniowieczu w bardzo różnych odmianach, jak zresztą większość popularnych legend. Dwunastowieczny starofrancuski poemat autorstwa Tomasa z Anglii (który mógł działać na dworze królowej Eleonory Akwitańskiej) zachował się w fragmencie, ale brakujące części można rekonstruować na podstawie XIII- i XIV-wiecznych wersji w innych językach.

Drugim ważnym dwunastowiecznym poematem jest dzieło poety normandzkiego Bérouta, z której to opowieści część wątków powtórzono w XIII wieku w tak zwanym „Tristanie Prozą”. Ten utwór też zresztą krążył w kilku wersjach; co ważne, łączył legendę o Tristanie i Izoldzie z opowieściami arturiańskimi. Tristan stał się jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu, zaangażowany był w poszukiwania Graala i przyjaźnił się z Lancelotem. Różne były też opisy okoliczności śmierci kochanków, a także tak istotne kwestie, jak to, czy napój miłosny miał działanie trwałe, czy tylko na trzy lata, oraz czy Izolda wypila go na statku niechcący, czy też specjalnie podała Tristanowi.

Dziś dzieła literackie wykorzystujące postacie i świat z cudzego utworu, czasami w różnych wersjach językowych, zmieniające niektóre fragmenty narracji oryginału, poszerzające ją, tworzące prequela i sequele lub łączące z sobą światy czy postacie z różnych utworów, nazywane są *fan fiction*. Najczęściej to zjawisko – dziś już nie niszowe, bo dzięki możliwościom prostej publikacji w internecie angażujące miliony autorów i czytelników – określane jest jako powstałe w XX wieku. Tymczasem, jak widać, wszystko już było w średniowieczu.

Traktaty i poradniki

Gdyby tylko Izolda miała dostęp do dwunastowiecznych traktatów medycznych, mogłaby z nich dowiedzieć się, że są sposoby, by na noc posłubną przywrócić „oznaki dziewictwa”. Można sztucznie zakleić wejście do pochwy, można też zawczasu przystawić pijawkę, która pozostawi po sobie opuchliznę i spowoduje niewielkie krwawienie... To właśnie obecność w traktatach medycznych takich



DOMENA PUBLICZNA x3

2 Styczeń – miniatura z Psalterza Fécamp (Psalterza Eleonory Akwitańskiej, ok. 1185), Koninklijke Bibliotheek w Hadze

3 Uwiedzenie Lancelota, miniatura z rękopisu „Le livre de Lancelot du Lac”, Francja, ok. 1401-1425 r.





4 Stosunek seksualny, miniatura z rękopisu „Tacuinum sanitatis”, ok. 1400, Bibliothèque nationale de France

porad dowodzi, że przedślubna utrata cnoty była realnym problemem średniowiecznych dam, a nie tylko wymysłem poetów.

Z drugiej strony autorzy traktatów podkreślali, że seks może być niezbędny dla zdrowia: trzynastowieczny lekarz Guglielmo da Saliceto uważał, że pewne zaburzenia psychiczne mogą wynikać z braku seksu i trapić szczególnie wdowy, zakonnice i zakonników, a także dziewice, które były gotowe na stosunek, lecz czas na niego przeminął. Ponadto uważano, że seks może leczyć melancholię. Jednocześnie w diecie zalecanej melancholikom oczywiście znajdowało się wino – dobrze przefiltrowane, aromatyczne, najlepiej białe.

Traktaty są dla naukowców, a tymczasem ogół społeczeństwa chętniej sięga po uproszczone kompendia wiedzy. Średniowieczne poradniki dotyczące zdrowego trybu życia (tzw. „Tacuinum sanitatis”) oparte na „Tabelach zdrowia” Ibn Butlana z Bagdadu, zawierały mnóstwo porad, w tym także sporo miejsca poświęcały omówieniu właściwości różnych win – białych, czerwonych, lekkich, dojrzewających. Arabski oryginał z połowy XI wieku doczekał się łacińskiego przekładu prawdopodobnie w wieku XIII – zachowało się kilka bogato ilustrowanych rękopisów, dokumentujących życie codzienne w późnym średniowieczu: uprawy różnych roślin, zbiory owoców i warzyw, produkcję oraz konsumpcję produktów mącznych, nabiału, mięs czy trunków.

W średniowieczu uważano, że seks może leczyć melancholię.

Jednocześnie w diecie zalecanej melancholikom obowiązkowo znajdowało się wino – dobrze przefiltrowane, aromatyczne i najlepiej białe.

Jednocześnie wśród aktywności ważnych dla zachowania zdrowia w „Tacuinum sanitatis” pojawia się stosunek seksualny, określony jako służący nie tylko przedłużeniu gatunku, ale także uspokojeniu pobudzonych zmysłów. Zaleca się osiągnięcie całkowitego spełnienia, pełnej ejakulacji; najlepiej, gdy kochankowie nie są ani głodni, ani przejeżeni, lecz po strawieniu posiłku i po wypróżnieniu się. Jeśli zaś chodzi o potencjalną szkodliwość stosunku seksualnego, to przeczytamy, że jest to czynność niewskazana dla impotentów. Najbardziej natomiast służy ludziom młodym, wiosną i po południu, oraz w klimacie umiarkowanym (IL. 4).

Symbolika nieczystości

Romanse rycerskie dziś pewnie byłyby przypisywane do gatunku fantastyki: mamy w nich czarowników i wiedźmy, smoki, przekłete skarby, magiczne napoje i zaczarowane przedmioty. Czy jednak „miłosego eliksiru” dodawanego do wina nie powinniśmy po prostu odczytywać jako metafory? Wino wszakże – bez żadnych magicznych ziół – potrafi sprawić, że stracimy na chwilę zdolność racjonalnej oceny rzeczywistości i damy się uwieść.

We wspomnianej wcześniej antycznej komedii „Eunuch” pióra Terencjusza lekko odurzony winem młodzieniec o imieniu Chremes zwraca się do niewolnicy Pytii: „Ho, ho, ależ jesteś ponętna. Dużo bardziej niż przedtem!”. Ta prawda była znana już w starożytności: alkohol sprawia, że mężczyźni mają kłopot z obiektywną oceną walorów kobiet, które nagle w magiczny sposób wydają im się atrakcyjniejsze. Gdy zaś trunku się nadużyje, można rano doznać zaskoczenia na widok osoby, która śpi obok...

Literatura uczy nas przy tym, że szczególnie należy uważać na kobiety, które mogą podawać wino mężczyźnie, aby go wykorzystać seksualnie. To nie tylko Elaine z Corbenic; wyjątkowo drastyczny przykład odnajdziemy także w... Biblii. W Księdze Rodzaju przeczytamy o tym, jak prawy skądinąd Lot, po opuszczeniu skazanej na zagładę Sodomy, wbrew swej woli stał się ojcem własnych wnuków. Dwie córki Lota, spoiwszy ojca winem, wykorzystały go – był zbyt pijany, żeby się zorientować, co się stało, a dziewięć miesięcy później każda z jego córek urodziła syna.

Ostatecznie pozostaje stwierdzić, że we wszystkim konieczny jest umiar. Odrobina wina jest wskazana dla ożywienia miłosnych zapalów, lecz powinniśmy unikać takiej ilości, która sprawi, że uniesienia wymkną nam się spod kontroli.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

STANISŁAW

Mancewicz:

W komiksie



NIECAŁY MIESIĄC PREZYDENTURY D. Trumpa przyniósł więcej atrakcji niż byłe rok rządów PiS-u. Można by rzec, że planeta pod jego przywództwem obraca się przynajmniej dwa razy szybciej, wypadaloby więc jakoś nazwać tę szaloną epokę, która się z takim impetem rozkręca i której – powiedzmy sobie to wprost – końca nie widać, bowiem na pewno nie zamknie jej ta kadencja.

Ludzie na całym świecie próbują znaleźć jakieś analogie do tego, co widzimy i słyszymy. Wertują podręczniki historii, spisy idei i doktryn. Szukają w pamięci kogoś, kto by choć trochę przypominał im D. Trumpa, ale wszystko, co znajdują, jest mało podobne. Nawet on sam do siebie, gdy rządził po raz pierwszy. Mamy, owszem, jakieś niewyraźne znaki, przypominające różne postacie bądź zdarzenia historyczne. Ale co nam z tego, że ktoś miał podobną fryzurę? Nosił podobnie zawiązany krawat? Miał podobną żonę bądź podobną manierę wysławiania się w sprawach zarówno ważnych, jak i błahych? Nic nam z tego, bo D. Trump jest osobistością całkowicie na planecie u władzy nową, a podobne można znaleźć tylko w komiksach.

Jest to – prosimy o uwagę – nasz solidny wkład w próby syntetyzowania i nazywania dzisiejszości. D. Trump, jego współpracownicy, politycy i zwolennicy krążący wokół niego, ich mimika, postury, ubrania, ruchy, decyzje, mowa, wszystko to jest zaiste wzięte ze sztuki komiksowej. Jest to więc z gruntu amerykańskie, bowiem, jak nam się zdaje, komiks jest wynalazkiem tamtejszym. Komiks jest, był i będzie oryginalnym, a niepodrabialnym elementem, by nie rzec brawurowo – fila-

rem amerykańskiej kultury. Że amerykańska polityka i amerykański prezydent będą komiksowi w każdym calu, tegośmy się jednak w takim stopniu nie spodziewali.

Komiks – popatrzmy – był przez dziesięciolecia uważany za podrzędny produkt, ale już za naszego życia z ostatnich stron gazet, szmatławych serii wydawniczych, produkowanych na złym papierze, w złych drukarniach, przedostał się do świata solidnej literatury, grafiki i pięknego edytorstwa. Komiksem zajęli się ambitni pisarze, solidni plastycy, wielcy wydawcy. O komiksie piszą ludzie mądrzy, a komiksy można dziś kupić w eleganckich księgarniach. Komiks także zajął się sprawami z życia wziętymi, nie tylko zwirowanymi przygodami niesamowitych bohaterów. Komiks przeszedł niezwykle drogę od synonimu złego smaku do wysmakowanych projekcji graficznych, a czasem literackich. Bohaterowie miewają normalne twarze, ludzkie barwy i mówią językiem człowieka. Zwierzęta są zwyczajnie zwierzęce, a krajobrazy sielskie. Można by zatem rzec, że obecny prezydent USA tak szalenie komiksowy, jeśli idzie o wygląd, reakcje i działania, wraz ze swymi licznymi ministrami i doradcami są wzięci raczej z estetyki komiksu dawnego, w istocie bardzo pomarańczowego, gdzie świat raczej przypominał świat, niż nim był.

Ciekawe, jak totalną komiksowość zassie niekoniecznie komiksowa reszta świata. Europa i Azja. A planeta Polska? Ze swoim specyficznym światem kapitana Żbika, porucznika Klossa, Tytusa, Romka i A'Tomka, z rubasznym dodatkiem przygód Kajka i Kokosza? Jak ta dawna twórczość udzielnici i tak już bardzo infantylną polską politykę? Z pobieżnej obserwacji kampanii prezydenckiej można wywnioskować, że to się dzieje. Siłownia, bieżanina, wymachy, przykuce, pompki w śniegu oraz grepsy i jeszcze raz grepsy. To wszystko wskazuje, że przyszły prezydent Polski będzie miał amerykańskie kompetencje. Polskie interpretacje amerykańskich obyczajów są zawsze godne uwagi, są też znakomitym tematem na komiks. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.





NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
- Kwartal – 12 wydań	170 zł
- NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
- Rok – 52 wydania	590 zł
- Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
- 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
- Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
- Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALES**  **manago**
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

TYGODNIK POWSZECHNY



My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

Na zdjęciu:
Grażyna Makara,
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda, Anna Goc, Anna Golus,
Katarzyna Kubisiowska,
Monika Ochędowska,
Zuzanna Radzik, Anita Piotrowska
i Antonina Palarczyk

*Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować
go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy i fotografujemy.
Dla kogo to robimy?*

Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.

Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.

*Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy,
że tylko takie dziennikarstwo ma sens.*

Rozliczasz PIT?
Nie zapomnij o swoim „Tygodniku”!

1,5%



powszech.net/dar



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę